NA DALEKICH LĄDACH I MORZACH
BIBLJOTEKA PODRÓŻY, PRZYGÓD I ODKRYĆ

TOM I

TADEUSZ CHROSTOWSKI

PARANA

NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

TADEUSZ CHROSTOWSKI

PARANA

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY W ROKU 1914

Z 16 ILUSTRACJAMI I MAPĄ PARANY

68

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - - 1922 - - WARSZAWA

Biblioteka Narodowa
Warszawa
3000100760669

BIBLIOTEKA NARODOWA

I.385.612

CECIORRABI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

1948 D 955/176

CIENIOM:

JÓZEFA WARSZEWICZA
I KONSTANTEGO JELSKIEGO

PRACĘ TĘ POŚWIĘCA
AUTOR.

WSTĘP.

Na schyłku roku Pańskiego 1843 były ułan Chłapowskiego, uczestnik powstania listopadowego, Józef Warszewicz wyemigrował do Ameryki. W ciągu lat dziesięciu (do r. 1853) gromadził tam i posyłał do Europy zbiory przyrodnicze: botaniczne i zoologiczne — z Peru, Boliwji, Kolumbji i t. d.

O życiu tego pierwszego w Ameryce Południowej polskiego podróżnika-naturalisty bardzo mało dostało się do wiadomości ogółu, aczkolwiek w krakowskim Ogrodzie Botanicznym znajduje się cały szereg żywych po nim pamiątek: wspaniałe storczyki, kanny, z których jedna nazwana na cześć jego *Canna Warszewiczi*, dalej *Begonia Warszewiczi*, *Ribes Warszewiczi* i wiele innych okazów botanicznych, zdobytych przez Warszewicza i dostarczonych do Krakowa.

Natomiast z zebranych przezeń okazów zoologicznych nie posiadamy, niestety, nic. W owym czasie Polska nie miała uczonych.

którzy mogliby opracować naukowo zbiory zoologiczne z Południowej Ameryki i okoliczność ta była widocznie przyczyną, że zbiory Warszewicza, w większości ptaki, znalazły się na obczyźnie — przeważnie w Niemczech. O wielkiem uznaniu, jakiem w świecie naukowym cieszyła się praca Warszewicza, świadczy fakt, że cały szereg gatunków nazwano na jego cześć jego imieniem; znamy więc: *Saucerottea warszewiczi* (Cab. & Heine) — prześliczny koliberek złocisto-zielony z niebieskiemi skrzydełkami i ogonkiem, *Lepidocolaptes warszewiczi* (Cab. & Heine) — ptak z rodziny tęgosterów amerykańskich (*Dendrocolaptidae*), cały rudy, usypany plamkami, mającemi postać łez; wreszcie *Dives warszewiczi* (Cabanis) — wielki, cały czarny z niebieskawym połyskiem ptak z rodziny kacyków (*Icteridae*).

Zarazem atoli, jakby przez zemstę za to, że zbiory patrjoty-emigranta dostały się do rąk obcych, częstokroć Polsce wrogich, nazwisko jego w nazwach gatunków przekręcono w barbarzyński sposób: Warszewiezi, Warcewiczi, a nawet Warscewiezi...

W końcu lipca r. 1865 na pokładzie fregaty francuskiej „Amazone" odpłynął do Ameryki Południowej drugi zkolei polski podróżnik-naturalista — Konstanty Jelski. O życiu jego mamy cały szereg zupełnie pewnych i dokładnych wiadomości. Wiemy, iż w r. 1863 proponowano mu objęcie katedry zoologji na uniwersytecie kijowskim; wiemy, że na tułaczkę pchnęły go, podobnie jak i Warszewicza, wypadki polityczne; wiemy, że, pracując w pracowni zoologicznej p. Deyrolle'a w Paryżu, powziął zamiar ekspedycji do Południowej Ameryki, na którą zresztą, również jak i Warszewicz, nie posiadał środków pieniężnych, tak, że nawet na przejazd z Paryża do Tulonu musiał wyjednać sobie u policji paryskiej „świadectwo niezamożności", ażeby uzyskać zniżkę ceny biletu. Tak samo rzecz się miała z przejazdem przez ocean. Przygotowując się w Paryżu do podróży, i potem — zaraz po przyjeździe do Ameryki — starał się usilnie o zajęcie zarobkowe i umówił się z handlarzem paryskim E. Verreaux o dostarczanie na sprzedaż skórek ptasich, zaś z p. Deyrolle — o owady. Widocznie jednak widoki na zarobek z tych źródeł były zbyt niepewne, skoro niedoszły profesor zoologji uczuł się niezmiernie szczęśliwym, otrzymawszy przy szpitalu kajeńskim posadę ucznia apte-

karskiego z płacą 1000 franków rocznie. Gdy zaś i to nie wystarczało, znalazł sobie dodatkowe zajęcie w postaci wykładów w szkołach kajeńskich z takąż płacą 1000 franków rocznie. Mimo jednak tych ciężkich warunków pobyt Jelskiego w Ameryce Południowej trwał długo — lat kilkanaście. Do końca roku 1869 badał Gujanę francuską, w szczególności poznał dokładnie okolice Kajenny, dalej St. George d'Oyapock, miasteczko nad rzeką Oyapock, stanowiące obecnie południową granicę Gujany francuskiej; dalej zbadał Montagne d'Argent, wreszcie czas dłuższy spędził nad rzeką Maroni (północna granica Gujany francuskiej), w szczególności w okolicach zakładu karnego St. Laurent du Maroni. W końcu roku 1869 przeniósł się do Peru, gdzie prowadził badania przeważnie w części środkowej kraju; głównemi terenami jego pracy były okolice Limy, Marayniocu, Amable Maria i t. d.

Co do plonów jego pracy, los był dlań łaskawszy, niż dla Warszewicza, przynajmniej bowiem część jego zbiorów mogła już być opracowana w Polsce, a mianowicie zbiory z dziedziny fauny ptasiej, których większość opracował Władysław Taczanowski. Cały szereg gatunków o nazwach naukowych, po-

łączonych z imieniem Jelskiego, świadczy wymownie o wielkiej doniosłości jego pracy w Gujanie i Peru. Znamy tedy: malutkiego dzięciołka z rodzaju *Picumnus* — (rodzaj właściwy Południowej Ameryce) — *Picumnus jelskii*; dwa gatunki pięknie zabarwionych kolibrów: *Thalurania jelskii* i *Metallura jelskii*; *Upucerthia jelskii* — ptak z rodziny garncarzy amerykańskich (*Furnariidae*); *Ochlocca jelskii* — muchołówka amerykańska z rodziny *Tyrannidae*; wreszcie tangary: *Iridosornis jelskii*, *Spodiornis jelskii* i t. d.

Atoli ani Warszewicz, ani Jelski nie zdołali uwieńczyć pracy swego życia; nie przekazali potomnym tej jedynej trwałej spuścizny, jaką pozostawić może uczony badacz: w wyniku swych podróży nie wydali żadnego dzieła naukowego. Zbiory same przez się stanowią tylko materjał do badań, ulegający nadto po pewnym czasie zniszczeniu, zaś trwałym wkładem do dorobku kulturalnego narodu jest i pozostanie jedynie dzieło naukowe, oparte na zebranym materjale i uzupełnione własnemi, poczynionemi na miejscu spostrzeżeniami.

Wszakże obwiniać z tego powodu naszych podróżników nie należy. Prawdopodo-

bnie zawiniła tu raczej obojętność ogółu przeciętnej inteligencji polskiej, która nie doceniała i nie docenia dotychczas doniosłości przyrodniczej pracy polskiej w krainach egzotycznych. Obojętność ta obarczyła ich brzemieniem nad siły, ustawiczną troską o zdobywanie środków materjalnych do prowadzenia badań, co oczywiście musiało odbić się w sposób fatalny na rezultatach pracy. Gdyby Jelski czas, poświęcony na pracę zarobkową w aptece, mógł zużyć właściwie na studja nad literaturą przyrodniczą, odnoszącą się do badanego przezeń kraju, gdyby potrzeby Warszewicza były zaspokojone — bylibyśmy niewątpliwie bogatsi o cały szereg niezmiernie ciekawych prac naukowych.

A jednakże w osobach tych tułaczów i wygnańców, mimo najcięższych warunków materjalnych i psychicznych, wśród których działać im wypadło, przyrodnicza myśl polska dowiodła, że nie da się zakuć w ciasne ramki tych lub owych granic politycznych czy geograficznych, jeno z niezmierną siłą żywotną wyrywała się za ocean, dążąc do tej krainy, tak mało jeszcze znanej, a stanowiącej ziemię obiecaną dla wszystkich naturalistów świata, i zdobyła przebojem poczesne miejsce

Domek autora z jego poprzedniego pobytu.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

w dziedzinie badań przyrodniczych. W historji tych badań, obok głośnych nazwisk badaczy Ameryki Południowej: *Johann'a Natterer'a, Alcide'a d'Orbigny'ego, Auguste'a de Saint Hilaire, hr. F. de Castelnau, księcia Maximiliana Wied'a, Johann'a Baptysty Spix'a, George'a Heinrich'a von Langsdorff'a, Emila Barlett'a*, i innych figurować będą nazwiska polskie: Józefa Warszewicza i Konstantego Jelskiego.

Praca przyrodnicza autora notatek niniejszych ma poniekąd znaczenie łącznika między tymi, co już odeszli, i tymi, co przyjść mają. Podróżom moim do Parany tę tylko przypisuję wartość, iż ciągłość przyrodniczej pracy polskiej w Ameryce Południowej nie została przerwaną.

Dokoła takiej pracy w dziewiczych puszczach Ameryki Południowej snuły się moje marzenia już w latach dziecięcych, lecz warunki, wśród których toczyło się życie, przez czas długi wznosiły przeszkody nie do zwalczenia. A jednak tęsknota badacza, stanowiąca przekleństwo, lecz zarazem i wielką radość życia, kapitulować mi nie pozwoliła.

Chcąc zapewnić sobie możność pracy w ciągu dłuższego czasu, ułożyłem plan na podstawie tych danych, jakie udało mi się zna-

leżć w literaturze podróżniczej. Plan ów polegał na tem, aby osiąść wśród puszczy brazylijskiej i, zdobywając własną pracą na ziemi środki do życia, prowadzić badania przyrodnicze. Główną nadzieję pokładałem na utrzymywaniu pasieki, która powinna była dostarczyć mi funduszów na zakup pomocy, niezbędnych do prowadzenia badań, a mianowicie broni, amunicji, literatury specjalnej i t. p.

Czyż mogłem wątpić o powodzeniu swego planu, czytając w dziełku przyrodnika, oddawna osiadłego w Paranie, następujący ustęp, poświęcony pszczelnictwu: „Nigdzie na świecie pszczelnictwo nie ma tak szczęśliwych warunków, jak w Paranie. Łagodny klimat, bogata, różnorodna roślinność sprawiają, że pszczoły pracują tu bez przerwy rok cały. Niestety, pomimo świetnych warunków i dodatnich rezultatów, jakie i teraz niektórzy osadnicy otrzymują, pszczelnictwo nie jest dostatecznie rozwinięte. W wielu wypadkach na przeszkodzie stoi brak znajomości rzeczy, brak tu zupełnie fachowców."

Ażeby tedy należycie być przygotowanym, przestudjowałem w r. 1908/9 pszczelnictwo na kursach pszczelniczo-ogrodniczych w Warszawie, wykonałem własnoręcznie dla

wprawy kilka ulów najnowszego systemu, zakupiłem wszystkie niezbędne narzędzia, jak wirówkę, praskę do sztucznych plastrów i t. p. tudzież całą bibljoteczkę odpowiednich książek, — i w lutym r. 1910 ruszyłem w świat.

Po długiej i wysoce męczącej, bo przeszło 4 miesiące trwającej podróży, znalazłem się nad rzeką Iguassu na własnym kawałku ziemi, właściwie szczerego lasu, w zupełnem pustkowiu. Rozpoczęło się surowe życie osadnika: rąbanie drzew, palenie wyciętych połaci leśnych, uprawa sposobem miejscowym czarnej fasoli, kukurydzy i warzyw miejscowych, jak: bataty, mandjoka. Nie zapomniałem również i o warzywach naszych: obok domu, w ogródku poczesne miejsce zajmowały kalafjory rzodkiewka, pomidory, kapusta, opodal, na tle bujnej roślinności zwrotnikowej, rysowały się ule Dadan'a, a wesoły brzęk pszczół zlewał się w harmonijną całość ze szczebiotem ptactwa. Praca na ziemi pochłaniała mi czas całkowicie. Tylko w niedzielę pozwalałem sobie wyruszyć ze strzelbą na wyprawę myśliwsko-przyrodniczą do boru lub na rozległe błonia, widniejące na drugim brzegu Iguassu.

Kto nigdy nie znajdował się w podobnych warunkach, ten nie zdoła zrozumieć i ocenić, jak wiele zadowolenia dać może takie życie samotnika na łonie natury i w ciągłem bezpośredniem z nią obcowaniu, jak wielki stanowi ono wypoczynek dla nerwów człowieka, który przekona się tu ze zdziwieniem, iż mocnych zębów i ostrych pazurów potrzeba mu stokroć bardziej w środowisku kulturalnem, niż w dziewiczej puszczy.

Ody jednak zebrałem plony mej pracy, spotkał mię przykry zawód: okazało się, że pomimo największych wysiłków nie starczą one na zaspokojenie nawet najniezbędniejszych potrzeb życiowych. Wszystkiego wyprodukować nie można, a na zakup soli, tłuszczów i t. p. pieniędzy nie było. Jeszcze dotkliwszy zawód sprawiły mi pszczoły: oto cena miodu była tak niska, że nie opłacała nawet kosztów przewozu do większych miast, na miejscu zaś na miód nie było zupełnie popytu. Ody zaś zkolei oceniłem rezultaty swej pracy przyrodniczej, musiałem przyznać, że życie Robinzona, jakkolwiek posiada urok niezmierny, ma przecież tę ujemną stronę, że marnuje bardzo wiele czasu, który w innych warunkach produkcyjniej mógłby być zużyty. Surowe życie

osadnika, własnoręczna praca na ziemi, oraz zupełna samotność i brak środków na nabycie materjałów pomocniczych złożyło się na to, że kolekcje nie należały do licznych.

Wypadło tedy zmienić plan, właściwie ułożyć inny, zapewniający posiadanie dostatecznych środków materjalnych, i w tym celu trzeba było powrócić czasowo do Europy. Atoli przed wyjazdem zapragnąłem zobaczyć więcej brazylijskiego świata, niż to mogłem uczynić z okienka mej chatki nad Iguassu. Powierzywszy więc dobytek bezdomnemu osadnikowi i pożegnawszy z ciężkiem sercem jedynych towarzyszów samotności — kotka i psa — ruszyłem na północ w kierunku rzeki Ivahy, która pociągała mię oddawna. Przeszło trzy miesiące trwała wycieczka, a nie była zbyt wygodną: wraz z towarzyszem podróży nocowaliśmy na gołej ziemi, za pokarm mieliśmy fasolę i co się upolować dało; upał, pragnienie, a nawet głód dokuczały nam stale. A jednak ta podróż piesza niezatarte pozostawiła wspomnienia! Odbywszy jeszcze wycieczkę parowcem w górę Iguassu, do Porto União da Victoria, przystąpiłem po powrocie do domu do likwidacji pierwszego mego „podróżniczo-naukowego" przedsięwzięcia.

Wracałem do Polski z nadzieją, że uda mi się zainteresować kogoś z możnych świata tego i uzyskać pomoc. Niestety, sprawę przyjmowano gorzej niż obojętnie, nietylko pomocy ale nawet życzliwego poparcia nie udało mi się zdobyć. Jedynie słynny uczony bawarski Karol Hellmayr zainteresował się mą pracą, przyrzekł poparcie, a nawet pomoc ze strony Akademji w Monachjum. Z tą jedynie obietnicą wyruszyłem w roku 1913 po raz drugi za ocean. W początkach wiodło mi się nieźle: zdobyłem całe serje ptaków nader rzadkich, a bardzo mało znanych, co doskonale usposobiło do mej pracy K. Hellmayra. Niestety, wybuch wojny pokrzyżował me plany. Wypadki wojenne przerwały wszelką łączność z Monachjum i na żadną już pomoc liczyć nie mogłem, gdyż nawet znajomi w Londynie, których zdołałem zainteresować, nie uważali za możliwe uzyskanie jej podczas wojny. Wypadło zatem wracać ponownie do Europy. Przeżywałem znowu tak ciężkie chwile, jak kiedyś nad brzegami Iguassu w przeddzień odjazdu.

Wkrótce atoli, zrazu mgliście i nieśmiało, a potem coraz jaśniej i pewniej, poczęła rosnąć we mnie nadzieja, że może uda mi się wziąć czynny udział w walce o niepodległość

Polski; zdawna wierzyłem, że ojczyzny nie można wyżebrać w przedpokojach potentatów świata, ani ją wyszachrować za zielonym stołem obrad. Rozumiałem, że jedynie nieubłagana walka orężna z przemożnymi wrogami może nam zwrócić to, czego brak tak boleśnie odczuwać się dawał Polakom wszędzie, na całej kuli ziemskiej i ołowiem ciężył nawet nam, bezdomnym wygnańcom — własną państwowość. Szczęśliwe urzeczywistnienie tych pragnień i nadziei wynagrodziło mi przerwę w umiłowanej pracy.

Szkic niniejszy jest wierną opowieścią mej drugiej wyprawy do Brazylji. Jadąc, nie przypuszczałem, iż wypadnie mi kiedyś opisywać mą podróż, to też nie dążyłem bynajmniej do ogarnięcia całości bujnego życia tego zakątka Południowej Ameryki. Jedynem mojem zadaniem było zbadać możliwie dokładnie faunę ptasią Parany, i w tym przeto kierunku skupiona była cała moja uwaga. Obawiałem się nawet zbytnio ją rozpraszać na rzeczy, nie należące do zakresu badań specjalnych. To też czytelnik nie znajdzie tu bynajmniej wyczerpującego opisu kraju, jego fauny, flory i człowieka. Dominującą rolę w mych opowiadaniach grają ptaki — przedmiot mych studjów

specjalnych, przedstawiciele zaś innych grup świata zwierzęcego, a także rośliny i człowiek występują tu tylko o tyle, o ile narzuciły mi się w bezpośredniem zetknięciu.

Wreszcie pragnę zaznaczyć, iż, wspominając o Warszewiczu i Jelskim, nie zamierzałem dawać szkicu podróży polskich do Ameryki Południowej. Pominąłem przeto wyprawy, które bądź w innych warunkach się odbyły, bądź inne zadania miały na celu. Do takich należą znane podróże: pp. Jana Sztolcmana., prof. J. Siemiradzkiego, Jana Kalinowskiego i szereg innych.

Rio de Janeiro.

Parana

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

I.

Na Atlantyku.

Była już późna wieczorna godzina, gdy Hohenstaufen trzykrotnem potężnem rykn ięciem pożegnał Hamburg. Owa spóźniona pora zepsuła cały efekt odjazdu. W mroku nie było widać ni łez, ni bladości twarzy, ni innych zwykłych oznak pożegnalnego wzruszenia. Wesoła fanfara orkiestry, którą mieliśmy na pokładzie stłumiła resztki niepokoju, jaki zazwyczaj wzbiera w piersi w chwili rozstania, i śruby okrętowe poczęły działać — zrazu wolno, potem coraz szybciej, szybciej...

Dla mnie podróż zaczęła się od irytacji. Przepisy okrętowe wymagają, ażeby pasażer osobiście dopilnował ładowania swego bagażu, że zaś wśród ogólnego zgiełku i zamieszania nie mogłem dogadać się z nikim, musiałem dać za wygraną i zły poszedłem spać.

Nazajutrz obudziłem się z silnym bólem głowy, pomimo 56-u dni, spędzonych już poprzednio na morzu; początek tej podróży mor-

skiej dał mi się mocno we znaki. Statek nasz — „stara łupina niemiecka", jak go określił jeden z urzędników towarzystwa Hamburg-Amerika-Linie, kołysał się jak huśtawka, wiatr dął potężnie i deszcz co chwila ćwiczył pokład. Zegarek mój wskazywał dziesiątą rano: brudne, szaro-zielone fale rozbijały się z szumem o boki statku, za okrętem sunęły mewy tak uroczyście, iż rzekłbyś należą do policji pruskiej i z właściwem jej namaszczeniem pełnią swą powinność. Kołysanie statku, deszcz i wiatr wzmagały się z każdą chwilą, doczekawszy się więc posiłku, przypomniałem dobre, stare przysłowie niemieckie: „nach dem Essen soll man schlafen nicht vergessen."

Pod wieczór zatrzymaliśmy się na pierwszy popas w Boulogne. Zabraliśmy stąd martwy i żywy towar — ten ostatni w postaci Turków i Arabów, tłumnie uciekających przed wojną, ażeby dostać się... na plantacje kawy w São Paulo. Cichy i spokojny przed chwilą statek zalała fala ludzka, wrzeszcząca, klnąca, cuchnąca drzewem sandałowem i jakiemiś wschodniemi wonnościami. Natychmiast też utworzyło się koło nas piekiełko ludzkie, stanowiące jaskrawy kontrast ze spokojem pysznej, dziwnie błękitnej nocy na kanale La Manche. Na ciemno-szafrowej toni — tysiące drobnych światełek, w górze miriady gwiazd,

a cały przestwór przepojony jakimś mistycznym błękitem...

Dzień trzeci podróży mieliśmy burzliwy. Wiatr dął coraz silniej, biała „wełna" coraz częściej i coraz liczniej jęła ukazywać się na powierzchni wód. Wraz ze wzmożonem kołysaniem się statku, wzmogła się i choroba morska, tak bezlitośnie dręcząca swoje ofiary, zdrowym zaś zdolna obrzydzić wszystko i wszystkich, tem bardziej, że nie okazała się dla nich tak względna, jak niegdyś dla Słowackiego, i uraczyła ich stokroć bliższemi i wstrętniejszemi objawami, niż „odgłos dalekiej po salonach czkawki." Zdrowych, co prawda, pozostało wkrótce niewielu, gdyż tylko ja i Niemiec-inżynier, udający się na plantacje trzciny cukrowej, zdołaliśmy oprzeć się zwycięsko owej istnej pladze morza.

W oddali, jak sina mgła, majaczyły brzegi Francji. Co chwila mijaliśmy statki, salutując niektóre z nich trzykrotnem opuszczeniem flagi. Wreszcie około g. 6-ej minęliśmy Brest i poczęliśmy oddalać się od lądu, kierując się światełkami latarni morskich.

W nocy wiatr i fala wzmagały się i rosły coraz bardziej, a kiedy nazajutrz rano wyjrzałem na pokład, oczom moim przedstawił się niezmierny, jednostajny, posępnej ołowianej barwy przestwór zlewających się zupełnie na krańcach widnokręgu nieba i morza. Potwo-

rzyły się olbrzymie góry wodne o białych szczytach i, pędząc jedna za drugą, uderzały z wściekłością w boki statku, który pod temi razami pochylał się gwałtownie i z niezmierną trudnością posuwał się naprzód.

Tył statku, gdzie obrałem sobie stały punkt obserwacyjny, to zanurzał się w wodę poniżej poziomu morza, to znowu z błyskawiczną szybkością i głośnym warkotem śrub wylatywał w górę. Huśtawka taka mogłaby być nawet przyjemna, gdyby nie trwała zbyt długo. Kiedy jednak trwa doby całe, staje się rozrywką mniej ponętną, szczególniej wobec świadomości, że zabawy tej nie zdołalibyśmy przerwać nawet wtedy, gdyby „lupina" nie wytrzymała naporu fali i pękła, co mogłoby zdarzyć się z łatwością, gdyż niedawno nasz Hohenstaufen nadwyrężył się tak silnie o skałę podwodną, że nieledwie cudem uniknął zatonięcia.

Mewy znikły. Poetyczne te ptaki do tego stopnia ożywiają monotonję podróży, że, nie widząc ich, uczuwamy dotkliwą pustkę. Nie oddalenie od lądu spowodowało ich nieobecność, lecz silna wichura. Czas jakiś widzieliśmy je w oddali, jak sunęły naprzód, walcząc z porywami wichru — wreszcie znikły nam z oczu, ustępując miejsca burzykom. Ciemnej barwy, o silnie zbudowanych skrzydłach ptaki te zdawały się igrać z burzliwą wichurą. Liczne grupy podróżnych obserwowały z rozkoszą ich lot wspaniały, śledziły pilnie, gdy z szybkością błyskawicy wzbijały się w górę ponad maszty, by następnie po dokonaniu w powietrzu przeróżnych ewolucyj, upaść nad powierzchnię wody i czas jakiś unosić się tuż ponad falą.

Wieczorem morze, niebo i strugi deszczu zlały się w jakiś chaos niepojęty, nieprzeniknionv. Zbliżyliśmy się do Leixoes, lecz burzliwa pogoda nie pozwoliła nam wejść do portu, całą przeto noc błąkaliśmy się u brzegów, płynąc zaledwie cząstką pary. Bezwładny statek jeszcze bardziej podlegał wstrząśnieniom, to też noc tę zaliczyć muszę do najgorszych w ciągu całej podróży. Bezustanne gwałtowne przechylanie się naszego Hohenstaufena zmuszało nas do maglowania własnego łóżka, trzeba się było przytem trzymać poręczy, aby nie wypaść. Każdemu gwałtowniejszemu wstrząśnieniu towarzyszył brzęk tłuczących się naczyń. Co chwila nad głową rozlegał się łoskot ulewy lub tupot przebiegających marynarzy.

Blady, posępny dzień zastał nas przy wejściu do Laixoes. Dość długo wypadło nam tu czekać na pilota, który miał nas wprowadzić do zatoki. Ukazał się wreszcie z trudnością prujący fale maleńki parowczyk. Co żyło, wyległo na pokład, aby podziwiać zręczność,

z jaką ów stateczek zwalczał rozhukany żywioł, grożący mu lada chwila zalaniem, oraz odwagę marynarzy portugalskich, ze spokojem, a nawet z lekceważeniem niebezpieczeństwa pełniących swą ciężką powinność. Pomimo niezmiernych wysiłków, rozhukane bałwany nie pozwoliły jednak pilotowi dostać się na nasz statek, kierował więc jego ruchami bądź z pomocą znaków, bądź krzykiem.

Przy wejściu do portu natknęliśmy się na rozbity parowiec angielski, który niebacznie zbyt blisko podsunął się do brzegu.

W porcie było względnie spokojnie: burzliwe fale rozbijały się z szumem o kamienną ścianę, wyrzucając wysoko płaty białej jak śnieg piany, lecz do nas dochodziło zaledwie słabe ich kołysanie. Staliśmy tu parę godzin. Jak zwykle w portach, oblegla nas natychmiast cała armja przekupniów wszelkiego rodzaju, darła się na pokład, otaczała statek wieńcem łodzi — i rozpoczął się hałaśliwy targ. Żórawie okrętowe ze zgrzytem i piskiem ciągnęły towary z wielkich i ciężkich barek na statek. Uciekłem wreszcie aż na górny pokład. Tu cicho było i spokojnie. W oddali widniały małe, przeważnie piętrowe domki amfiteatralnie położonego miasta. Ponad niemi rozciągała się szeroka wstęga iglastego lasu, wyżej zaś w niebiesko-burą mgłę spowite drzemały góry. U dołu, w przystani,

wrzało życie: co chwila przebiegały wagony tramwaju elektrycznego, pędziły zaprzężone w kilka koni lub mułów wehikuły. Niedaleko od nas stała stara fregata portugalska. Grano pobudkę.

Stolica Portugalji Lizbona odległa jest od portu Leixoes zaledwie o parę godzin drogi, że zaś postój naszego statku trwał tu znacznie dłużej, więc, pomimo fatalnej pogody, wybraliśmy się na zwiedzenie miasta. Przechodzi wszelkie pojęcie, do jakiego stopnia kosmopolityczny pokost zatarł indywidualność wielkich miast! Przechodząc ulice Lizbony, miałem wrażenie, że znajduję się w Paryżu, Berlinie lub Wiedniu: te same twarze, domy, ubiory, te same sklepy i wystawy, tramwaje i automobile. Zaledwie drobne, wymagające baczniejszej uwagi cechy pozwalają nam orjentować się, że jesteśmy w Portugalji: a więc południowa roślinność na klombach i trawnikach, oryginalne, z kawałków marmuru ułożone chodniki, wreszcie zaś sami mieszkańcy — mali, szczupli, nader ruchliwi i ożywieni. Do oryginalności Lizbony zaliczyć także należy małe balkoniki, umieszczone przy prawie każdem oknie, zazwyczaj gustownie udekorowane żywemi kwiatami i piękniejszemi od nich czarnookiemi mieszkankami miasta.

Po dziesiątej wracałem na statek. Otoczył mię rój sprzedających pocztówki chłopców,

zaś jeden z nich tak błagalnym głosem prosił — „pora comer, patron, pora comer!" — (dla chleba, panie, dla chleba), iż żal mi się go zrobiło i nabyłem za kilka rejsów portugalskich albumik widoków Lizbony.

Tymczasem wiatr ucichł zupełnie. Jakiś parowiec pruł gładką jak tafla szklana toń zatoki, mirjady świateł i światełek Lizbony gasły w oddali.

Nazajutrz około południa opuściliśmy port. Pogoda była pyszna. Dymy kominów okrętowych wznosiły się w górę słupami. Lekka mgła przysłoniła ląd i, w miarę naszego oddalania się od brzegu, gęstniała coraz bardziej. Wreszcie ląd przybrał postać obłoku, który stawał się coraz błękitniejszy i bardziej prześwietlony — aż rozwiał się zupełnie. Straciliśmy z oczu Europę. Czy nadługo? czy nie na zawsze? — pytania te można było czytać w twarzach podróżnych, z wyrazem głębokiej zadumy zwróconych w stronę znikającego lądu.

Jeszcze chwila — i szerokie fale Atlantyku zakołysały statkiem zupełnie inaczej, niż wody Europy. Powiał wiatr dziwnie ożywczy, łagodny a potężny. — Rozpoczęła się druga, przyjemniejsza część podróży.

Ostatnią stację na starym lądzie mieliśmy w Funchalu. Przecudnej barwy morze, zgrabne, zielono malowane łódki, domki, ogrody,

hotele na stokach wzgórz, odzianych w podzwrotnikową roślinność — oto garść wspomnień z Madery. Staliśmy tu niedługo. Obok nas dymił jakiś mały parowiec; jego kapitan i sternik w jednej osobie z niezmierną troskliwością rozkładał swe własnoręcznie przed chwilą wyprane majtki, bacząc, aby nie przypaliły się od komina. Gromady mew kołysały się na wodzie, podrzucane przez fale. Morze mieniło się bezustannie, przelewając barwy od seledynowo-zielonej aż do ciemnego szafiru. Ciszę otoczenia przerywały ostre krzyki przewoźników i przekupniów, porozumiewających się zepsutą portugalszczyzną. Na pokładzie było gwarno: przekupnie pomarańcz mieli targ ożywiony. Jedząc soczyste, bez śladu cierpkości, niezmiernie aromatyczne, gdyż świeżo z drzewa zerwane owoce, byliśmy zdumieni, jak dalece różnią się one smakiem od zwykłych, importowanych w stanie niezupełnie dojrzałym do Europy. Prawdopodobnie jednak i gatunek odgrywa tu znaczną rolę. Gromada chłopców, przybyłych na łódkach, otaczała nas dokoła, popisując się umiejętnością nurkowania: rzucane z pokładu drobne miedziane monety chwytali pod wodą ze zręcznością i szybkością nadzwyczajną.

Mieliśmy teraz przed sobą 12 dni jazdy bez przerwy. Ten okres podróży rozpoczął się nad wyraz przyjemnie. Męczące kołysanie

statku ustało prawie zupełnie. Od strony Afryki ciągnął wilgotny, przesycony morską solą powiew; za statkiem słał się jasny szlak, w którym to zapalały się, to gasły drobne iskierki, lub nawet całe snopy światła. Owo zjawisko fosforescencji powodują różne drobne żyjątka morskie, w szczególności *Bacillus phosphorescens*, których własności wydawania światła podnieca wzburzenie wody przez płynący statek; gdy zaś przez pole świetlane przesuwają się większe istoty, jak meduzy, ryby i t. d., wytryskają wówczas całe fontanny niebieskawo-zielonego światła. Ciemna lecz gwiaździsta noc działała rozmarzająco: z każdego zakątka statku dochodziły śpiewy lub dźwięki gitary.

Życie okrętowe poczęło zwolna przybierać pewne określone formy, zarysowały się sympatje i antypatje, jęły tworzyć się kółka i krążyć ploteczki. A wiedzieć należy, iż na statku więcej niż gdzie indziej przestrzega się konwenansów, że baczy się pilnie, aby swej godności nie uchybić przez pospolitowanie się, przez obcowanie z „warstwami niższemi". Dochodzi do tego, iż posiadacz zmiętego i brudnego kołnierzyka traktuje zgóry towarzysza, pozbawionego tej ozdoby.

W świecie kobiecym wyróżniły się szczególniej dwie osoby. Tęga, przystojna blondyna, nieokreślonej narodowości i stanowiska,

mówiąca wszystkiemi językami i kokietująca wszystkich pokolei w sposób cokolwiek napastliwy. Widomym znakiem jej łaski było powierzenie w opiekę szczęśliwemu wybrańcowi faworyta-pieska, przyczem zaznaczyć należy, iż faworyt nader często zmieniał opiekunów. Nie wszyscy jednak mężczyźni zdolni byli ocenić ów zaszczyt. Jeden z marynarzy na pytanie, czem jest zajęty, odpowiedział ze złością:

— Teraz, panie, jestem psim stróżem.

Drugą wybitną, a bardziej pociągającą postacią było młodziutkie dziewczę arabskie. Była to urodzona bałamutka, a czarne, palące jej oczy działały na mężczyzn na podobieństwo prądu elektrycznego. Każdy bezwiednie prostował się, podkręcał wąsa i rzucał czułe spojrzenia. Najbardziej pogrążonym okazał się młody i bardzo przystojny Brazyljanin. Ten godzinami całemi wpatrywał się w Arabkę. Próbowano zawiązać z dziewczyną rozmowę, lecz prowadzona na migi nie kleiła się jakoś, widocznie Arabowie i Brazyljanie nie posiadają zdolności lingwistycznych.

Inaczej rzecz miała się z warszawianką. Jechała pewna urodziwa niewiasta, jak sądziliśmy, w zamiarach matrymonjalnych. Wiadomo nam było, że włada tylko językiem polskim; w podobnem, jak ona, położeniu był i pewien Hiszpan, gdyż mógł wypowiedzieć się

również tylko w ojczystym języku. Pewnego pięknego wieczoru spotykam w zacisznym zakątku pokładu gruchającą parę, do uszu mych dochodzą wyraźnie dźwięki mowy nie mogę tylko rozpoznać, w jakim języku prowadzi rozmowę warszawianka z Hiszpanem. Później miałem sposobność widzieć raz jeszcze ową niewiastę, w zacisznym ogródku, pod cieniem rozłożystej akacji w Kurytybie: tym razem dyskutowała z zapałem z przystojnym Brazylijaninem. Bajeczne zdolności lingwistyczne!

Na wysokości wysp Kanaryjskich podróżni wyletnili się, każdy włożył coś białego — jeśli nie całe ubranie, to choć buty lub spodnie. Wyspy Zielonego Przylądka przemknęły w oddali, jak ostro zarysowane chmury. Od czasu do czasu z toni wysuwał się ciemny grzbiet rekina *(Carcharias glaucus)*; widok jego ponurej postaci działał na podróżnych w sposób tak podniecający, że dobywszy rewolwerów rozpoczynali bezcelową kanonadę, dopóki kapitan nie wdał się w tę sprawę i nie przyaresztował broni, tak skutecznej w walce z rekinami. Czasami też widzieliśmy stada delfinów *(Delphinus delphis)*, które koziołkowały, płynąc na wyścigi ze statkiem. Coraz częściej nad powierzchnią wody sunęły gromady ryb latających, czyniąc niekiedy wrażenie padającego poziomo gradu. Ryby te *(Exocoetus volitans)* wielkości dużego śledzia (około 30 ctm. długości), o srebrzystej łusce, posiadają silnie rozwinięte płetwy piersiowe i mogą nietylko utrzymać się czas jakiś nad powierzchnią morza, lecz nawet nieco zmieniać kierunek obranego lotu. Zauważyłem jednak, że lecąc, nie wznoszą się ponad nadbiegające fale, jeno przerzynają je, posuwając się dalej.

Nocami silnie fosforyzowały fale. Gorąco działa widocznie ogłupiająco: rozmowa nie kleiła się, nie wychodząc swą treścią poza obręb jedzenia i pogody. Gdy wyczerpał się ów jedyny temat, interlokutorzy rozchodzili się, aby poruszyć go znów z kim innym.

W pobliżu równika wjechaliśmy w pas dżdżysty: jął padać deszcz i temperatura ochłodziła się znacznie. Przydługa podróż poczęła już dawać się we znaki. To, co nas przedtem interesowało, a więc „ronda", t. j. oględziny wszystkich ubikacyj okrętowych przez ciało oficerskie, koncerty wieczorne i ranne, wreszcie wspólna kąpiel na przodzie okrętu — przejadło się już bardzo. Natomiast drobne, lecz nieoczekiwane zajścia, jak np. bójka między emigrantami, nabierały znaczenia doniosłych faktów.

Inny, zupełnie odrębny świat tworzyli „podpokładowcy" („Zwischendeckpassagiere" — w gwarze marynarzy niemieckich). W wy-

obraźni naszej zachodnia Europa kojarzy się z pojęciem ładu, porządku i ludzkiego traktowania maluczkich. Stosunki okrętowe w jaskrawej są z tem pojęciem sprzeczności. Jadąc w r. 1910 na okręcie „Columbia", miałem sposobność zaznajomić się z wszelkiemi historyjkami okrętowemi, gdyż na okręcie nikt z załogi nie umiał się porozumieć z emigrantami i z konieczności musiałem służyć za tłumacza.

Powodem drobnych zajść były zawsze: brudy, brutalne obejście się załogi, ciasnota pomieszczenia i klasyczne jadło o wyglądzie i smaku pomyj, bardzo, jak sądzę, odpowiednie dla nierogacizny. A jednakże lwią część zarobku statkom osobowym dają właśnie ci, tak pomiatani przez załogę, podpokładowcy. Na pasażerach I-ej i II-ej klasy, z powodu wielkich kosztów utrzymania, kompanje okrętowe mało zarabiają, czasami nawet zmuszone są dopłacać.

Pewnego poranku poruszyło się wszystko. Na twarzach widać ciekawość i ożywienie, podnoszą się do oczu lunety i lornetki.

— Co się stało?

— Okręt!

Rzeczywiście na krańcu widnokręgu ukazał się parowiec, lecz jakiś nieczuły: nietylko nie wywiesił flagi, lecz nawet powiewanie chustkami zostawił bez odpowiedzi.

W przeddzień przejazdu przez równik zostaliśmy zaalarmowani niezwykłemi odgłosami: statek zahuczał, zagwizdał, rozległ się łoskot bębna i huk rakiet — ukazał się „tryton", który zapowiedział na dzień jutrzejszy wstąpienie na pokład jego królewskiej mości Neptuna. Gwar i oklaski, jakiemi to oznajmienie zostało przyjęte, uczyniły zgiełk tak nieznośny, iż uciekłem na swój stały punkt obserwacyjny — tył statku, za co wynagrodzony zostałem widokiem tak pysznym, jakiego nie widziałem oddawna. Niebo porysowane ciemnemi chmurami, przez które przedzierał się księżyc i srebrzył wierzchołki fal, biegnące spokojnie i równo aż hen — ku krańcom widnokręgu. Za okrętem nieskończonem pasmem ciągnął się błękitnie-świetlisty szlak fosforyzujący...

Nazajutrz odbyły się uroczystości „neptunowe". Na specjalnie na ten cel wzniesionej estradzie zasiadł Neptun z małżonką w asystencji pastora, pisarza i dwóch czarnych policjantów. Nowicjuszów golono olbrzymią brzytwą, następnie zaś „chrzczono" ich w głębokiej i obszernej kadzi. „Ochrzczonym" wydawano patenty na przejazd równika.

Wieczorem w salonie klasy I-ej odbył się bal kostjumowy — panie wystąpiły w ubiorach marynarzy. Statek nasz zatrzymał się właśnie u brzegów wyspy Fernandes Noronha, lecz

ciemna noc pozwoliła dojrzeć tylko śpiczaste kontury jakichś wyniosłości — zresztą cicho było wokół i pusto. Na gwałtowne kilkakrotne gwizdanie naszego okrętu ukazała się wreszcie duża łódź: marynarze w bieli, pasażerowie również biało ubrani — wynurzyli się z mroku jak duchy. Wyspa ta ma być podobno bajecznie piękna, to też żałowaliśmy bardzo, że tak niefortunnie wypadł nam postój.

Na drugi dzień bawiono się jeszcze. Urządzono wyścigi panien (premjum stanowił wachlarz), pogoń ich za chłopcami (premjum — jabłko) i t. d. Wieczorem zaś obserwowaliśmy wspaniały tropikalny zachód słońca. Opuściwszy się tuż nad powierzchnię morza, słońce przysłoniło się chmurką, z poza której wysyłało ostatnie promienie, kąpiąc je w ciemnoszafirowej toni. Gromady obłoków różowych, zielonych, sinych — tworzyły fantastyczne grupy na tle cichego błękitu.

Nadszedł wreszcie ostatni dzień podróży przez Atlantyk, nazajutrz bowiem mieliśmy już stanąć w porcie brazylijskim Bahja. Dzień ów spędziliśmy na oczekiwaniu i wyglądaniu ziemi. Po trzech tygodniach podróży morskiej czuliśmy istny głód zielonej roślinności. Brakło nam czegoś bardziej stałego, niż wiecznie falujące wody, oraz pewniejszego oparcia dla nóg, niż ustawicznie kołyszący się pokład. Dnia tego upał dokuczał nam bardzo, morze przy-

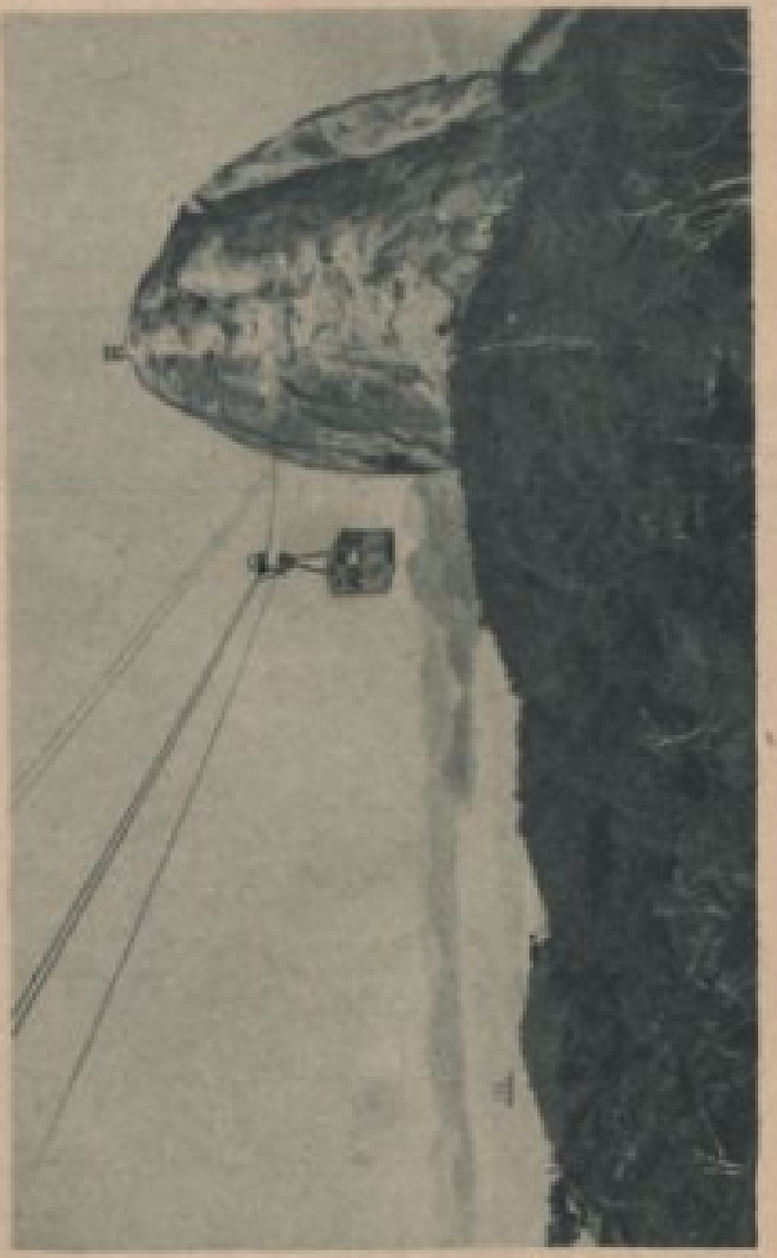

Pão d'Assucar.

BIBLIOTEKA NARODOWA

brało barwę bladą, niebo zaś, prawie białe, przysłoniło się lekką mgłą: promienie słońca, odbijając się od powierzchni morza, prażyły niemiłosiernie. Nic dziwnego — wszak przebywaliśmy najgorętszy pas na kuli ziemskiej. Wieczorem rozległ się okrzyk „Land" — lecz ziemię ujrzeliśmy dopiero nazajutrz o świtaniu.

II.

Na brazylijskiej ziemi.

Urwisty brzeg skalny, kominy fabryczne, gdzie niegdzie malownicze kępy palm, wąskie i białe kaflami wyłożone domki, kryte czerwoną dachówką — to dawna stolica Brazylji — Bahia dos todos os Santos, („Zatoka Wszystkich Świętych") zwana przez skrócenie Bahia. Statek zatrzymał się. Kolejno jęły zbliżać się do nas łodzie motorowe, ozdobione brazylijską flagą rządową — „ordem e progresso"[1]): policja, komora celna, komisja sanitarna i t. d. Wszyscy ci dostojnicy prawie bez wyjątku — murzyni lub mulaci. Nic w tem dziwnego: Bahja — to dawne centrum handlu niewolnikami; corocznie sprzedawano tu około 100.000 murzynów, których stąd nabywcy rozwozili po całym kraju. Po faktycznem zniesieniu niewolnictwa, co nastąpiło dopiero w roku 1888, murzyni, rozsiani w głębi kraju, poczęli znowu

[1]) Wym. ordeń i progresso — porządek i postęp.

gromadnie tu napływać i dziś stanowią olbrzymią większość mieszkańców Bahji.

Zatoka świeciła pustkami: kilka statków i kilkanaście łódek — oto i wszystko. Napróżno też obiecywaliśmy sobie zażyć brazylijskich owoców, bananów, pomarańcz i ananasów; przekupniów bowiem nie było. Zjawili się tylko czarni sprzedawcy papug i małpeczek, mieli jednak targ bardzo lichy, to też zły ich humor wyrażał się w szorstkiem traktowaniu nieszczęsnego towaru: małpy piszczały przeraźliwie, papugi zaś znosiły wybryki murzynów ze stoicyzmem, rzucając tylko od czasu do czasu pogardliwe spojrzenia, lub obelżywe słowa pod adresem swych „chlebodawców". Zielone morze mieniło się i iskrzyło pod prostopadłemi promieniami tropikalnego słońca.

Po krótkim postoju w Bahji ruszyliśmy dalej do Rio de Janeiro.

Wczesnym rankiem wjeżdżaliśmy do najpiękniejszej na świecie zatoki „Rzeki Styczniowej", jak ją przez omyłkę rzeką nazwali odkrywcy portugalscy. Lekka mgła przysłaniała słynne Pão d'Assucar[2]) po lewej — i Fortaleza de Santa Cruz po prawej stronie wejścia do olbrzymiej zatoki, usianej archipelagiem setek drobnych malowniczych wysp. Coraz

[2]) Pą d'asukar — głowa cukru.

wyraźniej jęły rysować się na brzegu pióropusze palm kokosowych i sylwetki pysznych pałacyków, nadające miastu wybitną cechę wykwintu.

Na okręcie zgiełk: starszy oficer komenderuje na przednim pokładzie, kapitan na swym mostku, marynarz powtarza przez tubę rozkazy kapitana. Oficer złości się, gdyż rozkazów nie słychać wyraźnie, marynarze klną, olbrzymie liny, ciągnące okręt bokiem do brzegu, trzeszczą i grożą zerwaniem.

Na brzegu zebrała się gromada Brazylijan i przyglądała się nam ciekawie. Rozpoznali znać przynależność narodową naszego okrętu, gdyż słyszeć się dają niezbyt pochlebne dla nas okrzyki: Allemãos desgraçados! filhos da...[1]) i t. p. z obfitego słownika brazylijskiego. Już to przyznać należy, że pomimo doniosłej roli, jaką Niemcy odgrywają w życiu ekonomicznem, a nawet politycznem i kulturalnem Brazylji, niewielu posiadają tam zwolenników, lub sympatyków. Nie rozumiem nawet dokładnie przyczyny tej niechęci, przypuścić jednak należy, iż zawiniła tu znowu znana buta pruska, która drażniła poczucie godności narodowej tego, bądź co bądź, młodego i bardzo zdolnego narodu. Polityka następowania na pięty i lekceważenia wszystkich, nie należących do państwa „bojaźni Bożej", oddała i tu Niemcom złą usługę.

[1]) Wym. Allmąs dezgrasados, filjos — Przeklęci Niemcy, tacy synowie...

Usłyszeliśmy wreszcie upragnione „halt!" i triumfujące „all right!" Wyskakuję pośpiesznie na ziemię. Po 26 dniach podróży spragniony jestem ruchu na stałym lądzie; przebiega właśnie tramwaj „Caes do porto"; wsiadam i pędzimy przez aleję wyniosłych palm królewskich. W tramwaju na 25 mężczyzn są tylko 2 kobiety — znać tu już Amerykę z jej ogromną przewagą płci brzydkiej. Mijamy sklepy bez drzwi i szyldów; sprzedający, zwyczajem amerykańskim bez surdutów, obsługują klientelę przeważnie na ulicy; znać głębokie południe z żywiołowem dążeniem do otwartego powietrza. Na ulicach widzimy policjantów, uzbrojonych jedynie w pałeczki policyjne, pojazdy wyłącznie samochodowe — to już miasto nowożytne, w którem zaprzęgi konne należą do zabytków, utrzymywanych tylko przez arystokrację.

Tramwaje „Caes do porto" — to coś w rodzaju warszawskiego „zera": okrążywszy spory szmat miasta, powracają do punktu wyjścia. Dojechawszy tedy do przystani, powracam na okręt.

Na okręcie gwarno: część pasażerów osiągnęła już kres swej podróży morskiej i pakowała się pospiesznie, ażeby wyruszyć dalej koleją w głąb kraju. Do nich należeli moi

przygodni towarzysze podróży Niemcy, z którymi dość zżyłem się, obcując w ciągu tak długiego czasu. Sylwetka jednego z nich, malarza K. Schieringa, szczególniej utrwaliła się w mej pamięci. Sądzę, że, gdyby takich Niemców była większość, zjednaliby powszechną dla całego narodu sympatję i szacunek. Nie mogłem w nim dostrzec ani cienia sobkostwa i zarozumiałości, które tak przykro rażą w stosunkach z olbrzymią większością jego rodaków. Artysta lubił ludzi bez względu na narodowość, uwielbiał przyrodę, kochał swój zawód i z ogromnym entuzjazmem dążył do poznania podzwrotnikowej krainy. O zmroku nieraz godzinami przesiadywał ze mną, wypytując o najdrobniejsze szczegóły z życia osadnika brazylijskiego, które go tak potężnie pociągało. Żałowaliśmy też obadwaj, że w Rio drogi nasze rozchodzą się. Artysta dążył do São Bento, gdzie mieszkali jego krewni, i tam zamierzał rozpocząć swą pracę. Na miejsce odjeżdżających pasażerów zjawiali się inni z okrętów, które z Rio wracały do Europy. Wśród nowoprzybyłych zauważyłem również i Polaków: pierwsze twarze polskie od czasu wyjazdu z Berlina. Po przełamaniu lodów — zwykła w takich razach gawęda: a dokąd? a poco? a do kogo?

Rzecz szczególna! Ludzie innych narodowości mają zawsze jasno wytknięty, dokładnie określony cel podróży. Szczególniej — Niemcy; każdy, o ile nie jedzie do rodziny, ma umowę zawartą legalnie i poświadczoną, z dokładnie, a nawet drobiazgowo oznaczonemi warunkami pracy, ma też i termin określony i zgóry zapewnione wszelkie możliwe ułatwienia w podróży. Tylko z Polakami rzecz ma się inaczej: w ogromnej większości wypadków o celu swej podróży mają jedynie mgliste wyobrażenie i przeważnie niedokładne lub fałszywe dane. Tak było i z moimi nowymi znajomymi: żaden nie posiadał określonego fachu, pozwalającego zarobkować na miejscu, do wyjazdu zaś skłoniły ich listy od dalszej rodziny, w których przebijał się wprawdzie entuzjazm do Brazylji, lecz nie było nic konkretnego.

Nie umiem określić przyczyny tego zjawiska. Może z jednej strony dążenie do czegoś lepszego, niecodziennego z taką siłą występuje u Polaków, iż rzuca ich poprostu w nieznane drogi, z drugiej zaś strony może grzeszy tu także w znacznej mierze nasza nieopatrzność i naiwna lekkomyślność. Do załogi Hohenstaufen'a również należał jeden Polak, pomocnik maszynisty, o którego narodowości dowiedziałem się dopiero podczas postoju w Rio. W człowieku tym bezsprzecznie dominowało owo dążenie do czegoś lepszego i wyższego. Zamierzał poświęcić się lotnic-

twu, po głowie snuły mu się plany nowych, ulepszonych modeli. Stanowił też dobitny kontrast z marynarzami niemieckimi, topiącymi cały czas wolny i cały zarobek w morzu pochłanianego łapczywie piwa!

Na okręcie rozpoczęła się żmudna praca karregadorów: rozwarły się luki okrętowe, rozebrano pokłady — i olbrzymie skrzynie ze zgrzytem i łoskotem wind parowych poczęły wznosić się w powietrze, ażeby, opisawszy tu łuk, piętrzyć się następnie na przystani. Wśród piekielnego upału powstał kurz, tamujący oddech i przenikający wszędzie. W takiej atmosferze trudno było wytrzymać, wynosiłem się więc na cały dzień, powracając „do domu" jedynie na nocleg.

Postój naszego okrętu zaciągnął się na tydzień. Korzystałem z tego, by poznać bliżej miasto, uważane, zapewnię słusznie, za najpiękniejsze na świecie. Ponieważ K. Schieringowi wypadło również zatrzymać się w Rio, odbywaliśmy wspólne wycieczki, brak bowiem znajomości języka miejscowego krępował go bardzo i onieśmielał.

Wczesnym tedy rankiem wyruszaliśmy na włóczęgę po mieście. Praça Quinze de Novembro, Rua de Commercio, Rua d'Ouvidor, reprezentujące najbardziej handlową i postępową część miasta, są kubek w kubek podobne do setek ulic i placów w innych wielkich

miastach, a że mnóstwo tu cudzoziemców, więc nawet po mowie przechodniów określić nie można, w jakim znajdujemy się kraju. Wstępujemy do sklepu z owocami, na wystawach pełno jabłek, gruszek, winogron i innych podobnie „egzotycznych" owoców. Próżnobyś jednak szukał bananów, lub pomarańcz. Można je dostać w sklepikach na przedmieściu. Kobiet na ulicach spotykamy mało. Silnie uperfumowane i jakiejś nadmiernej, nienaturalnej białości, urocze mieszkanki Rio w całem zachowaniu zdradzają, że rolę swą — wybranek fortuny — rozumieją należycie. Przechodzi oto taka piękność wpoprzek ulicy. Policjant, typowy mulat, który wówczas właśnie powstrzymywał pałeczką ruch pieszy, oburza się, spostrzegłszy jednak, że to nadobna niewiasta, uśmiecha się tylko pobłażliwie: dla nich, kwiatków ludzkości, niema przepisów.

Ogromnie przypadł nam do gustu miejscowy napój: caldo do canna — wyciśnięty i zamrożony sok trzciny cukrowej; podczas spiekoty brazylijskiej wydaje się spragnionemu wędrowcowi niebiańskim nektarem. Na każdym też kroku w otwartych budkach sprzedają doskonałą czarną kawę. Wpływ gorącego klimatu Rio wycisnął swe piętno na mieszkańcach: zarówno Europejczycy, jak i mulaci w ogromnej większości nadmiernie

szczupli, jedynie murzyni, którym klimat służy, są przeważnie dobrej tuszy.

Pewnego poranku wybraliśmy się na zwiedzenie słynnego Ogrodu Botanicznego. Tramwaje biegną wzdłuż wybrzeża morskiego obok wspaniałych pałacyków, tworzących przedmieście — Botafogo. Niesłychany przepych z jakim budowano te pałacyki, otaczając je ogródkami, fontannami, marmurowemi figurami i przepysznemi klombami, wskazuje, że ich właściciele, arystokracja brazylijska, nie liczyli się z gotówką, czerpaną w obfitości z pracy niewolników na plantacjach kawy.

Ogród Botaniczny robi rzeczywiście imponujące wrażenie, w szczególności wspaniała aleja wyniosłych palm królewskich (*Oreodoxa regia*). Rzekłbyś, że to wyniosłe kolumny świątyni, mającej zamiast sklepienia korony przepysznych liści.

Obok palm rzucały się w oczy drzewa kauczukowe (*Hevea brasiliensis*), *Comidesia reticulata*, zwane przez miejscowych Jaboticaba pellada, mimozy (*Mimosa pudica*), drzewo cedrowe — *Cedro rubra*, drzewo żelazne (*Caesalpinia ferrea*) z liśćmi drobnemi, jak u akacji, i wiele innych.

Nie zachwycił nas jednak porządek, panujący w ogrodzie: wiele tabliczek z napisami leżało na ziemi, dużo też okazów, zdaje się, nigdy ich nie posiadało. W niektórych punktach ogród zupełnie jest zaniedbany.

Ogromną przyjemność zrobił mi natomiast dobrze znany głos ptaka brazylijskiego bem-ti-vi (*Pitangus sulphuratus*), którego odmianę — *Pitangus sulphuratus boliviamus* — miałem sposobność poznać dobrze w Paranie. Jest to duża, wielkości drozda muchołówka amerykańska z rodziny *Tyrannidae*, o żółtym brzuszku, główce czarnej z białemi wstęgami po bokach i pomarańczowym czubku. Chwyta wlot przelatujące owady, wracając na stary posterunek — wierzchołek drzewa i powtarzając ustawicznie swą zwrotkę, od której otrzymała nazwę: bem-ti-vi.[1])

Istnieje nawet legenda, w której ta muchołówka prześladuje ową zwrotką złoczyńcę po dokonanem przestępstwie. W rzeczywistości lubi ścigać, lecz tylko w gromadzie, lecąc za dosyć pospolitym w Brazylji jastrzębiem — *Accipiter erythrocnemis*.

W powrotnej drodze zatrzymujemy się u stóp Pão d' Assucar[2]), na którego szczyt można się dostać w zabawnym, przesuwającym się po linach tramwaju. Zauważyłem, że panie przed wycieczką zdejmowały i zostawiały na stacji kapelusze, obawiały się widocznie,

[1]) Wym. beń ti vi — dobrze cię widziałam.
[2]) Wym. Pą d'asukar — Głowa cukru.

ażeby w razie upadku wagonu kapelusze nie doznały szwanku

Przydługi czas postoju okrętu w Rio pozwolił mi na zwiedzenie przytułku dla emigrantów na Ilha das Flores[1]) w celu odświeżenia wspomnień pierwszych chwil pobytu w r. 1910 na brazylijskiej ziemi. Przybyliśmy tam już późno wieczorem. Pyszne, kaflami wysadzane ściany baraków, sprężynowe łóżka, prysznice i parowe pralnie, robiły doskonałe wrażenie. Ciemne kontury wyniosłych drzew pomarańczowych, aleje olbrzymich bananów w blasku księżyca fantastyczne, bajeczne przybierały kształty. W ciszy nocnej łoskot spadających na ziemię owoców, namiętne tchnienie podzwrotnikowej roślinności, smętny, melodyjny głos sówki leśnej (*Otus choliba*) działały odurzająco.

— Panie! to chyba już i w niebie nie może być lepiej, do białego dnia zasnąć nie mogę, takie to wszystko piękne — wypowiada swój zachwyt świeżo przybyły emigrant.

Tu, na „Wyspie kwiatów" zrobiliśmy też pierwszą znajomość z brazylijską herbatą. Podano nam napój o wyglądzie i zapachu odwaru śliwek i łagodnym swoistym smaku. Herbata ta jest w tak powszechnem użyciu

[1]) Wym. Ilja das flores — Wyspa kwiatów.

w Paranie, że pozwolę sobie zatrzymać się nad nią nieco dłużej. Dostarcza jej roślina, znana wśród krajowców pod nazwą „mathe" (*Ilex paraguayensis*), spotykana jużto w postaci niewielkich, wiecznie zielonych krzaków, jużto w postaci drzewek o korze jasnej, zbliżonej do kory naszej topoli i ciemnych, jakby lakierowanych liściach; kwiaty zielone, niewidoczne, owoc — mała, ciemna jagódka. Ta osobliwa roślina znana jest od wieków krajowcom, t. j. różnym plemionom indyjskim. Jezuici, pracując wśród tych plemion i zakładając swe teokratyczne państewka, zapoznali się z nią za pośrednictwem swych owieczek i, ceniąc wysoko jej własności i działanie, dokładali wszelkich usiłowań, ażeby tajemnica hodowania rośliny, zbierania, oraz przyrządzania z niej napoju nie została odkryta przez obcych i niepowołanych; to też obecnie roślina ta znajduje się wyłącznie w stanie dzikim, gdyż sposoby jej rozmnażania nie są znane. Zebrane z drzew nasiona nie wydają roślin, przesadzona dzika roślinka usycha, próby zaś rozmnażania przy pomocy tak zwanych odkładów nie dały również dobrych wyników. Przypuszczalnie nasiona tej rośliny, której jagódki z wielką łapczywością zjadane są przez ptactwo, zwłaszcza przez papugi *Pionus maximiliani*, dopiero po przejściu przez kanał pokarmowy ptaka zdolne są do kiełkowania.

Zbiór mathe odbywa się w ten sposób, że roślinę podkrzesują perjodycznie, obcinając jej co parę lat większość gałęzi. Świeżo ścięte gałązki oparzają nad płonącem ogniskiem, poczem następuje dość skomplikowany proces suszenia i młocki grubemi kijami, używanemi w Brazylji zamiast cepów, wreszcie omłóconą przesiewają kilkakrotnie. W tym stanie mathe nadaje się do użytku na miejscu, na eksport jednak poddaje się jeszcze przeróbce — ponownemu suszeniu i mieleniu w specjalnie na ten cel zbudowanych młynach. Otrzymany produkt o wyglądzie zielonkawej tabaczki w olbrzymich ilościach wywożą z Parany zwłaszcza do Argentyny.

Zaparzają mathe w garnuszkach z tykwy, zwanych „kuja", częstokroć ozdobionych misternie wyrzynanemi lub wypalanemi figurkami, nazwiskiem właściciela i t. p. Zaparzoną gorącą wodą herbata pije się przy pomocy rurek, zwykle srebrnych, zaopatrzonych na końcu w siteczko. Rurka taka zowie się „bomba". Brazylijski zwyczaj wymaga, aby pierwszy napar wypijał gospodarz domu, poczem kuję napełniają znowu i podają kolejno obecnym i kolejka powtarza się wielokrotnie: kuja krąży i krąży na podobieństwo „fajki pokoju" Indjan północno-amerykańskich. Zwyczaj ów przypomina też żywo „czajepitje" chłopów rosyjskich.

Do napoju tego, zwanego „chimarão"[1]) mieszkańcy Parany są tak przyzwyczajeni, iż żaden nie ruszy się z domu, dopóki nie wypróżni kilka kuj; podobnie po powrocie przedewszystkiem zabierają się do chimaronu. Jeżeli gość zawita do domu, niezwłocznie na scenę występuje kuja. Powszechnie utrzymują, na co i ja się zgadzam poniekąd, że wypicie mathe usuwa zmęczenie, dodaje energji i siły.

W powrotnej podróży na okręt, trwającej niecałe pół godziny, nasza łódź motorowa była napastowana przez jakiegoś potwora morskiego, który, jak nam się zdawało, zamierzał ją zatopić. Okazało się wszakże, że była to tylko płaszczka (Raja), która z niewiadomych nam przyczyn narobiła wiele hałasu, bałwaniąc gładką, jak tafla szklana, zatokę.

W nocy Hohenstaufen odpłynął do kresu swej podróży — Santos.

Była gorąca i duszna poobiednia godzina, gdy statek dosięgnął przystani. Nad miastem unosiła się lekka mgła — opary z bagnistej rzeki Cubatao — przysłaniająca wznoszące się nad portem wzgórza Monserrate. Jak zwyczaj każe, pierwsza z wizytą na nasz statek pośpieszyła policja. Odczytując z listy pasażerów nazwiska, urzędnik policyjny tak przekrę-

[1]) Wym. szimarą.

cił polskie nazwisko jednego z nych towarzyszów, że brzmiało ono: „uhu, uhu", co obecni Brazylijanie przyjęli wybuchem śmiechu.

Chcąc położyć kres tej miłej zabawie, zwracam się do towarzysza, zdziwionego tą sceną, i objaśniam głośno po portugalsku:

— Jeden mędrzec nie umie pisać, drugi — czytać, a inni się cieszą, że mają takich mądrych urzędników.

Miny wnet spoważniały, zabawa się skończyła.

Tuż opodal na przystani znajdują się hale komory celnej. Chcieliśmy załatwić formalności niezwłocznie, okazało się to jednak niełatwem. W halach są osobne przedziały dla bagażu pasażerów wszystkich klas okrętowych, mój zaś bagaż został podzielony równo między trzy klasy, i trudno go było odszukać. Jak zwykle w brazylijskich urzędach, prawica nie wie, co się dzieje u lewicy i za najlepszy sposób załatwiania interesantów uważają odsyłanie ich do kogo innego. W ten sposób wędrowałem od jednego „dottora", do drugiego i gdym wreszcie natrafił na urzędnika, który już nie mógł się wykręcić, gdyż widocznie nie miał do kogo mię odesłać, oświadczono mi, że pora spóźniona i że należy stawić się jutro o 8-ej rano.

Szczególnym trafem zdarzyło się, że wszyscy ci urzędnicy celni byli doktorami.

Droga do Kurytyby.

Parana

BIBLIOTEKA NARODOWA

Nie sądzę, aby to była tylko tytułomanja, właściwa narodom o niskiej kulturze. Przyczyna jest raczej inna. W Brazylji rzeczywista umiejętna praca nie ma żadnego waloru, natomiast istnieje bałwochwalstwo dla tytułu. Licząc się z tym prądem, brazylijskie zakłady naukowe produkują w tempie pośpiesznem doktorów, gdyż młodzież za cel ostateczny uważa zdobycie tytułu, tylko bowiem jego posiadanie zapewnić może dochód bez nakładu pracy i energji na stanowisku, które niezwłocznie przetwarza się w synekurę.

Obok miejscowych przedsiębiorstw brazylijskich, wegetujących marnie, bo przeładowanych dygnitarzami, znajdujemy w Brazylji przedsiębiorstwa północno-amerykańskie, pracujące nadzwyczaj intensywnie i z wielkim rozmachem. Ale bo u yankesów jedynie i wyłącznie praca jest ceniona, a jakość i wydajność tej pracy, nie zaś tytuł lub protekcja, decydują o stanowisku danego pracownika. W ten, tak prosty sposób yankesi osiągają ideał administracyjny, określony w lapidarnym zwrocie angielskim: „right man on the right place".

W najbliższem sąsiedztwie komory celnej pośpiesznie ładowano okręty kawą. Karregadorzy pomimo piekielnego upału biegli kłusem, dźwigając na głowach zwykle po dwa worki, zawierające po 60 klgr. kawy. Siła i wytrwa-

łość zdumiewająca! W powietrzu unosił się zapach surowej i palonej kawy. Santos — to bodaj największy na świecie rynek handlu kawą. Przeciętny eksport roczny dochodzi do 200,000 tonn Kawa pochodzi z plantacyj w głębi stanów São Paulo i Minas Geraes.

Widziałem później owe plantacje. Roślina kawowa (*Coffea arabica*) ma postać niewielkiego drzewka o ciemno-zielonych liściach i białem aromatycznem kwieciu. Owoc — niewielka czerwona jagódka, zawierająca dwie pestki. Roślina nie wymaga wysokiej temperatury, nie znosi jednak przymrozków, to też we wschodniej części Parany, chłodnej i górzystej, nie spotykamy jej wcale. Prawdopodobnie jednak w niskich, gorących dolinach rzek Ivahy i Parana mogłaby być uprawianą, należy to jednak do odległej jeszcze przyszłości...

Nieznośny upał, daleko silniej dający się tu odczuwać, niż w Rio de Janeiro, zapędził nas wreszcie do hotelu, ale poto tylko, ażeby się jeszcze więcej pocić w dusznej nad wyraz atmosferze.

Godzinę 8-ą rano wyznaczono nam w komorze celnej widocznie na żarty, gdyż dottor zjawił się dopiero o dziesiątej. Ponieważ ja nie znam się na tego rodzaju żartach, a chodziło mi o pośpieszne załatwienie sprawy, więc, zjawiwszy się punktualnie o wyznaczonej godzinie, dwie godziny przeczekałem na-

próżno. Nie lubiłem nigdy wyczekiwać, więc rozdrażniony zrobiłem wymówkę urzędnikowi, na którą, zamiast jakiegoś tłumaczenia, dottor odpowiedział mi z największą flegmą:

— Aqui é Brazil, senhor pode mandar na sua terra.[1])

— Na minha terra[2]) — odrzekłem mu na to — urzędnicy są słowni i w obejściu szczególniej z cudzoziemcami uprzejmi. Tem aqui — dodałem z odcieniem politowania w głosie — ainda muita selvageria.[3])

Nauczka była ostra i poskutkowała. Urzędnik załatwił formalności, nie robiąc już żadnych objekcyj.

Gdyby mu jednak przyszło do głowy zapytać, gdzie istnieje taka idylla urzędnicza, byłbym w niemałym kłopocie. Później dopiero, podczas powrotnej podróży przekonałem się, że krajem tym jest Norwegja. Tam rzeczywiście słowność, kompetencja i uprzejmość urzędników stoją na takiej wysokości, że z czemś podobnem jedynie w Anglji i to nie zawsze i nie w tym stopniu podróżny może się spotkać. Nie są to jednak cechy, charakteryzujące

---

[1]) Wym.: aki e Brazil, sinjor pode mandar na sua terra — Tu Brazylja, niech pan rozkazuje w swym kraju.

[2]) Wym.: na minja terra — w mojej ojczyźnie.

[3]) Wym.: teń aki ainda muita selważerja — dużo tu jeszcze dzikości.

wyłącznie urzędnika. Jadąc w wagonie, rozpocząłem rozmowę z towarzyszami podróży. Dowiedziawszy się, że chcę się zatrzymać w Chrystjanji, ażeby poznać nieco miasto, jeden z nich ofiarował mi się za przewodnika, i taką otoczył mię opieką, że czułem się tam bardziej swojsko, niż w rodzinnem mieście — Warszawie.

III.

W głąb kraju.

Załatwiwszy wszelkie formalności z bagażem, i otrzymawszy informacje, że z São Paulo co kilka godzin odchodzą pociągi w głąb kraju, wsiedliśmy do wagonu kolei, łączącej port ze stolicą stanu. Podróż trwa zaledwie parę godzin. Pociąg przebywa pasmo gór Serra do Mar, przeto powietrze staje się coraz chłodniejsze. Widoki, ukazujące się po obu stronach toru, są wprawdzie dość malownicze, lecz wręcz nie wytrzymują porównania z tem, co widziałem w r. 1910, jadąc z Paranagua do Kurytyby. Tam przedewszystkiem sztuka inżynierska dokonała cudów: takich mostów, wiaduktów, tuneli — nie spotykałem nigdzie na świecie, lecz i natura dostarcza niezwykłych wrażeń. Jadący wówczas ze mną podróżni, jak w gorączce, przebiegali od jednego okna wagonu do drugiego, aby nic nie stracić z widoku zdumiewających malowniczością gór. Z jednej strony wznosiły się groźnie nie-

potężne swe szpony, zadając silne razy hakowatym dziobem. O tego rodzaju przygodzie opowiada słynny podróżnik francuski Alcide d'Orbigny w dziele swem: Voyage dans l'Amérique Méridionale (tom IV, str. 82). Zadane mu przez harpję rany były bardzo bolesne i omal nie przyprawiły go o kalectwo.

W bliskości São Paulo, mianowicie w Butantan, istnieje niezmiernie ciekawy zakład, — Instytut Vitala Brazila, wyrabiający surowicę przeciw ukąszeniu przez jadowite żmije, według przepisu prof. Calmette. Wyrabia się tam surowica *anti-bothropica* przeciwko ukąszeniu przez żmije z rodzaju *Lachesis* — należą tu słynna jararaca[1]) (*Lachesis atrox*) i niemniej głośna surucucu[2]) (*Lachesis mutus*), — oraz *anti-crotalica*, stosowana w razie ukąszenia przez grzechotnika. W wypadkach, gdy niepodobna stwierdzić, jakiego gatunku żmija zadała ukąszenie, stosuje się surowicę poływalentną, zwaną *anti-ophidica*.

Ilość wstrzykiwanej surowicy waha się w granicach od 10 do 30 cm. sześciennych. W razach, gdy śmierci należy spodziewać się w ciągu 12-u godzin od chwili ukąszenia (śmierć szybsza zdarza się stosunkowo rzadko) niezbędne jest wstrzyknięcie zaraz w pierwszej godzinie po ukąszeniu. Statystyka

[1]) Wym. żararaka.
[2]) Wym. surukuku.

Mapa Parany

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

wypadków śmierci od ukąszenia przez żmije w stanie São Paulo stwierdza skuteczność metody dr. Vitala; mianowicie przed założeniem Instytutu było przeciętnie 240 wypadków śmiertelnych rocznie, później zaś śmiertelność spadła do 130, i to mimo nieznacznego jeszcze rozpowszechnienia surowicy. Obecnie ziemianie paulistańscy stosują surowicę w wypadkach pokąsania bydła, koni lub psów, których dawniej mnóstwo ginęło od jadu żmij. Surowicę tę należy polecić wszystkim podróżnikom, udającym się w głąb lądu południowo-amerykańskiego.

Doczekaliśmy się wreszcie pociągu, i lżej zrobiło się na duszy, gdy ruszył. Mijamy domki przedmieścia São Paulo, jednego z największych i bodaj najruchliwszego z miast brazylijskich, oddalamy się coraz bardziej od pagórków leśnych, krajobraz staje się coraz równiejszy i bardziej płaski.

Na jednej ze stacyj wsiada do wagonu żołnierz-murzyn. Są to najnieznośniejsze w Brazylji figury, zwykle napół lub zupełnie pijani, hałaśliwi, gadatliwi i ustawicznie szukający kłótni. W innych krajach widok obdartego murzyna, niosącego broń, zawiniętą w stare gazety i obwiązaną szpagatem, wywołałby śmiech ogólny, w Brazylji zaś wszyscy starają się usilnie uniknąć zajścia i zejść z drogi takim sympatycznym osobnikom.

W miarę posuwania się w głąb kraju, wagony poczęły zapełniać się „kaboklami". W naszej literaturze podróżniczej sylwetki tych mieszkańców puszcz brazylijskich malowane są w sposób zbyt groteskowy. Ja miałem sposobność jeszcze za poprzedniej bytności poznać ich bliżej. Ludzie ci, wychowani w posępnych borach brazylijskich, nie grzeszą wprawdzie zbytnią ogładą towarzyską, natomiast przystosowani są idealnie do warunków otaczającej przyrody. Odwaga, zimna krew, umiejętność radzenia sobie w potrzebie i jakiś pogodny filozoficzny spokój cechują kaboklów, poczucie godności osobistej z odcieniem dumy, słowność i prawdomówność stawiają ich o całe niebo wyżej od europejskich osadników. Nie można też porównywać skrzętnych, zapobiegliwych kaboklów z gnuśnymi, zdemoralizowanymi i lubującymi się w fałszywych komplementach mieszkańcami miast.

Oryginalny strój, składający się z poncha w jasne i ciemne paski, zwanego tu pala, butów przeważnie z ostrogami i kapelusza o szerokich rondach, tudzież uzbrojenie — rodzaj bagnetu (faca)[1]) i wielkiego pistoletu za pasem — nadają im wygląd cokolwiek zbójecki. Jednakże o zabójstwach wśród kaboklów

[1]) Wym.: — faka.

mało się słyszy, a kradzieże popełniają, zdaje się, wyłącznie przybysze z Europy.

Pociąg na stacyjkach zatrzymuje się tylko na krótkie chwile, ponieważ zaś dokuczało mi pragnienie, zwracam się tedy do konduktora, zwanego tu szumnie dowódcą pociągu (chefe do trem),[1]) z zapytaniem, na której stacji zatrzymamy się dłużej, chciałbym się bowiem napić kawy.

— Zaraz na następnej — odpowiedział szef.

— A ile czasu stoi tam pociąg?

— Trzy minuty.

— To za mało; nie zdążę się napić.

— Więc niech pan pije, ja zaczekam.

Zdumiony taką uprzejmością, wychodzę z wagonu. Niezręczny ruch któregoś z pasażerów strąca mi z głowy angielski hełm korkowy, który podskakując oddala się w przeciwną stronę — muszę więc biec za kapeluszem; wracając namyślam się, czy zdążę jeszcze napić się kawy, spostrzegam jednak, że szef stoi przy pociągu, patrzy na mnie i nie daje sygnału do odjazdu. Podchodzę tedy śmiało do budki na peronie i piję filiżankę doskonałej kawy, spoglądam przytem na szefa: stoi spokojnie i uśmiecha się. Piję przeto i drugą.

[1]) Wym. szefe do treń.

— Muito obrigado, senhor![1])

— Não é do que.[2])

Na stacji Itararé mijamy granicę między stanami São Paulo i Parana, i przez miasta Pirahy i Castro dążymy do Ponta Grossa. Miasteczko to, leżące wśród stepów, zwanych w Paranie kampami, jest mi dobrze znane z czasów poprzedniej podróży. W odległości niespełna kilometra znajdują się baraki emigrantów, w których, jadąc na kolonje, przebywałem czas jakiś. Jechała podówczas partja osadników niemieckich, z którymi władze brazylijskie, dążące do stworzenia osad o wyższej kulturze rolnej, liczyły się bardzo. Po drodze osadnicy ci zwiedzili kolonje Alfonso Penna pod Kurytybą i, poznawszy stan rzeczy w osadzie jednego ze swych ziomków, mocno byli wzburzeni. Snadź to, co widzieli, nie zachwyciło ich, gdyż do mych uszu dolatywały urywane zdania.

— Pójdziemy do konsula.

— Muszą nas odesłać zpowrotem.

Nie pomagały wszelkie możliwe względy, okazywane im przez zarząd baraków. Niemcy gorączkowo wzięli się do roboty: rozpakowali manatki i urządzili coś w rodzaju bazaru, ku wielkiej uciesze mieszkańców miasteczka, uradowanych z okazji taniego nabycia potrzebnych rzeczy. To też targ nie trwał długo i wkrótce Niemcy, pozbywszy się bagażu, ruszyli zpowrotem, odpowiadając na zaczepki:

— My nie Polacy, nie pozwolimy się krzywdzić.

— My mamy swego konsula!

W pamięci mej pozostanie też na zawsze następująca scenka:

Chcąc wcześniej poznać stosunki, panujące na kolonji Vera Guarany, oddzieliłem się od emigrantów i pojechałem sam, pozostawiając rzeczy w barakach. Gdy powracałem późnym wieczorem, spostrzegłem w pobliżu baraków płonące ognisko, a wkoło zadumane, zasłuchane figury naszych chłopów. Zbliżyłem się tedy i usłyszałem głos, recytujący ustęp z „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza. Słuchałem dłuższą chwilę i niebardzo zdawałem sobie sprawę, w jaki sposób może ktoś czytać przy niejasnem migocącem świetle ogniska. Okazało się wszakże, że to ślepy muzykant, który umiał napamięć trylogję Sienkiewicza recytował z pamięci całe jej ustępy dosłownie. Z głębokiej uwagi i zasłuchania otaczających mogłem przekonać się, iż arcydzieła Sienkiewicza tchnące patrjotyzmem i budzące silnie świadomość narodową, istotnie trafiły do chaty wieśniaczej.

[1]) Wym. muito obrigado sinjor — dziękuję bardzo.

[2]) Wym. nã é do kie — niema za co.

Samo miasteczko Ponta Grossa, niewielkie, lecz schludne, nie posiada nic zajmującego; ma szkółkę polską, utrzymywaną przez miejscowe towarzystwo oświatowe, i kilka polskich sklepów, zwanych „wendami".

Doczekawszy się pociągu w stronę Kurytyby, ruszamy dalej. Znajdujący się w wagonie koloniści polscy z Santa Barbara, usłyszawszy mowę polską, zbliżają się do nas; niestety, mówiąc, kaleczą co chwila język portugalszczyzną. W wędrówce za zarobkiem nauczyli się języka miejscowego i, używając go chętnie nawet w rozmowie między sobą, bardzo popsuli sobie język ojczysty.

Zdarza się niekiedy, że kolonista polski wstydzi się polszczyzny, uważając ją za język pospólstwa.

— Naco nam tu język polski? Każdy się tylko z człowieka naśmieje.

U starszych natomiast istnieje głębokie, aczkolwiek fizyczne raczej przywiązanie do Polski.

— Dawniej nie było nocy — mówił przybyły dawno z Polski kolonista — w którejbym we śnie nie wędrował do swoich. A i teraz dniem i nocą szedłbym piechotą, ażeby choć zobaczyć ziemię, gdzie leżą kości ojców.

Wieczór nadchodził. W dali ukazało się światło, które rosło stopniowo i rozsypywało się w tysiące drobnych światełek. Pociąg zagwizdał przeraźliwie i stanął. Jesteśmy w Kurytybie.

Po męczącym noclegu w dusznym hotelu — wesoły przyjemny ranek. Rozglądam się po mieście: było już dawniej rozległe i ruchliwe, obecnie zaś rozrosło się jeszcze i uporządkowało.

W centrum miasta czystość wzorowa. Idę na Praça Tiradentes, najlepszą dzielnicę miasta. Na rogu widnieje szyld z wielkiemi literami: „Livraria Polacca", — siedziba redakcji popularnego pisma polskiego w Paranie: „Polak w Brazylji".

Przechodząc koło otwartych okien parterowych przeważnie domków, widzimy cudne główki kurytybianek, o pięknem powłóczystem spojrzeniu, opartych o specjalne zewnętrzne framugi. Mało ruchliwe, pokazują się na ulicach niechętnie, natomiast stale przebywają w oknach domów. Wystawa taka trwa do zmroku.

Zetknięcie się z przedstawicielami polonji tutejszej nie sprawiło mi takiej przyjemności, jaką sobie obiecywałem. Dziwny bowiem i przykry zwyczaj mają naogół Polacy parańscy. Ody dwie osoby zejdą się na chwilę, natychmiast przystępują do obmawiania wszystkich pokolei członków polonji tutejszej, a z ust jak grad sypią się epitety: łotr, szubrawiec, złodziej, oszust i t. d.

W rezultacie okazuje się, że tylko dwóch zacnych rodaków znajduje się w Paranie, — to rozmawiający. Doszedłszy do tak pomyślnych wyników, rozstają się, ażeby w innym miejscu i z innemi osobami powtórzyć znowu to samo.

Na krańcu miasta istnieje „Gospoda dla imigrantów". W r. 1910 po przybyciu z Europy przebywałem tu dłużej. Zaglądałem wówczas często do znajdującej się obok wendy sympatycznego staruszka — Włocha. Pewnego dnia zapytał mię, do jakiej należę narodowości. Na moje oświadczenie, żem Polak, pokręcił niedowierzająco głową.

— Chyba tak nie jest, pan jakoś niepodobny do Polaków, bo Polacy to tacy... to tacy...

— Bugros d'Europa! — uzupełnił słuchający nas Brazyljanin.

Nadmieniam, że Brazyljanie stosują powszechnie nazwę „Bugros" do wszystkich plemion indyjskich w Paranie.

Innym razem, gdy siedziałem na progu baraków emigranckich, obudził mię z zadumy cichy i drżący głos kobiecy.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki! — odpowiedziałem zbliżającej się ku mnie staruszce.

Mieszka tu w Kurytybie. Przywiozły ją dzieci, a teraz boi się wracać. Widziała, jak

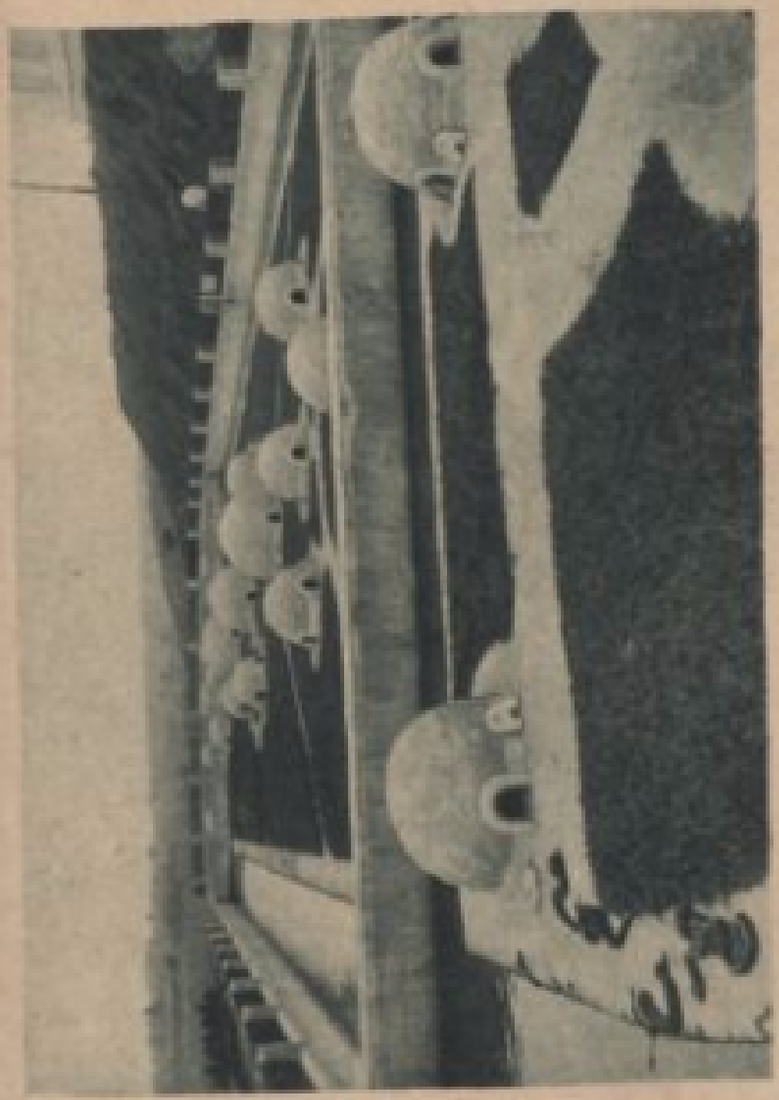

Część zakładu Dra Vitala Brazila w Butantan.

BIBLIOTEKA NARODOWA

umierających na morzu wrzucali do wody i pogrzeb taki wzbudza w niej lęk nieopisany.

— Więc o tem nie myślę, przychodzę tu tylko czasami, może zobaczę kogoś ze swoich. Żeby choć psa zobaczyć, żeby choć wronę...

W głosie jej brzmiała taka potęga żywiołowo wybuchającej tęsknoty, że nie umiałem znaleźć ani jednego wyraza pociechy.

Znaczna zmiana na lepsze nastąpiła w ruchu tramwajowym Kurytyby. Zniknęły muły, zastosowano lokomocję elektryczną. Z Praça Tiradentes jadę do rzeźni miejskiej, stamtąd bowiem najkrótsza droga na kolonję Affonso Penna, gdzie mieszkał znajomy mój — Łotysz Wierzbicki.

Dachy rzeźni i domostw sąsiednich obsiadły sępy, zwane tu corvo.[1]) Sęp ów (*Catharista urubu foetens*) wielkości dużego indyka, cały czarny z obnażoną szyją i głową, zabarwioną również czarno, spełnia po miastach brazylijskich rolę asenizatora, zlatując gromadnie na wszelką padlinę i uprzątając ją ze zdumiewającą szybkością. Kaboklo, szukając zagubionego w lasach konia lub muła, baczy pilnie, czy nie krążą gdzie korwy, co jest znakiem nieomylnym, że zwierzę padło. W je-

[1]) Wym.: korwo — kruk.

dnej bowiem chwili, jakby na dany sygnał, zlatuje się cała gromada sępów, obsiada sąsiednie drzewa i czeka cierpliwie, aż proces gnicia nadwątli dostatecznie skórę, wtedy następuje uczta, poczem biesiadujące ptaki najadłszy się nie odlatują, lecz spoczywają w pobliżu, — i trwa to dopóty, dopóki szkielet nie zostanie dokładnie oczyszczony z wszelkich miękkich części. Sposób, w jaki sępy znajdują swą zdobycz, nie jest dokładnie znany. Powszechnie utrzymują, że do tego służy im nadzwyczaj bystry wzrok, jednakże nawet najlepszy wzrok nie pozwoli dojrzeć w gęstwinie leśnej leżącego na ziemi zwierza. Przykryłem raz zabitą żmiję liśćmi i trawą i obserwowałem, jak po pewnym czasie zjawiły się sępy i rozglądały się bacznie dokoła. Wypada przeto przypuszczać, iż kierują się raczej węchem.

W odległych puszczach parańskich obok opisanego powyżej sępa spotykamy i drugi gatunek — *Catharles aura*, różniący się głównie tem, że ma głowę i szyję czerwoną, zamiast czarnej, oraz że nie przebywa gromadnie, lecz błąka się samotnie po rozległych lasach.

Podobno istnieje zakaz strzelania do tych użytecznych ptaków, sądzę jednak, że zakaz taki, gdyby istniał, nie byłby celowy. Nie zauważyłem nigdy, czy to po miastach, czy

w lasach, aby ktoś tracił amunicję na zabicie ptaka, z którego mięsa ani skóry nie mógłby mieć żadnego pożytku.

Tak zwana tu karosowa droga, to jest nadająca się do jazdy kołowej, prowadzi przez rozległe kampy, pinjorowe gaje, wreszcie przez porosłe ostrą osoką moczary do miasteczka São João dos Pinhaes.[1]) Na drodze tej spotkałem ogromnego ptasznika (*Mygale*). Ów największy na świecie pająk, znany mi dobrze z poprzedniej podróży, jest wielkości dużej myszy. Cały czarny, włochaty — posiada silnie rozwinięty gruczoł jadowy, którego wydzieliny spływają przez specjalny kanał do zadanej rany. Mieszkańcy obawiają się go więcej, niż żmij, gdyż jest bardzo ruchliwy, zawsze gotowy do skoku, a niemniej niż żmije jadowity.

Dochodzę do lasku, złożonego z krzywych, poskręcanych drzew liściastych z przewagą rodzajów *Salix* i *Schinus*. Lasek taki — to znak nieomylny istnienia rzeki. Rzeczywiście, droga prowadzi do mostku nad małą rzeczułką, w której nie domyśliłbym się wcale szerokiej, wspaniałej, majestatycznie toczącej swe wody Iguassu, jaką poznałem kiedyś w Vera Guarany. Tutaj, pod Kurytybą, rzeka ta wygląda jak lichy strumień. Nic w tem dzi-

[1]) Wym. Są Żwą dos Pinjáis.

wnego, w niewielkiej bowiem odległości znajdują się źródła, skąd bierze początek ta Wisła Parany. Skręcam na lewo w kierunku widniejących domków kolonji Afonso Penna i wkrótce staję u kresu mego pierwszego etapu w Paranie.

IV.

U źródeł Iguassu.

W roku 1910 poznałem w Paranie wielce oryginalną osobistość — niejakiego p. Wierzbickiego, Łotysza, spolonizowanego w niezwykły sposób. Należąc do rosyjskiej rewolucyjnej organizacji wojskowej, otrzymał w r. 1905 zlecenie działania na polskim gruncie, udał się więc do Warszawy pod przybranem nazwiskiem i z paszportem, wydanym na imię Wierzbickiego. Jak sobie radził — nie wiem, lecz wypadło mu udawać Polaka w Warszawie bez znajomości języka i obyczajów miejscowych. W pewnej chwili organizacja, działająca na gruncie warszawskim, została „wsypana". Policja rosyjska wpadła na trop i poczęła wybierać ptaszków z gniazdek, należało przeto uciekać pośpiesznie. Uciekający towarzysze polscy pociągnęli Wierzbickiego aż do Parany. Jechał z takim pośpiechem, że, jak sam opowiadał, przyjechał bez kapelusza na głowie. Po przyjeździe na miejsce zdecy-

dował się osiąść na roli i pracą na niej zdobywać środki do życia. Gdy mu to jednak nie wystarczało, postarał się o dodatkowe zajęcie zarobkowe, które, jako biegły skrzypek, otrzymał w Kurytybie. Ziemi jednak porzucić nie chciał i otrzymaną na spłaty w Affonso Penna działkę (t. zw. lot) zatrzymał, choć, będąc samotnym, nie miał żadnej pomocy w gospodarstwie. Podzielił więc swój czas w ten sposób, że wieczorem pędził do Kurytyby, wracał rano, i, przespawszy się nieco, brał się do gospodarki.

W tych warunkach obecność moja nie mogła mu być zawadą, przeciwnie — byłaby mu nawet pożądaną, jako, bądź co bądź, opieka nad opuszczanym co wieczór dobytkiem. Pierwszą tedy mą myślą po przyjeździe do Kurytyby było zobaczyć Wierzbickiego i przekonać się, czy nie zaszły jakie zmiany, które pobyt w jego domku mogłyby mi utrudnić.

Obawy jednak okazały się płonne: zastałem gospodarza, jak krzątał się u ogniska, przyrządzając „fiżon" na wieczerzę. Po krótkiej rozmowie i spożyciu kolacji Wierzbicki, jak zwykle, powędrował do miasta, zostawiając gospodarstwo pod moim dozorem.

Są ludzie, nie znoszący samotności: męczy ich ona i niepokoi. Ja do nich nie należę, przeciwnie — natura moja wymaga od czasu do czasu samotności absolutnej. Poczułem się

zatem niewysłowienie błogo gdy po tak długim okresie ciągłego obcowania z ludźmi znalazłem się wreszcie sam ze swemi myślami, których wątku nikt już nie przerywał. Od tej dopiero chwili począłem odpoczywać, a odpoczynek należał mi się istotnie, czułem się bowiem bardzo zmęczonym i wyczerpanym. Z rozkoszą tedy oddałem się marzeniom o tem życiu, które rozpoczynałem oto po raz drugi, a do którego tak tęskniłem.

Wypadło przedewszystkiem obmyślić plan mej pracy eksploracyjnej w Paranie, biorąc pod uwagę następujące dane:

Ze wszystkich stanów Brazylji Parana, która do roku 1853 stanowiła część składową „kapitanji" São Paulo, pod względem przyrodniczym jest bodaj najmniej znaną. Podczas gdy inne stany, jak São Paulo i Minas Geraes ze swemi bogatemi plantacjami kawy, zaś Rio de Janeiro, Bahia, a nawet Pará i Amazonas z wysoką, sięgającą zamierzchłych czasów imperjum i niewolnictwa kulturą mieszkańców, były i są stałym terenem badań naturalistów miejscowych i przyjezdnych — Parana, należąc do najuboższych i najdzikszych stanów, pozostaje wciąż w zaniedbaniu. Widocznie surowe warunki bytu i dzikość mieszkańców odstraszały od niej badaczów. Najwięcej tu bodaj błąka się koczowniczych plemion indyjskich i największą działalność

rozwinęli wśród nich jezuici. Wzdłuż rzeki Ivahy istniały niegdyś liczne miasteczka i osady, jak Villa Ricca, São Antonio, Jezu Maria i t. d., lecz siedliska te już w XVII-ym wieku zostały opuszczone. Dziś pozostał po nich ślad jedynie na mapach geograficznych, gdzie obok nazwy istniejących niegdyś miasteczek oznaczono „abandonado". Nadto niekiedy w gęstwinie leśnej spotykamy banany, trzcinę cukrową, pomarańcze, świadczące, iż były tu niegdyś plantacje, że uprawiano tu ziemię i hodowano rośliny owocowe.

A jednak Parana pod względem przyrodniczym jest niezmiernie ciekawą, nietylko z tego powodu, że jest to kraina rozległa o powierzchni 240,000 kilometrów kwadratowych, posiadająca w rozmaitych swych częściach odmienną wysokość nad poziomem morza, a co za tem idzie również rozmaity klimat, florę i faunę, lecz nadto istnieje wiele zagadnień zoogeograficznych, które tylko przez zbadanie Parany, a właściwie jej części zachodniej, mogą być należycie wyświetlone.

Z pośród nielicznych wypraw naukowych do Parany, pierwszą pod względem chronologicznym i zarazem najbogatszą w zdobyty materjał ornitologiczny była eksploracja Johanna Natterera. Ów najsłynniejszy ze wszystkich ornitologicznych eksploratorów świata bawił w Paranie, w okolicach Kurytyby, a następnie Paranagua, od października 1820 do stycznia 1821 i zgromadził około 100 gatunków ptasich, a między niemi wiele nieznanych, których nikomu po nim nie udało się odszukać, jak *Leptasthenura striolata* — rodzaj pełzacza amerykańskiego, należącego do rodziny garncarzy (*Furnariidae*).

Mniej więcej w tymże czasie słynny podróżnik francuski Auguste de Saint-Hilaire bawił w okolicy Castro, gdzie zdobył niemniej ciekawą *Leptasthenura setaria*, której dwa tylko okazy, znajdujące się w muzeum paryskiem, podówczas były znane. W ostatnim lat dziesiątku członkowie muzeum São Paulo przedsiębrali kilka wycieczek do miejscowości położonych w sąsiedztwie São Paulo — Ourinho i Castro (Garbe, Erhardt i Lima), tudzież prawie jednocześnie, kolekcjonista Muzeum Rotszylda w Tring, p. Robert czynił poszukiwania w górach Serra do Mar (w miejscowości Roça Nova). Nieco wcześniej (w r. 1892) polski podróżnik-geolog prof. J. Siemiradzki, bawiąc w Paranie z polecenia Towarzystwa Handlowo-Geograficznego, zebrał kilkadziesiąt okazów w okolicach Kurytyby i São Matheo. Wreszcie teren pracy mojej w r. 1910 i 1911 obejmował prawie wyłącznie bliższe i dalsze okolice mego domku nad Iguassu.

Oto i wszystko! Widzimy, że systematycznych badań fauny ptasiej w Paranie nie prowadził dotychczas nikt. Były to raczej dorywcze wycieczki, które ograniczyły się do pomorza Parańskiego oraz płaskowzgórza, na którem położona jest Kurytyba, (przeciętna wysokość płaskowzgórza Kurytyby wynosi 850 metrów nad poziomem morza). Dalej zaś na zachód, gdzie rozciąga się ogromne, rozległe płaskowzgórze Guarapuava z miasteczkiem tejże nazwy i łańcuchem gór Serra d'Esperança, nikt dotychczas nie badał, aczkolwiek wysokie położenie nad poziomem morza (przeciętnie 1250 metrów) każe przypuszczać, że okolice rzeczone posiadają swoistą florę i faunę, różniącą się znacznie od przyrody płaskowzgórza Kurytyby. Wreszcie na zachodnim krańcu wzdłuż doliny rzeki Paraná, rozciąga się nizina o klimacie gorącym i wilgotnym, również niebadana wcale.

Projektowałem, idąc śladami Natterera, rozpocząć od zbadania okolic Kurytyby, a następnie posuwać się etapami dalej a dalej na zachód, aż do ujścia Iguassu do rzeki Paraná. Miejscowość tu bajecznie piękna, w której, według słów mieszkańców, był raj ziemski: miejsce pobytu prarodziców — Adama i Ewy.

Takie myśli snuły mi się po głowie w ten pierwszy wieczór, spędzony samotnie na łonie przyrody brazylijskiej.

Projekty, ze względu na szczupłość posiadanych zasobów materjalnych, były może zbyt śmiałe, lecz wierzyłem w możliwość ich urzeczywistnienia. Wiary tej nie pozbyłem się i dzisiaj, chociaż od tego czasu wiele wód spłynęło rzeką Iguassu do Parany.

Poczęło się ściemniać... i wraz zabłysły różnobarwne ogniki świetlików — zielony, błękitny, różowy — i jęły migotać i krążyć między konarami drzew i na polankach leśnych. Tropikalny księżyc zalał światłem ziemię. Potężny chór, złożony z miljona głosów owadzich, ptasich i żabich zwolna zamierał, a na jego tle wyraziście i donośnie rozlegało się rozpaczliwe łkanie kozodojów. W blasku księżyca roślinność przybrała fantastyczne kształty: wydawała się jakby utkaną z płynnego migocącego srebra. Powietrze przepełniała balsamiczna woń aromatycznych drzew i kwitnących krzewów. Gdy ciemność nastała zupełna, zahuczał potężny szatańsko-złowróżbny głos wielkiej sowy leśnej. Pląsy świetlików stawały się coraz żywsze. Gdzieś w dali ozwało się jakieś ptaszę leśne i zaraz zamilkło, jakby przestraszone własną śmiałością. Łagodny powiew wiatru stawał się coraz silniejszy i chłodniejszy. Dorzuciłem drew do ogniska...

Niejeden taki wieczór przeżyłem niegdyś a swego ogniska nad Iguassu. I oto ten da-

wny człowiek — osadnik brazylijski — kaboklo nadiguasseński — zaczął we mnie odżywać: odnalazły się dawne myśli, uczucia, radości, bóle. Drugi człowiek — ów europejski począł zapadać w otchłań zapomnienia. Cały mój pobyt w Europie, dwuletni szmat czasu, przysłaniał się mgłą jak miniony sen, sen długi i męcząco przykry...

Był chłodny nieco, lecz radosny i gwarny poranek, gdy wyjrzałem nazajutrz z chatki. Posiliwszy się kilkoma kujami chimaronu, ruszyłem na zwiady, na przegląd okolic, ażeby na wstępie wyjaśnić sobie, czy znajdę tu ciekawe formy ptasie, które zasługiwałyby na kolekcjonowanie.

Domek znajdował się na polance, zarośniętej na miejscu wyrąbanego lasu przez ogromne chwasty. Wśród chwastów tych rojno było od rozmaitych gatunków rodziny wróblowatych (*Fringillidae*), niepokaźnych, lecz bardzo ciekawych ptaszków, które nader chętnie przebywają wśród chwastów, karmią się bowiem ich nasionkami. Z drzew na polanie pozostawiono tylko gojawy, jako drzewa owocowe.

Za polanką rozciągał się duży lasek, złożony ze starodrzewia. Obok pinjorów znajdowały się tu kanelle (*Lauraceae*), jacarandy i t. d. Oczywiście nie był to las dziewiczy: storczyków, lian i paproci drzewiastych, nadających taką wybitną fizjonomję puszczy południowo-amerykańskiej, nie było tu wcale. Również i brak palmy (*Cocos romanzoffiana*), nadającej tak wiele uroku krajobrazom leśnym, rzucał się w oczy. W lasku owym tysiącznemi głosami śpiewały ptaszęta pieśń poranną. Rozglądając się po drzewach i wśród zarośli, zauważyłem cały szereg gatunków, interesujących z punktu widzenia naukowego.

A więc z pośród muchołówek amerykańskich (*Tyrannidae*) zauważyłem dwa, jak sądzą powszechnie, gatunki: *Elaenia mesoleuca* i *parvirostris*, które ja jednak, wbrew ogólnemu mniemaniu, uważam za jedną i tę samą formę, aczkolwiek nader zmienną, zarówno co do wielkości, jak i zabarwienia (w szczególności tyczy się to białego czubka). Chcąc rzecz wyjaśnić i dowieść niezbicie tożsamości obu form, należało zebrać całe serje tych ptaków, dopiero bowiem wtedy, rozporządzając szeregiem okazów pośrednich, łączących oba skrajne typy, możnaby ową tożsamość ustalić. Poza tem zamieszkiwał tu dość licznie ptak, znany już czytelnikom z Ogrodu Botanicznego w Rio de Janeiro, bem-ti-vi (*Pitangus sulphuratus bolivianus*), oraz ciekawy, a mało zbadany gatunek muchołówek, nieco od poprzedniego mniejszy — *Myiarchus ferox*.

Nadto zauważyłem kilka gatunków pełzaczów amerykańskich (*Furnariidae*) z rodzaju

Synallaxis (frontalis, ruficapillo, spixi) — milutkie, rudawe o długich ogonkach ptaszęta, trzymające się uporczywie w gęstem poszyciu leśnem, lecz zdradzające swą obecność ustawicznie powtarzaną dźwięcznym głosikiem zwrotką. Ptaszki te budują olbrzymie w stosunku do swej wielkości gniazda z gałązek i chróstu i przebywają stale w ich sąsiedztwie. Po pniach drzewek i gałęziach krzewów pełzał inny gatunek tejże rodziny *Siptornis obsoleta*, odkryty przez Natterera i bardzo mało zbadany.

Wreszcie na skraju lasku, na nieco opodal stojącem drzewku, silnym donośnym głosem oznajmiały swą obecność brodacze *(Bucconidae)*, mianowicie najpospolitszy w Paranie gatunek — *Bucco chacuru*, zwany pogardliwie przez krajowców João-bobo[1]), ptaki te bowiem, śledząc z ogromną ciekawością, co robi człowiek, najzupełniej nie zdają sobie sprawy z grożącego im z ręki ludzkiej niebezpieczeństwa.

Za lasklem rozciągały się rozległe bagniste błonia. Moczary te ulegają co pewien czas zalaniu przez wezbrane wody Iguassu, poczem w porze suchej wysychają w większym lub mniejszym stopniu. Najniższe miejsca, moczary właściwe, porośnięte są ostrą osoką,

[1]) Wym.: żwą bobo — głupi Janek.

miejsca zaś wyższe pokryte są roślinami trawiastemi *(Graminaceae)*. Z tych traw i osoki dochodziły głosy ptactwa, zamieszkującego wyłącznie moczary: a więc odzywał się *Sporophila hypoxantha*, śliczny malutki wróbelek o piórkach czarnych z brzuszkiem i kuperkiem rudym, dalej ptaszki ruchliwe i gwarne, zbliżone do znanego „garncarza" *(Furnarius)*, noszące naukową nazwę *Anumbius acuticaudatus*.

Moczary dochodziły do lasku, okalającego rzeczkę Iguassu. Laski te podobnież jak i bagniste błonia, poddawane bywają perjodycznym wylewom rzeki, lecz rosną na pewnem wzniesieniu, powstałem z namułu rzecznego. Składają się one z zupełnie odmiennych gatunków drzew, niż lasy właściwe, mianowicie przeważają tu wierzbowate *(Salix)*, wielkie z gałęźmi plączącemi się w gąszcz nieprzebyty aroeiry *(Schinus)*, mirty, tudzież wiele innych, które nazwać i opisać mógłby jedynie obznajmiony z florą południowo-amerykańską botanik.

Fauna lasów takich jest również odmienna: przebywa tu chętnie, nie wydalając się prawie poza ich obręb, rodzaj gołębia — *Claravis pretiosa*; są one także ulubionem miejscem pobytu zimorodka amerykańskiego *(Chloroceryle)*, małej czapelki *(Butorides striata)* i licznych rzesz muchołówek.

Nie koniec na tem. W pewnej odległości od posiadłości Wierzbickiego las rzedniał i znikał, ustępując miejsca płaszczyźnie suchej, ubogo porośniętej roślinami trawiastemi, której monotonję urozmaicały jedynie kępy karłowatych pinjorów, spotykanych zazwyczaj na jałowych gruntach. I tu znowu fauna odrębna: przebywają tu stale muchołówki z rodzajów: *Knipolegus*, *Alectrurus*, wróblowate, jak *Myospiza manimbe*, wreszcie ptaszki z rodziny pliszkowanych (*Motacillidae* — *Anthus lutescens*, *Xanthocorys wallereri*) w upierzeniu podobne do skowronka i z długim pazurkiem u kciuka.

Z rezultatów dokonanego pobieżnie przeglądu byłem narazie w zupełności zadowolony.

— Będzie tu trochę roboty! — pomyślałem z otuchą.

Jednakże sąsiedztwo wielkiego miasta wywarło swój wpływ na skład fauny ptasiej w Afonso Penna. Nie widać tu było zupełnie właściwych lasom dziewiczym Parany tukanów, pilików (*Trogonidae*,) papug, gorzyków (*Pipridae*). Nawet niebieskie sroki i wrony (*Cyanocorax chrysops* i *coeruleus*), tak pospolite w borach, okalających Vera Guarany, były tu nieobecne. Moczary za lasem były milczące: nie rozlegał się na nich donośny i dźwięczny głos kuropatw — kusaków (*Rhynchotus*

Ogród miejski w Kurytybie.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

rufescens), nie dawały się widzieć nambu, czyli kusaki leśne (*Crypturus*), których białe, soczyste mięso urozmaicało mi jednostajne pożywienie na Vera Guarany.

Natomiast w lasku i najbliższem otoczeniu domku było mnóstwo drozdów, zwłaszcza z gatunku *Planesticus amaurochalinus, rufiventris, albicollis*.

Z pośród drzew w Affonso Penna na pierwsze miejsce wysuwał się znany powszechnie pinjor (*Araucaria brasiliensis*). Ciekawe to drzewo, rosnące jedynie na płaskowzgórzu południowo-brazylijskiem, zewszechmiar zasługuje na uwagę. W młodości łudząco przypomina naszą jodełkę, później zaś, w miarę rozwoju, przybiera kształt kandelabra. Wielkości bywa rozmaitej, zaś na lekkich gruntach stepowych podobny jest do naszych karłowych sosen, jeno dziwnie powykręcane pnie i konary nadają drzewu jakieś nienaturalne kształty. Gdy czerwony blask zachodzącego słońca oświeci to drzewo, a konwulsyjnie poskręcane jego konary rysują się ostro na widnokręgu — wydaje się, iż znalazłeś się w zaczarowanej krainie rozpaczy, pustki i odrętwienia; dziwnie przygnębiający, beznadziejnie smutny nastrój ogarniać poczyna duszę...

Zupełnie inny jest pinjor dziewiczych lasów o urodzajnej glebie. Dosięga tam olbrzy-

mich rozmiarów i stanowi bezpieczną ostoję dla ptaków, chroniących się od strzałów myśliwca; niema bowiem broni myśliwskiej, która mogłaby strącić ptaka z wierzchołka olbrzyma. Podczas burzy sąsiedztwo pinjora jest nader groźne: wichura strąca co chwila potężne jego gałęzie, które padając z ogromnym łoskotem miażdżą wędrowca, niebacznie szukającego pod nim schronienia.

W życiu mieszkańców puszczy pinjor gra rolę wybitną. Nasiona drzewa, dojrzewające w ogromnej, przenoszącej rozmiarami głowę ludzką szyszce, w stanie pieczonym lub gotowanym stanowią pożywny i dość smaczny pokarm. Spożywają go chętnie Indjanie, nie gardzi i biały, gdy zapas jego prowjantów jest szczupły. Jeszcze większe znaczenie posiada pinjor jako materjał budulcowy. Okres jego rozwoju jest znacznie szybszy, niż drzew naszych. Podczas gdy drzewa europejskie wymagają co najmniej 60 do 80 lat, by mogły służyć jako budulec, pinjor użyty być może już po 20—30 latach, to też siedziby osadników wznoszone są wyłącznie z desek pinjorowych. Przy obróbce niezawsze stosują piłę, gdyż zazwyczaj braknie osadnikom narzędzi, pomocy i czasu. Rozrąbuje się tedy powalone drzewo toporem na odpowiedniej długości kloce, które zkolei przy pomocy klinów z twardego drzewa imbui rozszczepia

się na pożądanej grubości deski i bale. Drzewo pinjorowe łupie się tak dobrze i równo, że otrzymane deski niewiele już wymagają obciosywania toporem dla nabycia należytej gładkości. Budulec zatem na chatę osadnika daje się przygotować bez wielkiego nakładu pracy. Natomiast, jak każde drzewo o szybkim wzroście, pinjor jest nietrwały. Na belki lub podkłady do mostów i szyn kolejowych używają tu drzewa innego, tak twardego, iż topór się na niem szczerbi, którego mieszkańcom Parany obficie dostarcza imbuja (*Bignonia paranensis*).

Powróciwszy z wycieczki wywiadowczej, zabrałem się pełen otuchy do pracy przygotowawczej: wydobyłem narzędzia, opatrzyłem broń, przygotowałem odpowiednie ładunki i t. d.

Od tej chwili rozpoczęła się właściwa moja praca. Gdy zmierzch poranny ustępował miejsca jasności dziennej, którą ptactwo, otrząsając się z chłodnej mgły wita radosną piosenką, — wyruszałem już na poszukiwania. Owa wczesna godzina jest najlepszą porą do zdobywania okazów i robienia spostrzeżeń nad zachowaniem się i życiem ptaków, zajęte bowiem swemi łowami, są one wówczas daleko mniej płochliwe i zazwyczaj nie zważają, czy ruchów ich nie śledzi obce oko. Około południa powracałem do domu, niosąc ostrożnie

mą zdobycz, przymocowaną za języki do sękatego kijka. Po przygotowaniu i spożyciu posiłku aż do zmroku preparowałem zdobyte okazy, określałem ich nazwy i notowałem poczynione spostrzeżenia.

W ten sposób czas upływał szybko, niespostrzeżenie. Z gospodarzem widywałem się krótko, zwykle podczas obiadu: obadwaj bardzo zajęci nie mieliśmy czasu na długie rozmowy, aczkolwiek Wierzbicki żywo interesował się mą pracą.

Pewnego wieczora siedziałem na progu chatki boso, preparując okazy. Nagle na nodze poczułem jakieś szczególne, wilgotne i chłodne dotknięcie, i gdy wzrok mój pobiegł w tym kierunku — doznałem dziwnego uczucia: przez nogę moją ruchem niedbałym i powolnym przeciągała się wielka jadowita żmija — słynna w Brazylii jararaca[3]) (*Lachesis atrox*); głowa jej trzymała się w pobliżu mej nogi i straszliwe o nieruchomem, jakby szklistem wejrzeniu oczy wpatrzyły się w moje. Nie wiem, czyj wzrok okazał się silniejszy, lecz tempo przeciągania się przez mą bosą nogę obrzydliwego cielska żmii stało się żywsze. Gdy się to wreszcie skończyło — ruchem szybkim, którego nie spodziewałem się po tak powolnej napozór gadzinie, zniknęła wśród

[3]) Wym. Żararaka.

stosu rupieci. Przypuszczam, że gdybym odruchowo odtrącił żmiję, straszliwe jadowite jej zęby wpiłyby się niezwłocznie w mą nogę.

Żmija ta dobrze mi była znana z czasów mego pobytu na Vera Guarany. Zbudowałem tam sobie domek nad rzeką Iguassu na wzgórzu, dla zabezpieczenia go od wylewów. Nie wiem, czy bliskość wody, czy bliskie sąsiedztwo olbrzymich borów, czy wreszcie oświetlenie słoneczne stoków tego wzgórza sprawiały, że żmije były tu nader liczne. Widywałem je przeważnie w trawie, jak zwinięte w kłębek obok swych nor w ziemi, lub w spróchniałych pniach spały smacznie, ogrzewane promieniami tropikalnego słońca. Niekiedy dostrzegał je mój kotek i niezwłocznie rozpoczynał walkę. Żałowałem wówczas, że nie posiadam aparatu kinematograficznego i nie mogę uwiecznić tej rzeczywiście ciekawej scenki. Ile bajecznej wprost zręczności, elastyczności i gibkości wykazywali podczas tej walki obaj zapaśnicy. Zwykle pozwalałem ujść żmii, nie chcąc psuć sobie zabawy; podczas walki żmija podsuwała się nieznacznie do spróchniałego pnia i w pewnej chwili błyskawicznym ruchem znikała z przed oczu zdumionego kota.

Zdarzył mi się atoli i bardzo przykry wypadek: gdy razu pewnego, chcąc wystrzelić dogodniej, ukląkłem na kępce — jak mi się

zdawało — trawy, poczułem nagle, że pod kolanem rozwija się kłąb cielska żmii. Jeden ułamek sekundy — i byłbym na łonie praojców, gdyż ukąszenie w pobliżu arterji biodrowej spowodowałoby niechybnie śmierć natychmiastową, lecz w tymże ułamku sekundy instynkt samozachowawczy zmusił mnie do wykonania bajecznego skoku. Skoku takiego nie wykonałem nigdy w życiu, ani wcześniej, ani potem, i za żadne skarby świata powtórzyćbym go nie mógł: jednym rzutem znalazłem się o kilka metrów — i po chwili olbrzymie cielsko żmii, trafione mym strzałem, zadrgało w przedśmiertnych konwulsjach.

Przekonałem się wkrótce, że jararaca nie była jedyną mą sąsiadką na Vera Guarany. Wracając raz z polowania, spostrzegłem, że kot mój wyprawia nadzwyczajne susy. Podszedłszy bliżej, dostrzegłem, że toczy zaciętą walkę z żmiją. Nie była to jednak ciężka, powolna jararaca, starająca się podczas walki z kotem przytrzymać go zwojami swego ciała, ażeby mu zadać cios jadowitym zębem. Obecna przeciwniczka mego kota była daleko mniejsza, smuklejsza, o szybkich, elastycznych ruchach. Wspinając się na koniuszeczku ogona, rzucała się nagle na kota, który, bacznie obserwując jej ruchy, dawał wtedy susa: mijali się w skoku, zwracali znowu ku sobie

i gotowali do powtórnego natarcia. Krzyknąłem na kota, który przestraszony uciekł, i zastrzeliłem gada. Była to koralowa żmija (*Elaps margravi.*) o pięknem zabarwieniu w czarne i czerwone paski.

Spotkałem się też na Vera Guarany z grzechotnikiem (*Crotalus sp.*), trzecim słynnym przedstawicielem jadowitych węży parańskich. Przechodząc kiedyś w porze wieczornej przez łączkę, zarośniętą sięgającą mi po pas trawą, usłyszałem znany mi już poprzednio charakterystyczny dźwięk grzechotki. Żmija posuwała się w moim kierunku. W tejże chwili usłyszałem również zbliżający się z przeciwnej strony dźwięk drugiej grzechotki. Obie żmije pełzły na spotkanie i miały mię na drodze. Ponieważ wysokość trawy nie pozwalała mi nic dojrzeć, uznałem za właściwe rejterować pośpiesznie.

Jest rzeczą nader trudną odróżnić z wyglądu zewnętrznego żmije jadowite od zwykłych niejadowitych węży, podobieństwo bowiem jest nieraz uderzające. Obok np. bezwzględnie jadowitych żmij koralowych spotykałem węże, z zabarwienia zupełnie podobne, lecz pozbawione zębów jadowitych. Aparat trucicielski u żmij składa się, jak wiadomo, z gruczołu jadowego, położonego pośrodku bocznej ścianki szczęki górnej, oraz przewo-

du, prowadzącego wydzieliny tego gruczołu do wielkich, ruchomych i zwykle zakrzywionych zębów (u żmij koralowych ząb ów jest prosty, niezakrzywiony). Zęby jadowite posiadają wewnątrz wydrążenie z otworem na przodzie i przez kanalik ten jad dostaje się do zadanej zębem rany.

Budowa jadowitych zębów jest tak charakterystyczna, iż po zabiciu żmii określenie, czy jest jadowitą, nie przedstawia żadnej trudności. Gdy jednak chodzi o rozpoznanie okazu żyjącego, sprawa jest znacznie trudniejsza; jedynie bowiem właściwości biologiczne pozwalają nam orjentować się, z kim mamy do czynienia. Żmije jadowite są to zwierzęta nocne, we dnie śpią zazwyczaj w ukryciu, jeśli zaś okoliczność jakaś zmusza je do opuszczenia kryjówki, to posuwają się nadzwyczaj powoli, jakby sennie.

Dla ilustracji podaję fakt następujący: niedaleko od domku Wierzbickiego idąca drogą dziewczynka zauważyła wielką żmiję i przechodząc koło domku, powiedziała mi o tem. Znając powolność tych zwierząt, pochwyciłem strzelbę i pobiegłem na wskazane miejsce. Okazało się, że w ciągu tak długiego czasu jararaca nie zdążyła jeszcze przeciągnąć się wpoprzek drogi, tak iż bez trudu i szukania mogłem ją zastrzelić.

Jararaca.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Na powolność ruchów żmij jadowitych wpływa, być może, pewność siebie i zaufanie do potęgi swego jadu; ma się wrażenie, że liczą na przestrach, jaki wywołuje sama ich postać. Dość, że widząc zbliżającego się napastnika, zazwyczaj leżą spokojnie, topiąc w nim nieruchome spojrzenie szklanych, pozbawionych powiek oczu. Węże natomiast — stworzenia przeważnie dzienne, odznaczają się wielką zwinnością i ruchliwością. Goniłem pewnego razu niezbyt wielkiego węża po drodze, chcąc przekonać się o szybkości jego ruchów, i pomimo największego wysiłku dogonić go nie mogłem. Są to stworzenia bojaźliwe i zazwyczaj mające wielki respekt dla człowieka. Kabokle leśni, doskonali obserwatorzy życia zwierząt, mawiają: „Zabij niezwłocznie każdą żmiję, leżącą spokojnie, lecz nigdy nie zabijaj uciekających przed tobą".

Co do środków, stosowanych w Paranie w razie ukąszenia przez żmiję, to surowica, o której mówiłem w rozdziale poprzednim, nie jest tu stosowaną, ani nawet znaną. Indjanie posiadają podobno jakiś środek roślinny o bajecznie szybkiem i skutecznem działaniu: zranione miejsce nawet się nie zaognia i goi się nader szybko. Kabokle, niestety, nie znają tej rośliny; powszechnie w takich razach stosowany jest alkohol, wypalanie ranki i przewią-

zywanie nogi nieco powyżej zranionego miejsca. Niezawsze to jednak pomaga i zdarzają się wypadki śmierci, z których jeden obserwowałem u kabokłów. Wkrótce po ukąszeniu zraniona noga poczęła puchnąć, chorego ogarnęła wielka senność. Nastąpiło obniżenie się temperatury ciała wraz z chłodnemi potami, tudzież przyśpieszeniem i osłabieniem pulsu. Po pewnym czasie chory stracił przytomność, nastąpiły krwotoki przez usta i uszy i wreszcie raptowny zgon, zapewne wskutek paraliżu serca.

W ogrodzie Wierzbickiego, jak już zauważyłem, wybujałe chwasty zamieszkane były przez rodzinę wróblowatych. Wśród nich zwracał szczególną uwagę mały całkowicie czarny wróbelek: *Volatinia jacarina*. Oto samczyk ów, siedząc na gałązce obok samiczki, wyśpiewuje raźno piosenkę, lecz w pewnym momencie przerywa śpiew, wznosi się w powietrze, wywraca zabawnie koziołka i powraca na miejsce, aby piosenki dokończyć. Obserwowałem go często: zawsze na tejże zwrotce przerywał — poczem wykonywał swe salto-mortale. Zabawy są dość rozpowszechnione wśród ptaków; później w Antonio Olyntho miałem sposobność widzieć komiczne walki tukanów, zaś na Terra Vermelha prawdziwe tańce, wykonywane przy akompanja-

mencie śpiewu przez pięknie zabarwione gorzyki (*Chirozyphia caudata*).

Pewnego dnia, idąc skrajem lasu, zauważyłem małego ptaszka, o niezmiernie długim ogonku, przelatującego z jednego wierzchołka pinjoru na drugi. Ptaszek ów, dostawszy się wreszcie między gałęzie na czubku drzewa, pilnie poszukiwał czegoś w bukietach igliwia. Zaintrygował mię bardzo, gdyż dotychczas nie zdarzyło mi się go spotkać w Brazylji; podszedłszy tedy bliżej, strąciłem go celnym strzałem na ziemię. Jakaż była moja radość, gdy przekonałem się, że była to słynna *Leptasthenura setaria* (ptaszek z rodziny pełzaczów amerykańskich — *Farwariidae*), której dwa tylko okazy, zdobyte przez podróżnika francuskiego Auguste de Saint-Hilaire w roku 1822 w okolicy Castro, znane były do ostatnich czasów. Okazy te zostały opisane w r. 1824 przez Temmincka i znajdują się w muzeum Jardin des Plantes w Paryżu. W ostatnim swym liście do mnie K. Hellmayr polecał mi gorąco odszukanie tego ptaka, zebranie jak najliczniejszej serji okazów i dokładne poznanie jego obyczajów. Sądził jednak ów słynny uczony, że ptaszki te za przykładem rozmaitych gatunków *Synallaxis* trzymają się krzaków w poszyciu leśnem. Zdobycie więc ptaszka na wierzchołku pinjora było dla mnie prawdziwą niespodzianką. Przerwałem nie-

zwłocznie polowanie i pobiegłem do domu, ażeby sprawdzić określenie. Było ono dokładne; w uroczystym przeto nastroju przystąpiłem z prawdziwem namaszczeniem do preparowania okazu. Jednak tym razem nie szło mi to gładko, zanadto byłem przejęty i zbyt obawiałem się, aby nie zepsuć niezręcznym ruchem drogocennej zdobyczy. Nadszedł właśnie Wierzbicki; niezwłocznie podzieliłem się moją radością, która i jego wprawiła w dobry humor.

— Cieszę się niezmiernie — powiedział ze zwykłą swą powagą — że udało się tu panu zdobyć rzecz tak rzadką i cenną.

Niezawsze jednak szło mi tak pomyślnie. Bywały dnie, że do późnej godziny nie mogłem zdobyć nic godnego uwagi i wracałem z pustemi rękoma. W takich razach próbowałem szczęścia jeszcze wieczorem.

Niedaleko domku wznosiły się, jako resztki istniejącego tu niegdyś lasu, wyniosłe gojawy (*Psidium piriferum*), drzewka z rodziny myrtowatych (*Myrtaceae*), o jasnej łuszczącej się korze. Jadalne ich owoce, podobne do małych żółto-pomarańczowych jabłuszek, posiadają aromatyczny, słodki miękisz. Owoce te wabiły rozmaite ptaki, szczególniej niebieskie tangary (*Thraupis sayaca*) i drozdy.

Pewnego wieczora z wierzchołka gojawy rozległ się śpiew. Nieznany mi ptak rozpoczął

koncert głosem niezmiernie giętkim i wyrazistym. Nie było to monotonne powtarzanie zwrotek, jakim jest zazwyczaj śpiew drozdów, lecz prawdziwa improwizacja: melodja zmieniała się przedziwnie. Z mistrzostwem i uderzającą ekspresją skrzydlaty artysta wypowiadał radość i przywiązanie do życia: wielbił przyrodę, jej łąki i gaje, szemrzące strumyki, szum lasów, poświsty wiatrów. Śpiew ptaszyny leśnej wywarł na mnie daleko większe wrażenie, niż arja słynnej prymadonny włoskiej. Lecz przyrodnik nie może powodować się li tylko uczuciem: rozległ się huk strzału i śpiewak runął na ziemię. Był to kos brazylijski — *Turdus flavipes*.

Wierzbicki lubował się w hodowli kur, rozmnażających się znakomicie w jednostajnie ciepłym klimacie Parany. Całe ich stadka przeszukiwały skrzętnie zarośla w ogródku, nie oddalając się jednak zbytnio przez wrodzoną tym ptakom ostrożność. Pewnego razu, obserwując zachowanie się muchołówki, stałem nieruchomo przy wejściu do ogrodu, gdzie właśnie zgromadziło się stadko kur. Naraz tuż koło mnie przemknął jak kula z błyskawiczną szybkością jakiś zwinięty kłąb. W mgnieniu oka całe stadko zostało pokryte pierścieniami węża dusiciela: jeszcze jeden moment — i wszystkie ptaki, nie wydawszy głosu, legły zduszone na ziemi. Rzuciłem się na węża, lecz umknął, po-

zostawiając swą zdobycz. Widziałem już tedy, w jaki sposób anakonda atakuje i dusi swe ofiary.

Przebywająca zazwyczaj w wodach anakonda (*Eunectes murinus*), której młody okaz narobił tyle spustoszenia wśród kur Wierzbickiego, jest największym wężem świata, dochodzącym w rzadkich wypadkach podobno do 15 metrów długości. W lesie nad rzeką Ivahy widziałem okaz, przewyższający, jak sądzę, 10 metrów. Ponieważ zabarwienie, z wierzchu brunatno-oliwkowe z czarniawemi okrągłemi plamami, podobne jest bardzo do zabarwienia konarów drzew leśnych, zdołałem dostrzec tego węża jedynie dzięki temu, że pod ciężarem olbrzymiego cielska uginały się grube gałęzie. Zauważyłem, iż wąż rozciągnął się na wszystkie drzewa w pobliżu, które mogłem rozróżnić w gąszczu, nie widziałem jednak ani głowy, ani ogona. Narazie chciałem wystrzelić, lecz przyszło mi na myśl, że cienki śrut może jedynie rozdrażnić potwora. Ogarnął mię nagły niepokój.

— A może łeb anakondy jest gdzieś nade mną i wąż gotuje się do skoku — przemknęło mi przez głowę, i czem prędzej opuściłem niebezpieczne to miejsce.

Po brodzeniu co rana wśród zroszonych obficie zarośli wracałem zwykle w przemoczonych butach. To też miałem zwyczaj zdejmować je po powrocie i resztę dnia chodziłem w brazylijskich pantoflach, zwanych sznele, które kładzie się na bose nogi. Z doświadczenia, nabytego podczas mej poprzedniej podróży, wiedziałem, iż w starych domostwach, szczególniej gdzie w sąsiedztwie trzymają świnie, znajdują się w wielkiej ilości larwy pchełki ziemnej — *Sarcopsylla penetrans*, atakującej z upodobaniem bose nogi mieszkańców. Sądziłem jednak, że w nowym względnie domku Wierzbickiego, gdzie nie trzymano świń nigdy, pchełki tej być nie powinno. Od pewnego atoli czasu uczuwałem niekiedy na nogach w okolicach paznokci swędzenie, na które zresztą nie zwracałem uwagi, mijało bowiem szybko. Lecz pewnej nocy nietylko swędzenie, lecz już i ból zaczął mi srodze dokuczać. Raniutko więc zabrałem się do operacji. Jak wiadomo, samiczka zagłębia się w skórę przeważnie w okolicach paznokci u nóg i, żywiąc się krwią i wilgocią podskórną, dojrzewa tam i wydaje jajeczka, z których powstają larwy, gnieżdżące się w kurzu mieszkań ludzkich i chlewów. Operacja polega na tem, że przepaloną igłą uchyla się skórę i wydobywa możliwie w całości zwierzątko, mające kształt białawego woreczka, wielkości drobnego ziarnka grochu, wypełnionego jajkami. Po operacji rankę zasypuje się popiołem tytuniowym. Zrobiłem to wszystko, widocznie jednak zły był ze mnie

operator, ranka bowiem zaczęła się jątrzyć, a ból nie ustawał. Trzeba było operację powtórzyć: okazało się, że nieco głębiej od wydobytej już poprzednio obrała sobie siedlisko druga, którą wydobyłem już z trudnością i częściami. Coś widocznie jednak musiało pozostać w rance, gdyż długo jeszcze jątrzyła się i bolała, i wyleczyłem ją dopiero po tygodniu przy pomocy jodyny.

Ten drobny, a jednak przykry wypadek zmarnował mi wiele czasu, na bolącą nogę nie mogłem włożyć buta i musiałem powstrzymać się od wycieczek. Jak zwykle bywa w takich razach, gdy byłem pozbawiony swobody ruchów, ptactwo kręciło się nader licznie i z lasku dochodziły głosy różnych ciekawych dla mnie ptaków, co potęgowało mą niecierpliwość.

Gdy wreszcie byłem już w stanie rozpocząć wycieczki, przebrnąłem bagniste błonie i dotarłem do lasku, okalającego Iguassu. Na wstępie powitała mię chmara komarów i z zajadłością poczęła cisnąć się do twarzy. W takich wypadkach do obrony używam zwykle gałązki, którą odpędzam cisnące się do oczu owady, lecz machanie gałązką nie jest dogodne, skoro wypada zbliżać się nieznacznie do upatrzonej zwierzyny. Korzystają z tego komary i tną twarz niemiłosiernie. Mimo to jednak posuwałem się w kierunku, skąd docho-

Zagroda kolonisty.

Parana

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

dził mię basowy głos pięknego popielatego z czarnemi wzorami na skrzydłach gołębia, *Claravis preliosa*, który nie wychyla się poza obręb nadrzecznych lasów. Gdym wreszcie go upolował i schylił się ku ziemi, by podnieść zdobycz, komary rzuciły się z taką wściekłością, tnąc w oczy, iż czyniło to wrażenie, że mszczą się tak straszliwie za śmierć gołąbka. Nie pomagała już żadna gałązka, komary trafiały żądłem przez czapkę w głowę, przez ubranie w plecy i t. d. Nie było rady, trzeba było umykać pośpiesznie ku błoniom, gdzie podmuchy wiatru stanowią najlepszą, nieprzebytą dla komarów tamę.

Ponieważ część moich bagaży przybyła statkiem do portu Paranagua, zmuszony byłem udać się koleją do tego miasteczka, znanego mi już z czasów poprzedniej bytności. Zatoka morska, aczkolwiek rozległa, jest jednak bardzo płytka, wobec czego parowce zatrzymują się w znacznej odległości i komunikacja z lądem odbywa się przy pomocy szalup i łodzi. W takiej to szalupie przybiliśmy do brzegu w r. 1910. Przystani nie było żadnej i pasażerów podczas rzęsistego deszczu wciągano na brzeg za ręce, kołnierze i uszy. Pewną korpulentną jejmość windowano z dwukrotną pauzą, nie zważając na krzyki przerażonej tą niezwykłą lokomocją niewiasty.

Urządzenie „Gospody dla imigrantów" w Paranagua było iście wzorowe: podłoga i nary stanowiły całkowite umeblowanie. Po belkach skakały, ku wielkiej uciesze dzieci, szczury. „Rattenzirkushotel" napisał jakiś dowcipnis kredą na ścianie.

W gospodzie tej po raz pierwszy poznałem Indjanina: wysmukły i szczupły, o rysach przypominających nieco typ mongolski, o łagodnych, myślących oczach i cerze ciemnej, lecz zupełnie innej, niż cera mulatów. Obejście jego, spokojne i łagodne, było zupełnie odmienne od szorstkiego obejścia nerwowych Brazylijan; nie cechowała go również nadmierna gestykulacja, tak właściwa ludom afrykańskim, a nawet ich potomkom mieszanym w odległych pokoleniach.

Paranagua, położona nisko nad poziomem morza, posiada wyjątkowo jak na Paranę gorący i wilgotny klimat. Potęga przepysznej podzwrotnikowej roślinności wprawiała w zachwyt przybyszów europejskich:

— Jaki to piękny ten boży świat! — szeptali zdumieni.

W bliższych i dalszych okolicach Paranagua hodują mnóstwo bananów, gdyż owoce te stanowią ważny artykuł spożywczy dla mieszkańców Parany, spożywany bądź w stanie surowym — dojrzałe owoce, bądź też napół dojrzałym — pieczone w gorącym popiele.

Jak wiadomo, roślina, wydająca owoce bananów (*Musa sapientium*), jest wielkiem, bo do 5 metrów sięgającem zielskiem, z kilkoma łodygami, złożonemi z ogonkowych pochewek liści, tworzących korony. W cieniu tych liści olbrzymich schronić się można od słońca i deszczu. Prześlicznie wyglądają domki na tle bujnych plantacyj bananowych. Owoce — to olbrzymie podłużne grona, posiadające do 100 bananów każde. Na miejscu hodowli banany są tak tanie, że stanowią pokarm najuboższej ludności. Niestety, roślina jest nader wrażliwa na przymrozki, to też na całem płaskowzgórzu Kurytyby, gdzie w porze dżdżystej, t. j. w miesiącach czerwcu, lipcu i sierpniu, przymrozki wypadają od czasu do czasu w mniejszym lub większym stopniu, hodowla bananów jest wykluczona; owoce są tu importowane z miejscowości położonych w pasie nadmorskim: Paranagua, Antonina, Morretes.

V.

Terreno Contestado.

Szarym pochmurnym rankiem, śród kropel deszczu, padających znagła a przerywanie, jak łzy skrzywdzonego dziecka, z przed domu Wierzbickiego ruszyła dwukołowa biedka brazylijska: właściciel pojazdu, sąsiad Wierzbickiego, odwoził mię wraz z całym bagażem na stację kolei w Kurytybie. Nastrój mój odpowiadał nastrojowi przyrody: z żalem rozstawałem się z zakątkiem, który dostarczył mi wielu radosnych wzruszeń. Z lasku dolatywały głosy skrzydlatych znajomych, szumiał pożegnalnie gaj, w którym tak niedawno rozbrzmiewało echo mych strzałów.

Musiałem opuścić gościnne progi Wierzbickiego, gdyż interesujący mię materjał ptasi już się tu wyczerpał: sąsiedztwo dużego miasta zubożyło faunę ptasią okolic tutejszych, wypłoszyło wiele ciekawych gatunków, szczególniej mających uzasadnioną przyczynę unikania sąsiedztwa człowieka. Jechałem do znajomego p. T., zamieszkującego okolice miasteczka Rio Negro, t. j. w tak zwanym Terreno Contestado.

Od wielu lat między dwoma sąsiadującemi stanami: Paraną i Santa Cathariną — toczył się spór zacięty o posiadanie rozległego terytorjum, położonego na południe od rzek Iguassu i Rio Negro. Spór poddany był sądowi federalnemu w Rio de Janeiro i rozstrzygnięty na korzyść stanu Santa Catharina, jednakże władze parańskie sądziły, że sprawa nie jest jeszcze przegrana ostatecznie i że miejscowości, należące do „Terreno Contestado", jeśli nie w całości, to przynajmniej częściowo pozostaną w posiadaniu Parany.

Podróż do miasteczka Rio Negro nie trwa zbyt długo, lecz jest dokuczliwa, gdyż iskry z lokomotywy, opalanej drzewem, wpadając co chwila do wagonów, sprawiają podróżnym dotkliwe niespodzianki. Na stacji oczekiwał mnie pan T. i bez żadnych przygód dostaliśmy się do odległej o kilkanaście kilometrów kolonji Imbuial.

Pan T. zapewniał mię, że „w najbliższem sąsiedztwie jego domu są wielkie lasy, w których aż roi się od ptactwa". Atoli okazało się, że to, co oczom mego gościnnego gospodarza, niedawno przybyłego z Polski, zdało się wielkiemi lasami, było tylko zagajnikiem, porastającym zwykle miejsca trzebieży. Ptactwa było

wprawdzie dosyć, ale z gatunków pospolitych, chętnie przebywających w sąsiedztwie siedzib ludzkich. W szczególności znajdowało się tu wiele niebieskich tangarów (*Thraupis sayaca*), ptaków nieco mniejszych od polskiego drozda-śpiewaka, szaro-niebieskawych z pięknemi błękitnemi skrzydłami, które docierają nawet do ogródków kolonistów, urozmaicając im czas przyjemnym swym głosem; nie brakło również ptaszka z rodziny podsrokoszów (*Vireonidae*) — *Vireo chivi*, który w porze godowej ma zwyczaj wykonywać wcale piękne duety z samiczką, i wielu innych gatunków, mających pociąg do człowieka. Chcąc spotkać się z bardziej interesującemi formami, należało czynić wycieczki do odległego około 5 kilometrów São Lourenço, tam bowiem dopiero rozpoczynały się właściwe lasy.

Wieczorami do p. T. schodzili się na pogawędkę sąsiedzi-koloniści. Zwykłym tematem rozmów byli Indjanie, gdyż rozmawiający należeli do pierwszych osadników na Lucenie i w początkach istnienia tej kolonji musieli staczać uporczywe walki z czerwonoskórymi. Zdaje się, iż zarząd kolonji przez nieświadomość, a może i złą wolę, zajął jakieś uroczyska, czy cmentarzyska indyjskie, co wywołało naturalnie zbrojny opór ze strony autochtonów. Drugą przyczyną walk była obecność w sąsiedztwie Luceny łowców na Indjan — bugreiros, których napady podniecały rozdrażnienie.

W r. 1910—1911 nad Iguassu miałem pewną styczność z koczującymi po drugiej stronie tej rzeki Indjanami. Niejednokrotnie dochodziły mnie odgłosy walk, staczanych przez Indjan z oddziałami mierniczemi, wytykającemi tereny dla budującej się kolei żelaznej. Pewnego dnia, polując po stronie indyjskiej, usłyszałem rozlegające się dokoła gwizdanie, wydawane, jak twierdził mój towarzysz łowów, przez otaczających nas Indjan. Głosy owe tak nań podziałały, iż w panicznym strachu rzucił się do ucieczki, ja zaś zajęty polowaniem, pozostałem wtyle. Sądzę obecnie, iż Indjanie musieli uważać mię za spokojnego sąsiada, skoro mimo dogodnej okazji nie zrobili mi nic złego, wkrótce bowiem po ucieczce mego towarzysza gwizdania ucichły i żaden podejrzany szmer nie niepokoił mię już i nie przeszkadzał w pracy.

W zaludnionych miejscowościach Parany nie spotyka się wcale Indjan, nieliczne tylko osobniki, uprowadzone w młodości, trafiają się niekiedy po miastach i wśród kaboklów. Poznać ich łatwo, aczkolwiek nie różnią się ani mową, ani zbiorem. W przeciwieństwie do mulatów, mają włosy proste, nie kędzierzawe, inną budowę nosa i odmienną barwę skóry, nadto oprócz tych cech fizycznych różnią się jeszcze dodatnio spokojnem i łagodnem uspo-

sobieniem, oraz pewną powagą i smętkiem w spojrzeniu. W odludnej zachodniej części Parany koczownicze plemiona indyjskie są dziś jeszcze dość liczne. Indjanie z nad rzeki Ivahy noszą nazwę Aré, dalej na południe ku rzece Piquiry zowią się Chocreni, w okolicach Guarapuava koczują Indjanie Kamé, na lewym brzegu Iguassu — Awejkomas. Plemiona owe tak dalece różnią się narzeczem, iż trudno im porozumiewać się wzajemnie. Etnografowie brazylijscy dzielą Indjan parańskich na dwie plemienne grupy: Kaingang i Guarany lub Botokudzi; zaś ludność osiadła zwie wszystkich bugrami. Olbrzymia większość Indjan prowadzi życie koczownicze, budując naprędce na miejscach postoju rodzaj szałasów z narzuconemi dla osłony od deszczu liśćmi palmowemi, na podobieństwo dachu. Chodzą nago, lub prawie nago; u niektórych plemion mężczyźni noszą rodzaj malutkich fartuszków, inni i to uważają za zbytek. Natomiast kobiety, w szczególności młode mężatki, jako jedynego ubioru używają kółek i obrączek, wyrabianych z drzewa, któremi upiększają usta i uszy. Ozdoby te zdejmują tylko wówczas, gdy ich nikt nie widzi, i pokazanie się komuś bez nich uważają za czyn wysoce nieprzyzwoity. Indianie nie zajmują się wcale uprawą roślin zbożowych, nie znają również hodowli bydła, żywią się wyłącznie zdobyczą myśliwską i rybacką, oraz owocami i korzonkami leśnemi. Dotychczas używają narzędzi kamiennych i wyrabianych z taquary (rodzaj bambusu). Trzcina ta jest tak twarda, że skrawki posiadają ostrość noża. Takiemi nożami Indjanie przycinają sobie włosy na czole, by im nie zasłaniały oczu; dziewczęta i mężczyźni robią to nieznacznie, kobiety zaś zamężne ścinają włosy przy skórze i czoło podgalają wysoko aż do połowy czaszki. Jako broń, oprócz toporków i maczug kamiennych, służą im łuki długości około półtora metra, wyrabiane z palmy, bez żadnych ozdób, z wyjątkiem łuków, należących do kacyków, które z obu końców ozdobione są misternie wyrzynanemi figurkami. Strzały długości około 170 ctm., zrobione z cienkiej taquary, bywają trojakiego gatunku: o tępych końcach z twardego drzewa, służące do ogłuszania; o ostrych, przeważnie zatrutych końcach z bambusu, używane do celów wojennych; wreszcie — ostre o haczykowatych rozgałęzieniach, służące do polowania i rybołówstwa. Strzały te posiadają belty z piór jastrzębich lub papuzich. Czem Indjanie zatruwają groty — nie jest dotychczas wyjaśnione, atoli zdaje się rzeczą pewną, że użycie curare, którego główną część składową stanowi strychnina, nie jest znane w Paranie. Jedzą prawie wszystkie zwierzęta, nie wyłączając żmij, które pieką na ognisku bez uprzedniego

patroszenia ni usuwania pierza lub skóry. Użytku soli nie znają. Niektóre plemiona wyrabiają z taquary instrumenty muzyczne w rodzaju fletów, na których grają, przykładając instrument nie do ust, lecz do otworów nosa. Tańce indyjskie są bardzo monotonne i pozbawione życia: para, objąwszy się w biodrach, opisuje w wolnem tempie koła, przy akompanjamencie śpiewu widzów. Zaślubiny odbywają się bez żadnych ceremonij, jedynie pannie młodej przekłuwają uszy i usta, by mogła nosić upiększające ją kółka i krążki. Podobno rola starającego się przypada w udziale koblęcie.

Sposób grzebania zmarłych nie jest dokładnie znany. Wiadomo tylko, że przy obrządku pogrzebowym płoną olbrzymie ogniska, czy jednak spalają na stosie nieboszczyka, czy też palą ogień na grobie pochowanego, nie wyjaśniono dotychczas. Ceremonjom pogrzebowym przypisują Indjanie wielką wagę, wierzą bowiem, że bez nich zmarły przetwarza się w pumę. Po każdym pogrzebie Indjanie zmieniają miejsce koczowania. Na zmianę miejsca wpływają również wylewy rzek, przeważnie bowiem nad ich brzegami obierają sobie siedliska. Niektóre plemiona mają kacyków, noszących na głowie rodzaj wianków, uplecionych z liści — prymitywna korona.

Znaną mi jest ciekawa z wielu względów legenda indyjska o pochodzeniu jednego z plemion, którą podaję poniżej w pewnem skróceniu, zaznaczając, że opowiadają ją Indjanie z rozmaitych plemion, z drobnemi tylko zmianami.

„Onemi czasy spadł na ziemię wielki deszcz, który zalał wszystkich i wszystko zatopił. Jeden z naszych ludzi, zmęczony już bardzo długiem pływaniem, ujrzał płynącą palmę; uchwycił się jej gałęzi, wdrapał na wierzch i usadowił między konarami. Tak płynął długo, zaspokajając głód dojrzałemi owocami palmy, których była tam obfitość, a pragnienie — wodą.

„Pewnego dnia usłyszał głos rzecznego ibisa — sapucuhu.[1]) który wołał do niego:

— „Trzymaj się dobrze, przyniosę ci ziemi!

„Nieco później na gałęzi palmy usiadła saracura[2]) i rzekła:

— „Niedaleko stąd jest ziemia. Dlaczego nie pójdziesz tam?

— „Nie mogę — brzmiała odpowiedź człowieka — jestem tak słaby, że upadnę i utonę.

— „Przyniosę ci zatem ziemi — odrzekła saracura.

---

[1]) *Harpiprion cayennensis.*

[2]) Rodzaj kurki wodnej — *Aramides saracura.*

„I ona i ibis poczęli znosić w dziobach ziemię i zasypywać wodę. Tam, gdzie sypał ibis, potworzyły się góry (przed deszczem cała ziemia była równa i płaska). Człowiek zeszedł z palmy i żywił się korzonkami roślin i owocami, pozostawał jednak ciągle sam jeden między zwierzętami, które nie były do niego podobne.

„Pewnego dnia sapucuhu rzecze:

— „Dlaczego nie postarasz się o towarzyszkę? Niedaleko stąd widziałem dużo kobiet. Zrób sobie tratewkę, to każę patom,[1]) ażeby cię zawiozły na miejsce.

„I tak się stało: człowiek zbudował sobie tratewkę: z kwitnącej wodorośli i lian uplótł altankę i w niej się ukrył, a paty na rozkaz ibisa pociągnęły go za sobą.

„Na brzegu wielkiej wody kąpały się dziewice. Jedna z nich, najpiękniejsza, podpłynęła do tratwy przez ciekawość, ażeby obejrzeć altankę, i, nie spodziewając się zasadzki, wpadła w objęcia człowieka, a wówczas paty pociągnęły czem prędzej tratewkę zpowrotem. Na krzyk pozostałych kobiet zbiegła się gromada ludzi i puścili się w pogoń, kaczki jednakże nie dały się doścignąć.

„Od tych dwojga pochodzi nasze plemię: odtąd gdy spotkamy się z obcymi ludźmi, natychmiast musi być wojna, i dlatego żyjemy sami w lasach. Nie uprawiamy nic, bo obawiamy się, by nas obcy nie dostrzegli; karmimy się zwierzyną, owocami leśnemi i ziemnemi. Chodzimy nago, bo nie umiemy wyrabiać tkaniny — zresztą powietrze tu jest ciepłe i dobre. W wielkiem poszanowaniu mamy Sapucuhu i Saracurę, gdyż uratowały człowieka, od którego naród nasz pochodzi".

[1]) Patos — rodzaj kaczki *(Cairina moschata)*.

Tak zakończył swą opowieść stary, o wyniosłej postaci i smętnem wejrzeniu Indjanin, który, uprowadzony niegdyś przez białych, wśród nich już stale przebywał z bojaźni, żeby go swoi nie zamordowali po powrocie.

Wycieczki do São Lourenço niezbyt się udawały, gdyż najczęściej padał deszcz, a wtedy kolekcjonować można jedynie w pobliżu domu. Raz jednak wyprawa udała się znakomicie. Od domu niejakiego Sztala rozpoczynał się gęsty bór odwieczny, przepływała w pewnej odległości rzeczułka, było też kilka stawów, były tu zatem warunki nader sprzyjające dla mych poszukiwań. Jakoż na wstępie zauważyliśmy wędrowną gromadę ptaków.

W Ameryce Południowej ptaki niezawsze trzymają się pojedyńczo lub w stadkach, złożonych z przedstawicieli jednego gatunku. W dziewiczych lasach ptactwo, chcąc ułatwić sobie łowy, łączy się w wielkie gromady, celem wspólnego przeszukiwania zarośli. W gro-

madach takich, dążących z równą szybkością w pewnym obranym kierunku — zazwyczaj wzdłuż brzegów rzeki, skraju lasu, lub obok drogi czy ścieżyny — dostrzegamy przedstawicieli rozmaitych rodzajów, a nawet rodzin. Owady, wypłoszone niżej, chwytane są przez sąsiadów „z wyższego piętra" i odwrotnie, — jest więc wspólna korzyść i poparcie wzajemne. Taka gromada wędrowna — to kopalnia dla ornitologa: postępując z gromadą, wybiera on najciekawsze okazy; ptactwo, zajęte łowami, nie zwraca uwagi nawet na huk strzałów i śmierć towarzyszy; ogólny — spokojny i obojętny na wszystko poza łowami — nastrój udziela się nawet najbardziej ostrożnym osobnikom, które w innych warunkach nie dają się podejść blisko. Jest to więc wspaniała okazja nietylko do zdobycia cennych okazów, lecz i do obserwowania zwyczajów poszczególnych gatunków.

W gromadzie, którą spotkaliśmy w São Lourenço, górą przez wierzchołki drzew ciągnęły muchołówki (*Tyrannidae*) i tangary (*Tanagridae*); „średnie piętra" zajmowały tęgostery (*Dendrocolaptidae*), dołem zaś w krzakach pracowały wróblowate (*Fringillidae*) i mrówkołowy (*Formicariidae*). Przedewszystkiem uwagę naszą zwrócił wielki tęgoster — *Xiphocolaptes albicollis*, największy przedstawiciel rodziny: podskakując zabawnie, opisywał

spiralnie koła dokoła pni drzew, doszedłszy zaś do korony, przelatywał na dolną część drzewa sąsiedniego i znowu rozpoczynał oryginalną swą wędrówkę. Od czasu do czasu zatrzymywał się i, przykładając ucho do drzewa, nasłuchiwał uważnie — rzekłbyś, iż lekarz auskultuje chorą pierś pacjenta.

Nisko, wierzchołkami krzewów ciągnęły wielkie mrówkołowy *Thamnophilus silvigaster*: pochwyciwszy dużego owada, siadały na gałązce i tłukły swą zdobycz o pień drzewny, co czyniło wrażenie, jakby kuły korę na wzór dzięciołów. Z wierzchołków drzew raz po raz wylatywały muchołówki (*Phylloscartes ventralis*); te znowu, pochwyciwszy owada w powietrzu, powracały na swe miejsce, by go spożyć w spokoju, poczem ciągnęły dalej za gromadą.

Postępowaliśmy tak długo za gromadą, dopóki nie oddaliła się zbytnio w głąb lasu, wówczas należało powracać, albowiem do zachodu słońca pozostawało niewiele czasu.

Wracając udało mi się zdobyć jeden z najcenniejszych okazów, którego obecności w Paranie nawet nie przypuszczałem. Z wierzchołka drzewa, rosnącego w pobliżu rzeki, rozległ się nagle charakterystyczny dla dzięcioła turkot, jaki ptaki te wydają, uderzając z niezmierną szybkością dziobem w suchą gałązkę. Ma to na celu wystraszenie owadów

z ich głębokich kryjówek. Pomimo jednak, że głośny turkot powtórzył się kilkakrotnie, nie mogłem czas dłuższy dostrzec ptaka. Zastosowałem tedy zwykłą swą metodę: rzuciłem się nawznak na ziemię i jąłem uporczywie wpatrywać się w gąszcz listowia, skąd od czasu do czasu rozlegały się zastanawiające mię dźwięki. Jakoż po pewnym czasie zauważyłem drobną postać malutkiego dzięciołka, który z wielką zawziętością kuł pień u wierzchołka drzewa. Rozległ się strzał i — radość moja była równa zdziwieniu, gdy poznałem w zabitym ptaku nieznaną dotychczas samiczkę nader rzadkiego dzięciołka *Picumnus iheringi*. Przed trzydziestu zgórą laty zamięszkałemu w Taquara do Mundo Novo w stanie Rio Grande do Sul prof. Hermanowi von Ihering udało się zdobyć jedyny okaz samczyka, którego w parę lat później hrabia von Berlepsch opisał pod nazwą *Picumnus iheringi*. Ponieważ później ani odkrywcy tego ciekawego gatunku prof. Iheringowi, ani następcom nie udało się zdobyć więcej okazów, sądziliśmy wszyscy, że gatunek ten ma bardzo ograniczoną przestrzeń rozsiedlenia, t. j. istnieje tam tylko, gdzie został odkryty.

W późniejszym czasie udało mi się zdobyć jeszcze sześć okazów. Poznawszy bliżej sposób życia tego dzięciołka, zrozumiałem, dlaczego zdobycie go stanowi tak wielką tru-

Fojsowanie rosy.

Parana

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

dność: mianowicie ptaszek ów zamieszkuje wyłącznie nadrzeczne lasy, gdzie, przebywając pojedyńczo, poluje tylko na wierzchołkach wysokich drzew; brunatna jego barwa harmonizuje tak dokładnie z ubarwieniem kory, iż dostrzec go jest niezmiernie trudno; nadto, ponieważ jest zawsze milczący — nie wydaje żadnego śpiewu, ni głosu — więc i w ten sposób nie zdradza swej obecności. Odgłos silnego turkotu przypisywany bywa zawsze któremuś z większych gatunków dzięcioła, jak *Tripsurus flavifrons*, który też zwykle znajduje się w pobliżu.

Nic tedy dziwnego, że nie żałowałem czasu ni fatygi, by zebrać jak najwięcej takich okazów. W celu zdobycia całej ich serji przeszedłem zgórą 120 kilometrów, gdyż każda wycieczka do punktu, odległego o 10 przeszło kilometrów, przynosiła mi w razie powodzenia tylko jeden okaz, tak wiele czasu wymagało wyśledzenie dzięciołka.

Wracając z lasu, spostrzegliśmy u wrót swego obejścia pana Sztala, który, jako jeden z najstarszych osadników polskich, wzbudzał w nas zrozumiałą ciekawość, to też uprzejme zaproszenie na wieczerzę przyjęliśmy skwapliwie.

Starsi osadnicy polscy, których typowym przedstawicielem był gospodarz, znieśli wiele biedy w początkach swego pobytu w Paranie.

Rządowa kolonizacja brazylijska popełniła dużo błędów w realizowaniu planów zaludnienia kraju, i skutki tych błędów dawały się odczuwać dotkliwie osadnikom. Nie mówię tu naturalnie o nadużyciach możliwych wszędzie, a w szczególności w kraju o tak słabej liczebnie inteligencji. Działki ziemi, które dawano kolonistom, okazały się zbyt małe, gdyż uprawa ziemi, prowadzona sposobem jedynie możliwym narazie, stosowanym przez kaboklów, wymagała znacznych stosunkowo obszarów i posiadania bydła. Nadto oddziały miernicze nie brały wcale pod uwagę wartości ziemi, krając wszystko na równe działki bez względu na to, czy były to nieużytki, czy też urodzajna gleba. To też po ciężkiej i wytrwałej pracy koloniści przychodzili do wniosku, że „z szakru nie wyżyje" i trzeba poszukać zarobku. Tradycja chłopa polskiego — chodzenie na Saksy", odżywała przeto w całej pełni w Paranie. Większość starszych osadników miała sposobność uzyskać korzystny zarobek przy budowie kolei, na tartakach i t. d., poczem uciuławszy trochę grosza, dokupywali ziemi, lub wymieniali swą działkę, nabywali inwentarz i w ten dopiero sposób zdobywali warunki normalnej egzystencji.

Lecz nietylko materjalnej natury udręczenia znosić musieli starsi osadnicy. Brak państwowości polskiej zaciężył na nich złowrogo.

„Polacco sem bandeira não vale nada"[1]) twierdzili Brazyljanie i na tej zasadzie pozwalali sobie na nadużycia, które byłyby nie do pomyślenia w stosunku do ludzi, otoczonych normalną opieką własnej państwowości. Nie należy też zapominać, że Brazylja była niedawno krainą importu niewolników afrykańskich, z którymi nietylko obchodzono się nieludzko, lecz nadto darzono ich pogardą. Otóż część tych uczuć i tych stosunków przeszła na następców murzynów afrykańskich — osadników polskich.

Dla uplastycznienia tych stosunków podaję opis następującego zajścia, którego sam byłem świadkiem na kolonji Vera Guarany. Przybyli z Europy osadnicy mają prawo w ciągu pewnego określonego czasu otrzymywać prowjant w naturze, za który odrabiają, pracując przy drogach, mostach, i t. d. Manipulacja odbywa się w ten sposób, że każdy osadnik otrzymuje z zarządu kolonji książeczkę kontową jednej z uprzywilejowanych „wend", w której może wybrać prowjant do pewnej określonej sumy. Wskutek takiego systemu właściciele wend czynią wszelkie wysiłki, ażeby zjednać sobie zarząd kolonji natomiast nie liczą się wcale z klientelą. Jedna z takich wend odznaczała się szczególniej li-

[1]) Wym. Polako sen bandejra ną wale nada — Polak bez flagi państwowej nie ma żadnego znaczenia.

chością produktów i lekceważącem traktowaniem klienteli osadniczej. Gdy wreszcie przebrała się miara cierpliwości, osadnicy ruszyli wielką gromadą na „skargę do pana dyrektora". Sprytny jednak wendysta („wendziarz", jak mówią w Paranie) potrafił zapobiec niemiłym skutkom awantury w ten sposób, że wysłaniec jego poinformował zarząd o zbrojnym buncie osadników. To też gdy gromada, rozprawiając głośno, zbliżała się do „sede" (siedziba zarządu), rozległ się huk strzałów karabinowych — to dyrekcja kolonji wysłała „kapangów" (najemnych zbirów), żeby stłumili bunt w zarodku. Po drodze dostojnicy ci uraczyli się obficie „kaszasą" (wódka brazylijska), sprawa przeto poszła nietyle gładko, co szybko, i malkontenci zamiast na skargę do dyrektora, trafili do kadei (więzienie brazylijskie).

Ciężkie te nad wyraz początki, które jednakże skończyły się pomyślnie wywalczeniem samodzielnego i niezależnego bytu, wywarły na osadników wpływ dodatni. W obejściu ich uderza samodzielność, śmiałość poglądów, dokładna znajomość warunków miejscowych i energja. Cechy te, różniące naszych kolonistów tutejszych od chłopów w Polsce, zbliżają ich raczej do kaboklów brazylijskich; ubiór ich jest również przystosowany do gustu i zwyczajów miejscowych, aczkolwiek różniący się znacznie od ubioru kaboklów.

Na wieczerzę oprócz nieodzownej mathe podano nam zwykłą potrawę brazylijską „fiżon", t. j. czarną fasolę. Ponieważ warzywo to spożywane jest w Paranie w ogromnych ilościach, zatrzymam się nieco na jego uprawie i sposobie przyrządzania zeń jadła.

W celu przygotowania gruntu pod uprawę fiżonu, ziemia poddaje się „rosowaniu", które polega na tem, że osadnik przy pomocy narzędzia, stanowiącego coś pośredniego między siekierą i kosą, zwanego foiça, wycina zielsko, krzewy i ścina drzewa. Po pewnym czasie, gdy wycięte rośliny i gałęzie drzew zeschną zupełnie, podkłada ogień, który, spalając suchy materjał, spulchnia ziemię i pokrywa ją warstwą popiołu. Na tem popielisku sadzą fasolę wraz z kukurydzą, robiąc palikiem otwory i przydeptując wrzucone ziarna. Fasola rośnie obok kukurydzy i obwija się wokoło jej łodyg. Plony są duże, gdyż fasola ta jest bujna i bardzo płodna.

„Fiżon" brazylijski wymaga długotrwałego (około 4 godzin) gotowania, póki czarna początkowo polewka nie stanie się białawą; do garnka wkładają zwykle spory kawałek mięsa lub kości, po ugotowaniu zaś zaprawiają smażoną słoniną z dodatkiem „farinhy"[1]) Przygotowana w ten sposób fasola jest pod-

[1]) Wym. farinja — mąka kukurydzowa, lub mandjoka.

stawą jedzenia: do niej dodają ryż, mięso smażone lub gotowane, kartofle lub ogórki i t. d.

Przyznać należy, że owa słynna potrawa parańska jest nader smaczną i pożywną i nie przejada się nigdy, nawet przy codziennem spożywaniu.

Nagadawszy się z gospodarzem, który okazywał duże zainteresowanie się sprawami porzuconej oddawna ojczyzny i zdradzał obznajomienie się z kwestjami politycznemi oraz samodzielność poglądów, pożegnaliśmy gościnne progi.

VI.

Nad Rio Negro.

Przekonawszy się, że Imbuial nie nadaje się dla mnie zupełnie jako punkt oparcia w pracy, postanowiłem przenieść się w inne odpowiedniejsze miejsce. Dopomógł mi przypadek: dowiedziałem się, iż w odległej, położonej nad samą rzeką Rio Negro kolonji Antonio Olyntho z powodu wyjazdu nauczyciela stoi pustkami przeznaczony dla niego domek. Znając świetne warunki tej kolonji: bliskość dziewiczego lasu, sąsiedztwo dużej rzeki, wreszcie oddalenie od zamieszkałych punktów — zwróciłem się przez okazję z prośbą do kolonistów, by pozwolili mi chwilowo zamieszkać w opuszczonym domku. Propozycję przyjęto bardzo przychylnie i oto niespodziewanie zjawił się u mnie kolonista z Antonio Olyntho, by mię tam zawieźć. Uradowany uwinąłem się szybko z bagażem i tegoż dnia jeszcze ruszyliśmy w drogę. W wagonie byłem świadkiem zabawnej scenki. Jeden z pasażerów, widocz-

nie karciarz zawodowy, ogrywał kolejno towarzyszów podróży w ten sposób, że początkowo przegrywał dla zachęty znaczne sumki, następnie zaś wracał je sobie z nawiązką. Gdy w naszym wagonie zabrakło już amatorów, przeniósł się do sąsiedniego, wkrótce atoli powrócił do nas mocno niezadowolony, klnąc łotrów i oszustów. Okazało się, że trafiła kosa na kamień, bo gdy przegrał znaczną sumkę dla zachęty, nie w ciemię bity partner odmówił dalszej gry.

Na stację Bugre przyjechaliśmy późno wieczorem; w kilka minut po wyruszeniu pociągu w dalszą drogę stację zamknięto i funkcjonarjusze ulotnili się. Ulokowaliśmy tedy rzeczy w pobliskiej wendzie i rozpoczęliśmy poszukiwania przewoźnika, gdyż Antonio Olyntho znajduje się po drugiej stronie wartkiej i szerokiej w tem miejscu rzeki Rio Negro. Przewoźnik znalazł się, lecz nie chciał przewozić nas po nocy, musieliśmy więc przewozić się sami, co nie przyszło łatwo, gdyż wartki prąd i ciemność utrudniały przeprawę. Na drugim brzegu ogarnęła nas ciemność zupełna, jaka bywa zazwyczaj w gęstych lasach brazylijskich w noc bezksiężycową — potykaliśmy się co chwila o sterczące korzenie i pniaki. Po przebyciu wreszcie nadrzecznego lasu, zwanego w Paranie „varzea", wpadliśmy w jeszcze gorsze tarapaty. Wypadło przebyć

rozległe bagnisko, ciągnące się w pewnem oddaleniu od rzeki wzdłuż jej brzegów. Po nocy nie umieliśmy wyminąć miejsc grząskich, raczej przeciwnie brnęliśmy coraz głębiej. Wreszcie doszliśmy do przekonania, że tak iść dalej niepodobna, ugrzęźniemy w bagnie zupełnie. Lecz w tymże momencie towarzysz mój natrafił na jakiś płot, który nas zaprowadził do zagrody kolonisty, dokąd właśnie mieliśmy zamiar wstąpić po drodze.

Trafiliśmy zatem, lecz nie od drogi, tylko od strony rozległego bagniska. Pokrzepiwszy się „chimarouem", ruszyliśmy dalej, pożegnani życzliwą przestrogą gospodarza:

— A bądźcie ostrożni, gdyż po drodze włóczy się dużo psów wściekłych.

Miałem w ręku tylko lufki od strzelby, reszta części składowych pozostała w bagażu, niezbyt więc uśmiechała się nam perspektywa spotkania psa wściekłego, którego w ciemnościach nie moglibyśmy wyminąć, to też towarzysz mój przezornie trzymał się za mną. Wędrowaliśmy długo, to potykając się o występujące korzenie, lub konary, to błądząc po omacku na skrętach drogi.

— Ileż to razy — przyszło mi wtedy do głowy — wypadnie mi błądzić po pustkowiach parańskich, po obcych drogach, wśród nieznanych ludzi? A jednak, nawet znosząc wszelkie niewygody, trudy i niebezpieczeń-

stwa, wolę to życie, niż wegetację w Europie — tu przynajmniej żyje się naprawdę. — Dobrnęliśmy wreszcie do domku mego towarzysza. Psy jego okazały się nader czujne, zwinięte bowiem w kłębek spały pod daszkiem tak smacznie, że nawet nasze przybycie i długie, uporczywe stukanie nie zdołały ich obudzić. Wkrótce, rozciągnięci na skórach, zasnęliśmy błogim snem po trudach uciążliwej podróży.

Nazajutrz słońce było już wysoko, gdy ujrzeliśmy opuszczony domek nauczyciela. Przy wejściu sterczał olbrzymi wypróchniały wewnątrz pień imbui — dowód oczywisty, że istniały tu niegdyś wielkie bory. Pień był tak wielki, iż z łatwością można było wejść do środka, niewiele uchylając głowy. *Bignonia paranensis* jest drzewem pospolitem w Paranie, dostarcza budulcu tak twardego, że szczerbi się na nim topór osadnika, a tak ciężkiego, że w wodzie tonie jak żelazo, do którego zresztą zbliżony jest również wyglądem zewnętrznym, tem bardziej, iż na powietrzu szybko czernieje. Z imbui robią podkłady pod mosty i szyny kolejowe, tudzież pale wbijane w wodę i bagniska, gdyż nawet w takich warunkach drzewo trwa dziesiątki lat nienaruszone. Imbuje nie dorównywają wysokością starym pinjorom, przewyższają je natomiast grubością. Sterczące po drogach pnie usuwa się zwykle

przez wypalanie, podtrzymując ogień w ciągu długich miesięcy.

Podwórze, ogródek i dalsze otoczenie domku nader obficie zarastały chwasty, które w Paranie nader szybko i bujnie krzewią się na opuszczonej ziemi. Nieco dalej powstał już nawet lasek z bracatingi — rośliny, która, będąc zamłodu chwastem, drzewieje później i wyrasta na wcale pokaźne drzewko. Sam domek wewnątrz był bardzo miły: zwyczajem miejscowym nie posiadał okien, jeno okiennice, lecz podłogę miał drewnianą i zaopatrzony był w niezbędne sprzęty — tapczan, stołki, i stoły. Były mieszkaniec pozostawił po sobie wiele pamiątek: zamiłowany amator-zbieracz lubował się w wypychaniu zwierząt. Na ścianach i szafie ujrzeliśmy okazy małp, węży, a nawet kilka kolibrów (*Leucochloris albicollis*). Szkoda, że nauczyciel robił to bez planu i nieumiejętnie, zebrane bowiem okazy mogłyby służyć zoologom jako materjał do pracy, w takim zaś stanie, jak je znaleźliśmy, ulec musiały szybkiemu zniszczeniu.

„Kuchnia" zwyczajem miejscowym mieściła się w oddzielnym budynku o wielkich otworach w dachu dla ujścia dymu. Na środku izby kuchennej znajdowało się wysokie podmurowanie, przeznaczone na palenisko, a na niem cegły do dogodnego ustawiania naczyń;

u belki nad paleniskiem zwieszał się hak żelazny, służący do umocowania czajnika.

Ze stanu domku i sprzętów byłem wielce zadowolony.

— Mieszkać będę po królewsku, a praca pójdzie gładko i pomyślnie, — rzekłem do siebie z otuchą.

Była to właśnie niedziela i koloniści poczęli przybywać na sumę do pobliskiego kościółka. Po skończonem nabożeństwie koloniści tłumnie oblegli mój domek, aby zobaczyć „pana z Polski" i dowiedzieć się, co nowego słychać w „starym kraju". Byłem, wyznaję, wzruszony dowodami życzliwości i zainteresowania się moją osobą, lecz była i odwrotna strona medalu: ponieważ niewszyscy ciekawi mogli zmieścić się w izbie, pozostali zatem stanęli w otwartych oknach i poczułem się w sytuacji ciekawego okazu na wystawie. Gdzie tylko rzuciłem spojrzeniem — wszędzie wpatrzone we mnie oczy, badające mię z ciekawością i uwagą. Gdy wreszcie koloniści rozjechali się, wziąłem się niezwłocznie do prac przygotowawczych, by nie tracić już więcej drogiego czasu.

Mogłem jednakże powinszować sobie: położenie mej obecnej siedziby było wyśmienite aczkolwiek znajdowało się w pobliżu „sedy" (centrum kolonji — była siedziba zarządu kolonją podczas organizacji — z kościółkiem, sklepami

i t. p.) Zaraz za ogródkiem rozpoczynał się duży lasek, ocalały szczątek ogromnej niegdyś przestrzeni leśnej, obejmującej rozległe grunta obecnej kolonji Antonio Olyntho. Widocznie zachowano go celowo; bo też w lasku gromadziło się w ogromnej ilości ptactwo, wśród którego było wiele form ciekawych i gatunków przezemnie jeszcze niezdobytych. Do lasku bezpośrednio przylegał wielki bór pinjorowy, z którego dochodziły wrzaskliwe głosy niebieskich wron *(Cyanocorax coeruleus)* i papug *(Pionus maximiliani.)* Za lasklem rozpościerały się błonia, poprzerzynane rzeczkami. Posuwając się dalej na południe, dochodziło się do miejscowości zwanej Chpigão[1]), gdzie rozpoczynał się już nietknięty toporem osadnika las dziewiczy. Strona północna mej obecnej siedziby była mniej pociągająca: chcąc dostać się do lasku, okalającego rzekę Rio Negro, należało przebyć rozległe grunta uprawne kolonistów.

Pierwszą wycieczkę odbyłem do lasu na Chpigão, który pociągał mię nader silnie. Znajdując się o parę kilometrów od niego, usłyszałem głos szczególny, jak gdyby ktoś, uderzając dwie płyty metalowe jedną o drugą, wydobywał z nich dźwięki przeciągłe a czyste. W miarę zbliżania się dźwięki rosły i potężniały, stopniowo poczęły łączyć się z niemi inne głosy, wśród których rozróżniałem melo-

[1]) Wym. Srpigą.

dylny głos tangarów (*Chirozyphia caudata*), pełne niewysłowionej tęsknoty wołania podsrokosza (*Cyclarhis ochrocephala*), potężny, basowy głos tukana (*Rhamphastos dicolorus*) i wreszcie tysiączne inne głosy ptasie. Zbliżam się bardziej, przenikam w gęstwinę: z chórem ptactwa jednoczą się w doskonałą harmonijną całość poświsty wiatru i tajemniczy szept ciemnych głębin leśnych. Ogarnia mnie wieczysty półmrok zwrotnikowej puszczy; dziwna mowa puszczy — symfonja dziewiczego lasu — przemawia z nieprzepartym urokiem. Na łonie dziewiczej przyrody człowiek przestaje czuć się jednostką odrębną od otoczenia, poczyna uświadamiać sobie, że jest tylko mikroskopijnie małą cząsteczką potężnej całości. Bóle i smutki, radość i zwątpienia i ten głęboki osad goryczy, jaki życie pozostawia w duszy człowieczej, maleją, rozpływają się w mglistej przeszłości i nikną. Poczynasz żyć życiem puszczy: zharmonizowane z nią nerwy reagują na wszelkie jej nastroje z wrażliwością niesłychaną...

Brazylijskie lasy dziewicze — to najwspanialsze na świecie skupienia roślinności. Najbardziej uderzającą ich właściwością jest niezmierna rozmaitość wiecznie zielonych roślin drzewiastych; do wyjątków należą tu drzewa tracące na zimę listowie. Olbrzymia ilość pnączów, nietylko dosięgających wierzchołków

drzew, lecz i łączących drzewa ze sobą, a wśród nich obfitość epiphytów, należących do rodzin ananasowatych (*Bromeliaceae*) storczykowatych (*Orchidaceae*) i kaktusowatych (*Cactaceae*), jest drugą charakterystyczną cechą. Dalej wzbudzają podziw olbrzymie rozmiary roślin jednoliściennych (*monocotyledones*): palm, paproci drzewiastych, bambusów. Wreszcie uwagę zwraca obfitość i bujność roślin trawiastych — powojów, i bluszczów — tworzących z poszycia leśnego gęstwie nie do przebycia. O bogactwie i różnorodności flory lasów brazylijskich świadczyć może to, iż samych palm istnieje w Brazylji około 400 gatunków, nie wliczając odmian, przeszło 1300 gatunków storczyków, 1100 myrtów i t. d. W takim chaosie splątanych tworów roślinnych jedynie wyszkolone oko botanika południowo-amerykańskiego mogłoby poznać i nazwać poszczególne formy.

Moja atoli uwaga była zwrócona w innym kierunku: srebrzyste, metaliczne dźwięki, słyszane ze znacznej od lasu odległości, wydawał znany mi dobrze ptak z rodziny bławatników (*Colingidae*) — *Procnias averano*, zwany w Paranie ferreiro (kowal). Śnieżnej białości samiec sadowi się na wierzchołku najwynioślejszych drzew i stąd od czasu do czasu odzywa się owym tak charakterystycznie dźwięczącym głosem. W odpowiedzi z wierzchołka od-

ległego drzewa rozlega się dźwięk podobny, po nim drugi i trzeci — i tak dalej i dalej. W harmonji puszczy parańskiej dźwięki te należą do akordów dominujących. Samica zabarwiona jest inaczej — w ciemne paski na tle blado-żółtem — tudzież inne ma nawyknienia: znajdujemy ją zwykle na niskich gałązkach niewysokich drzewek spoglądającą z dziwną obojętnością na zbliżającego się myśliwca. Samica zatem łatwa jest do upolowania, natomiast polowanie na samca wymaga doskonale bijącej broni.

Na gałęziach rozłożystej kanelli spostrzegam gromadkę tukanów (*Rhamphastos dicolorus*). Ptaki owe, nader niezgrabne w locie, gdyż wydają się wówczas jakby przyczepione do potężnego swego dzioba, lubią niezmiernie zabawy: oto i teraz z dwóch przeciwległych końców poziomej gałęzi, śmiesznie podrygując jakby w takt skocznej muzyki, posuwają się bokiem ku sobie dwa ptaki; zbliżywszy się rozpoczynają żartobliwą bójkę, puszczając w ruch dzioby, skrzydła i nogi, by po pewnej chwili, niby tancerze w kontredansie, powrócić do poprzednich pozycyj. Wtem rozlega się groźny okrzyk: stary samiec, huśtający się na gałęzi pobliskiego drzewa i dotychczas uważnie przyglądający się zabawie — spostrzegł moją obecność. Wszystkie potężne dzioby natychmiast zwróciły się w moją stronę, rozle-

Las dziewiczy.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

gają się okrzyki, pełne oburzenia i gniewu na śmiałka, wdzierającego się tak brutalnie w ptasie posiadłości. Oburzenie tukanów udziela się innym ptakom: psst — psst — rozlega się inny głos nade mną, zupełnie, jak gdyby ptak wołał do sąsiada: patrz, patrz! To tangar olbrzymi (*Cissopis leveriana major*), podobny z zabarwienia i długiego ogonka do naszej sroki. Wkrótce zjawia się już cała ich gromada, która atoli, nie przestając wyrażać zdziwienia na widok obcej postaci, zarazem bacznie bada okoliczną roślinność i po chwili z podziwu godną zręcznością i gracją zrywać poczyna dojrzałe jakieś jagódki.

A oto i od ziemi podnosi się opodal jakiś zgiełk: gromada uru (*Odontophorus capueira*), ptaków kurowatych, obrała sobie legowisko u stóp olbrzymiego cedru, gdzie wygrzebała, na wzór naszych kur, jamki i przygotowywała się właśnie do poobiedniej drzemki, przerwanej mojem nadejściem.

Posuwam się dalej. Z gałązki na gałąź, a później na ziemię z głośnym szelestem spadają przede mną jakieś owoce czy pestki. Wpatruję się w gęstwinę: dyskretnym półgłosem, jak w arystokratycznym salonie, przepiękne papużki (*Pionopsitta pileata*) prowadzą ożywioną rozmowę, z przedziwną zręcznością, przy pomocy chwytnego dzioba, przesuwając się to niżej to wyżej, z gałęzi na gałąź. Nagle

obok mnie coś zaszumiało: niechcący spłoszyłem sarnę (*Mazama nemorivaga*), słodko drzemiącą przy dźwiękach muzyki lasów.

Wyszedłem na polankę leśną: przede mną rozwiera przepyszne kielichy ponsowy storczyk. Wtem, jak bezszelestna strzała przeleciała tuż koło mnie drobna ptaszyna i zawisła w powietrzu nad kielichem, zaglądając ciekawie do wnętrza. W promieniach tropikalnego słońca wspaniałe barwy ptaka wydawały ognie jak cenne klejnoty. Był to niezmiernie rzadki gatunek kolibra — *Cephalolepis loddigesi*, zjawiający się jedynie w czasie, gdy pewien rodzaj storczyka znajduje się w pełnym rozkwicie.

Wiele czasu zeszło mi w ten sposób na wtajemniczaniu się w szczegóły życia skrzydlatych obywateli puszczy, i na nieodzownym kijku wisiało już sporo okazów. Atoli począł mi dokuczać głód, a zwłaszcza pragnienie, że zaś wody surowej w Paranie nie pijałem, musiałem wracać do domu. Gdym kierując się kompasem skręcał na drogę, z jakiegoś zakątka w głębi poszycia wybiegła ogromna jaszczurka brazylijska zwana lagarto (*Tupinambis teguixin*) i pomknęła chyżo przede mną, wlokąc swój ogromny ogon, który pozostawiał za nią na piaszczystej drodze ślad wielce podobny do śladu koła rowerowego. Wędrując w r. 1910 nad rzeką Ivahy, napotykałem czę-

sto takie ślady i nie umiałem wówczas wytłumaczyć sobie ich pochodzenia.

Spotykałem w Paranie wiele jaszczurek. Wprawdzie iguany, żyjące nad wodą wśród gałęzi nadrzecznych drzew, trafiają się względnie rzadko, natomiast przedstawicieli rodziny *Tejidae* spotkałem mnóstwo, zarówno w miejscach bezleśnych, jak i w lesistych, poprzerzynanych moczarami. Najczęściej widywałem ogromną, bo sięgającą przeszło metra długości *Tupinambis teguixin*, — okaz nader pożądany, gdyż dostarczający mięsa doskonałego na pieczeń i do fasoli. Jaszczurka ta jest drapieżnikiem, łowi myszy, żaby i czyni wielkie nieraz spustoszenia wśród drobiu domowego, bywa jednak tolerowana w pewnych okolicach, niektórzy bowiem kabokle przypisują jej zasługę tępienia jadowitych żmij. Rzadziej zdarzało mi się napotykać jaszczurki z rodzaju *Ameiva*, inaczej zabarwione i o połowę blisko mniejsze.

Późno już było, gdy stanąłem u progu mego domku. Czułem się bardzo zmęczony, a jednak czekała mię jeszcze uciążliwa praca — preparowanie zdobytych okazów. Jest to odwrotna strona medalu: gdy każdy zbieracz-kolekcjonista owadów, ślimaków, roślin i t. d. po skończonej wycieczce może pozwolić sobie na dobrze zasłużony odpoczynek, ornitolog w obawie zepsucia mozolnie zdobytych

okazów musi, nie bacząc na zmęczenie, brać się do pracy, która nadto bynajmniej nie jest łatwą: preparowanie bowiem ptaków wymaga wielkiej umiejętności, cierpliwości i wiele, bardzo wiele czasu. Wykonanie preparatu ptasiego pochłania mniej więcej godzinę czasu, zależnie oczywiście od wielkości okazu.

W celu urozmaicenia sobie pracy poszukiwawczej, wycieczki następne odbywałem w różnych kierunkach: bądź w stronę opisanego powyżej Chpigão, bądź ku rzece Rio Negro: niekiedy spędzałem dzień cały w pinjorowym lesie, gdy zaś niewiele miałem czasu, wybierałem się do najbliższego lasku, i przyznać muszę, że i tu zwykle zdobywałem dostateczną ilość okazów.

Domki kolonistów, które miałem sposobność oglądać podczas owych wędrówek, schludnie i porządnie zbudowane, posiadały zazwyczaj ogródki obsadzone winogradem, w których rosły brzoskwinie, ameixe,[1]) rzadziej zaś pomarańcze, lub figi. Pospolicie hodowanych nad rzeką Ivahy ananasów i bananów nie znajdowałem tu wcale. Na podwórkach kręciło się sporo bydła, trzody chlewnej i drobiu. Niekiedy trafiałem i na małe pasieki, które mnie, jako niedoszłego pszczelarza, szczególnie interesowały, starałem się tedy za-

[1]) Wym. ameijsze — rodzaj śliwek.

poznać bliżej z tutejszem pszczelnictwem, aby uzupełnić wiadomości, zdobyte poprzednio na kolonjach Rio Claro i Vera Guarany.

Warunki miejscowe sprzyjają istnieniu jedynie małych, kilkoulowych pasiek, większe natomiast gospodarstwo pszczelne, prowadzone racjonalnie i postępowo, nie może się tu utrzymać, niska bowiem cena miodu i trudności zbytu tworzą przeszkody niezwalczone. W Paranie tylko „herva mathe" stanowi przedmiot stałego handlu wywozowego, innemi zaś produktami kupcy zajmują się dorywczo i niechętnie. To też koloniści trzymają pszczoły jedynie na własny użytek, w celu zastąpienia miodem drogiego tu cukru, otrzymywanego z trzciny cukrowej. Prowadząc gospodarkę pszczelną na tak małą skalę, nie dążą bynajmniej do powiększania pasieki, chodzi im natomiast o to, aby mieć z pszczołami jak najmniej kłopotu. To też wszelkie urządzenia pasieczne są nader prymitywne. Chcąc np. zbudować ul, kolonista bierze skrzynię od nafty, z wieka robi rodzaj drzwiczek, wierci świderkiem dziury na wyloty, przykrywa zamiast daszku kawałkiem półokrągłej deski — i ul już gotów. Nic dziwnego, że w takim ulu rojeniom niema końca, powoduje je bowiem nieracjonalna budowa, uniemożliwiająca rozszerzenie gniazda. Cała czynność pasiecznika ogranicza się do wycinania w końcu jesieni

wszystkich plastrów na swój użytek, co zazwyczaj gubi rój, lecz to nie wzrusza hodowcy, ponieważ z ocalałych, bardziej odpornych „pni" znowu rozmnoży sobie pszczoły na wiosnę, lub w najgorszym razie dostanie za bezcen od sąsiada nowy rój. Brak zimy, właściwie większych przymrozków, usuwa potrzebę wszelkich otulań, zabezpieczeń od zimna; nie spotykamy tu wcale objawów, związanych z zimowaniem pszczół, jak np. zaperzenia. Hodowla pszczół wymaga tedy nadzwyczaj mało zachodów i kłopotu i byłaby niezmiernie korzystna, gdyby nie wspomniane powyżej warunki handlowe. Brazylijanie ani miodu, ani też produktów z niego nie używają wcale. W Fernandes Pinheiro był kiedyś zakład, wyrabiający miód pitny, lecz ten nie rozpowszechnił się nawet na miejscu wyrobu.

Pracując na kolonji Vera Guarany, miałem niemało kłopotu z wyborem odpowiedniego materjału na ule. Używane zwykle jako budulec drzewo pinjorowe posiada w najwyższym stopniu własność pęcznienia i skręcania się na otwartem powietrzu; imbuja — cenne, odporne na gnicie drzewo — z przyczyny niezwykłej swej wagi może być użyta tylko na listewki. Za najodpowiedniejsze uważam drzewo cedrowe *(Cedrela brasiliensis)*, zbliżone kolorem do mahoniu, aczkolwiek jest to materjał nietrwały.

Oprócz zwykłych pszczół europejskich *(Apis mellifica)*, posiada Parana kilka gatunków pszczół dzikich; najwięcej znane są manduri *(Melipona)*, maleńkie, czarne bez żądła, wyrabiające nader aromatyczny miód płynny, używany do celów leczniczych. Tak zwany w pszczelnictwie „pożytek" trwa tu znacznie dłużej niż w Polsce: jeszcze podczas zimy tutejszej, w lipcu, kwitnie bracatinga, dostarczająca w ciągu kilku tygodni najwcześniejszego pożytku; od połowy września do połowy grudnia trwa pożytek główny i pora rojenia się pszczół; wreszcie w marcu mamy ostatni późny pożytek, przyczem również niekiedy zdarzają się rójki. Pozostały czas pszczoły spędzają w ulach, zachowując się tak, jak u nas w marcu, to jest siedzą cicho we dnie chłodne i pochmurne, lecz, gdy tylko słońce przygrzeje, wnet wesoły brzęk oznajmia o budzącem się w pasiece życiu. A jednak pomimo dłuższego pożytku, ilość otrzymywanego miodu nie jest większa niż w Polsce, pszczoły bowiem podczas spoczynku nie przebywają w półśnie, jak u nas, spożywają więc miodu znacznie więcej — częściej też giną z głodu u pszczelarza zbyt chciwego.

W godzinach przedświtu, gdy pierwsze przebłyski zorzy poczynają różowić wierzchołki drzew, ogromna większość ptaków wyśpiewuje hejnał poranny. Wsłuchując się

w chór tych głosów można nietylko ustalić, kiedy który gatunek przystępuje do pracy po wywczasach nocnych, lecz nadto posiąść cenne wskazówki co do obecności poszczególnych form, wiele bowiem gatunków w innych porach dnia zachowuje się milcząco, lub też wydaje tylko ciche, przytłumione głosy.

W sąsiedztwie mego domku przepływał niewielki, ale wartki strumyk, o brzegach bujnie porośniętych krzewami, których mieszkańcy należeli do najwcześniej odprawiających swe poranne modły, ciemno bowiem jeszcze było, a już z wnętrza krzaków rozlegały się dźwięki nietyle przyjemne, ile silne: „tra-ta-ta, traa, traa". Trzeszcząca ta piosenka trwała dość długo, poczem śpiewacy spuszczali się na ziemię i rozpoczynali łowy piesze, uganiając się za ukrytemi w trawie owadami. Żerujące ptaki posuwały się szybko, zarazem atoli śledziły bacznie, by ich kto nie zaszedł. Był to ciekawy, odkryty, jak wiele innych, przez słynnego J. Natterera gatunek garncarzy (*Furnariidae*), mianowicie *Oibnorais dendrocolaptoides*, którego nieznane dotychczas obyczaje udało mi się poznać drogą dłuższych obserwacyj. W godzinach skwarnych ptaki te, wielkości małego drozda, o barwie rudawej z białemi wstęgami u brwi, chowają się w gąszcz leśny, gdzie poszukują zdobyczy wśród suchych liści; od czasu do czasu słychać tylko ich głos

chrapliwy, przywołujący towarzyszy. Pozostałą część dnia spędzają w krzakach nadrzecznych, gdzie zachowują się zwykle milcząco.

Przechodząc pewnego ranka skrajem pinjorowego lasu, usłyszałem wyśpiewywaną milutkim głosikiem piosenkę: „tsi-tsi-tsi-tzirrr". Śpiewały ptaszęta czubate o długich ogonkach, z ogromną żywością i uwagą plondrujące wśród igieł pinjorowych. Była to słynna *Lepidothrura salaria*, której zdobycie w Affonso Penna dostarczyło mi tyle emocji. Tutaj w Antonio Olyntho mogłem uzupełnić poczynione spostrzeżenia i poznać dokładnie sposób życia ciekawej tej ptaszyny. Życie jej związane jest całkowicie z egzystencją pinjorów, dostarczających jej pożywienia w postaci malutkich chrząszczy, któremi żywi się wyłącznie. Trzymają się te ptaszki małemi gromadkami, rzadziej pojedyńczo, na skrajach lasów; są tak mało bojaźliwe, iż kilkakrotny nawet wystrzał nie płoszy ich bynajmniej; co najwyżej ptaszyna nachyla swą piękną czubatą główkę, ażeby popatrzeć, kto tam na dole sprawia tyle hałasu.

W lasku obok domku miałem sposobność obserwować dwa zajmujące mię bardzo gatunki muchołówek amerykańskich (*Tyrannidae*), mianowicie *Xanthomyias virescens* i *Phyllocarles ventralis*. Obyczaje obu gatunków są bardzo zbliżone, jedyna różnica polega

na tem, że gdy *Phyloscartes* przebywa nisko na dolnych gałęziach drzewek i na wysokich krzewach, *Xanthomyias* — wyłącznie w górnych częściach drzew wysokich. Oba gatunki żywią się jagódkami i nasionkami, przeważnie zaś owadami, które chwytają wlot bardzo zręcznie. Zielonkawe zabarwienie grzbietu i żółtawy spód tych ptaszków harmonizuje doskonale z ulistwieniem drzew, na których przebywają, to też, gdy siedzą nieruchomo, owady zbliżają się do nich, nie spostrzegając grożącego niebezpieczeństwa. I wówczas czyhający ptak zrywa się szybko, chwyta zdobycz i znów powraca na poprzednie stanowisko. Szczególnym jest głosowych *Xanthomyias*: dźwięki wylatują z gardziołka pośpiesznie, gwałtownie — rzekłbyś, że wyrzucane w gniewie i oburzeniu.

Ptaki, należące do rodziny *Tyrranidae*, zamieszkują wyłącznie Amerykę i w znacznej większości południową. Jest to rodzina bardzo liczna i z powodu jednolitego zabarwienia większości gatunków przyczyniająca systematykom wiele trudności. Częstokroć naprzykład ptaszki tak są podobne do siebie, że próżnobyś szukał różnicy w upierzeniu, i tylko dokładne przy pomocy lupy zbadanie budowy nóżek pozwala odróżnić dwa odrębne rodzaje: *Aerorchilus subviridis* i *Xanthomyias virescens* — z których jeden ma na skokach kwadratowe tafelki, a drugi okrągłe brodawkowate tarczki.

Studjując gatunki tej rodziny, przekonać się można, jak ważnem jest dla systematyka poznanie biologji poszczególnych gatunków, do której zbyt małą wagę przywiązują uczeni gabinetowi, znający ptaki jedynie z preparatów muzealnych. Jest wiele wypadków, że tylko dane biologiczne — odrębny głos, różne miejsca przebywania, rozmaita budowa gniazda, lub odmienne jajka — dają nam możność zorjentowania się, że z rozmaitemi, aczkolwiek łudząco podobnemi do siebie formami mamy do czynienia. Bywa odwrotnie: niektóre, jak sądzą obecnie, odrębne gatunki wypadnie zaliczyć do jednego, aczkolwiek bowiem różnią się wielkością i zabarwieniem, nie dają atoli odróżnić się na miejscu. Mamy tu tedy do czynienia tylko z ogromną zmiennością indywidualną i typy krańcowe uznane były za odrębne formy, ponieważ nie znano okazów pośrednich, łączących oba skraje w jeden nieprzerwany łańcuch.

W porównaniu z bogatą fauną ptasią okolice Antonio Olyntho były bardzo ubogie w gatunki i osobniki ssaków. Pewnego razu wszakże ujrzałem zbliżające się do mnie drożyną leśną jakieś dziwne zwierzątko, wielkości malutkiej sarenki, brunatno-rudawej barwy. Był to rodzaj gryzonia — Kutija Brazylijan (*Aguti*). Stałem nieruchomo, obserwując ciekawe zwierzątko, biegnące w jakichś szczególnych po-

drygach. Podbiegłszy do samej mej nogi, zatrzymało się, nie rozumiejąc widocznię grożącego mu niebezpieczeństwa. Po chwili jednak coś je zaniepokoiło: zastrzygło uszkami, zadreptało nerwowo, i wreszcie z jakimś żałosnym okrzykiem błyskawicznie znikło w gęstwinie.

Miałem też raz pocieszną przygodę z malutką małpką, zwaną przez Brazyljan macaquinho[1]) (*Cebus capucinus*). Zapędziwszy się głęboko w las na Chpigão, usłyszałem gdzieś w dali głośne zawodzenie dziecka. Zaintrygowany poszedłem w kierunku miejsca, skąd płacz ów dochodził, i przekonałem się, że to nie zbłąkane stworzenie ludzkie, które musiałoby znajdować się gdzieś nisko na ziemi, lecz jakiś mieszkaniec leśnych wierzchołków; począłem tedy pilnie rozglądać się wśród gęstwiny i spostrzegłem wreszcie na wierzchołku potężnego pinjora drobną ciemną postać: trzymając się oburącz za głowę i kiwając się jednostajnym miarowym ruchem, mała małpeczka skarżyła się boleśnie leśnym duchom. Chcąc zwrócić uwagę płaczki na moją osobę, zastukałem w pień pinjora. Efekt natychmiastowy: małpeczka opuszcza ręce, chwyta się za gałąź i, zwieszona całem ciałem, rozpatruje baczniе poszycie, aż dostrzega mię wreszcie:

— Ach! to tylko człowiek.

[1]) Wym. makakinjo.

Sadowi się tedy na poprzednie miejsce, ujmuje znowu twarz rękoma i znowu rozpoczyna przerwane lamenty...

Wielkich drapieżników nie spotykałem wcale w Antonio Olyntho, nie widziałem tam również mrówkojadów i pancerników, nie mówiąc już o takich rzadkościach, jak tapir; nawet wilka brazylijskiego, zwanego guara (*Canis jubatus*), którego głos rozlega się tak donośnie wśród ciszy nocnej na Vera Guarany, nie słyszałem tu wcale. Jedynie złożyła mi raz wizytę rapoza (*Felis jajeros*). Siedziałem późno wieczorem, preparując okazy, gdy usłyszałem nagle rozpaczliwy głos otrzymanej niedawno w podarunku kury. Chwyciłem za broń i wypaliłem w ciemność w kierunku hałasu, który wnet też ucichł, nazajutrz atoli znalazłem tylko trochę pierza: śmiały drapieżnik pomimo strzałów umknął ze zdobyczą.

Jedyną zwierzyną myśliwską z pośród ssaków były w Antonio Olyntho sarny. W Paranie znajdują się dwa gatunki sarn: mniejsza (około 45 ctm. wysokości) *Mazama nemorivaga*, i większa, zwana przez Brazyljan viado pardo, *Mazama rufa* (około 65 ctm. wysokości). Ta ostatnia, barwy brunatno-rudej, jest pospolitsza. Pierwsza spotyka się wyłącznie wśród dziewiczych lasów, zaś viado pardo znajduje się wszędzie, zarówno w gęstwinie leśnej, jak i w miejscach otwartych. Zbliża się też do sie-

dzib ludzkich, wyrządzając znaczne szkody, szczególniej na plantacjach kukurydzy i czarnej fasoli, skąd wyjada młode roślinki. Spotykałem ją tylko pojedyńczo. Nie umiem wytłumaczyć przyczyny, dlaczego zwierzę to, aczkolwiek bardzo płochliwe, w pewnych chwilach nie objawia żadnej bojaźni przed człowiekiem. Nigdy nie zapomnę zdarzenia, jakiego byłem świadkiem na drodze, prowadzącej z „sede" Vera Guarany do rzeki Iguassu. Wracałem z miasteczka bez żadnej broni, gdy spostrzegłem biegnącą naprzeciwko sarnę. W miarę zbliżania się sarna zwalniała biegu i wreszcie stanęła tuż przede mną. Nie wiedziałem, co uczynić: czy ją pogłaskać, czy też złapać za uszy. Nagle, jak gdyby przypomniała sobie o czemś niezmiernie ważnem, a zapomnianem w domu, sarenka zawróciła i pomknęła przede mną. Po pewnym czasie usłyszałem strzały, puściłem się tedy do zakrętu drogi i ujrzałem następującą scenkę: uciekająca ode mnie sarna spotkała się znowu z człowiekiem, tym razem jednak był to kolonista, uzbrojony w przedpotopową jakąś rusznicę, i z racji drożyzny amunicji nader rzadko robiący z niej użytek. Doskonała jednak i obfita pieczeń, która mu sama wlaziła w ręce, rozpaliła w nim ogień Nemroda. Atoli z pośpiechu i łatwo zrozumiałego wzruszenia chybił. Sarenka zatrzymała się jak wryta. Myśliwy majstruje koło

swej rusznicy, celuje długo i pilnie, wreszcie strzela ponownie. Efekt był nieoczekiwany i niezmiernie komiczny: sarenka podskoczyła, lecz zamiast uciekać, zbliża się jeszcze do nieforfunnego strzelca. Znowu strzał — i sarenka podsuwa się jeszcze bliżej. Tego było już za wiele biedakowi: skręcił pośpiesznie w boczną ścieżynkę i umykał w popłochu przed złym duchem, który przybrał postać nadobnej sarenki.

W Antonio Olyntho nie urządzano polowań na sarny, czasami tylko któryś z kolonistów, zniecierpliwiony jakąś dotkliwą szkodą, zaczajał się ze strzelbą wieczorem w zasadzkę na szkodnika i zdarzało się, że wracał do domu, uginając się pod ciężarem pięknej zwierzyny; przeważnie jednak, zmarnowawszy kilka wieczorów, zniechęcał się niepowodzeniem i dawał za wygraną.

W wielkich lasach Vera Guarany kabokle urządzali bardzo często polowania z naganką na paki (*Coelogenys paca*) i sarny. Polowania odbywały się w pobliżu rzeki Iguassu przy pomocy psów, które, wytropiwszy sarnę, goniły ją głosem jak nasze ogary. Po pewnej, zazwyczaj dłuższej gonitwie, zmęczona pogonią sarna dopadała rzeki w nadziei, że po drugiej stronie uda się jej ujść pogoni. Tu jednak czatował już w pirodze brazylijskiej, (canua), wyciosanej z jednego pnia imbui lub cedru, myśliwy, i, ponieważ sarna płynie nader powoli,

bez wysiłku dopędzał ją, chwytał za uszy, topił pod wodą i wyciągał na brzeg.

Każde polowanie ma swój urok, na mnie jednak ten rodzaj polowania sprawiał niezbyt miłe wrażenie, szczególniej, gdy rozlegał się rozpaczliwy głos schwytanego zwierzęcia, łudząco podobny do głosu męczonego dziecka.

Pośród ptaków na nazwę zwierzyny zasługują kusaki *(Tinamidae)*. Większy ich rodzaj — kuropatwa-kusak, lub kusak rudy *(Rhynchotus rufescens)* — zamieszkuje wyłącznie bagniste błonia, ożywiając w godzinach wieczornych pustkowie pięknym donośnym głosem. Polowanie odbywać się może jedynie przy pomocy wyżła, który zwierzynę tropi i „wystawia", zupełnie jak u nas kuropatwy. Lot tych ptaków jest nader ciężki i powolny, to też stanowią doskonały cel do strzału; jedynie grząskie moczary, wśród których zwierzyna przebywa, utrudniają polowanie. Brazyljanie nie posiadający umiejętności strzelania wlot ptaków, z polowania tego nie korzystają, aczkolwiek doskonałe, nader delikatne i jakby przezroczyste mięso stanowi łakomy i pożądany kąsek. Jak wszystkie kusaki, kuropatwy te niosą przepiękne, jakby polerowane, jaja, które składają wprost na ziemi. Po zniesieniu jaj dalsza opieka przechodzi na samca, który je wysiaduje, z czego korzystając płocha samiczka wchodzi powtórnie w związki małżeńskie. Nie-

Kabokle nad Ivahy.

Parana

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

stety, miejscowy zwyczaj palenia traw właśnie w porze lęgowej szybko wytępi tę jedyną „szlachetną" zwierzynę.

Leśne kusaki (*Crypturus obsoletus*), nieco mniejsze od poprzednich, trafiają się nawet w najbliższem sąsiedztwie siedzib ludzkich, zdradzając swą obecność, podobnie jak kuropatwa-kusak, donośnym i pięknym głosem. Lot ich jest również ciężki i słaby, to też zrywają się bardzo niechętnie, chyba gdy się je podejdzie bardzo blisko i niespodziewanie; zazwyczaj jednak umykają pieszo, nader zręcznie wyzyskując na ukrycia wszelkie nierówności terenu, krzaki i kępy chwastów, to też upolowanie tych ptaków jest niezmiernie trudne. Jedynie zaobserwowany przeze mnie ich zwyczaj spacerowania po deszczu po ścieżynach leśnych daje sposobność zdobycia pieczeni, nie gorszej niż z kuropatwy kusaka.

Pewnego wieczoru, o późnej już porze tuż obok domu mego rozległ się huk strzałów. Przez głowę przemknęła mi myśl, iż może to napad kapangów, po chwilowej jednak rozwadze odrzuciłem to przypuszczenie. Kapangami nazywają w Brazylji najemnych zbirów, pozostających zwykle w służbie możnych, czyli tak zwanych „wpływowych" jednostek, to też napady rabunkowe zdarzały się rzadko, przeważnie zaś motywem ich jest chęć zemsty. Ponieważ zajęty mą pracą nie miałem w Para-

nie nieprzyjaciół, a co jeszcze ważniejsze — przyjaciół, tedy najście kapangów nie miałoby żadnej racji.

Wyszedłem tedy spokojnie przed domek i zawołałem do strzelających:

— Bójcie się Boga! poco tak marnujecie amunicję? Chyba wam z nieba nie spada, jeno trzeba drogo za nią płacić na wendach!

W odpowiedzi usłyszałem śmiech. Okazało się, że to znajomi (z nich jeden z Imbuiału) kupą walą do mnie. Chcieli mię nastraszyć strzałami, niezbyt się to jednak udało; natomiast nastraszyli sąsiadów, którzy, sądząc, że nadeszła ostatnia moja godzina, hurmem sypnęli na pomoc przez kolczaste krzaki z wielką szkodą swych ineksprymabli.

Na miłej pogawędce czas upływa szybko. Nikt z nas nie przeczuwał, że nadchodzi jedna z najstraszniejszych w historji burz dziejowych, która miała wstrząsnąć i obrócić w gruzy trony największych w świecie mocarzy. Nie przypuszczaliśmy też wcale, że wypadnie nam wszystkim przywdziać szare mundury żołnierskie, by bagnetem bronić całości dalekiej ojczyzny...

Zaimponowały mym gościom rezultaty mej pracy. Piętrzyły się skrzynie cedrowe, a w nich w zalutowanych w celu ochrony od pasorzytów blaszankach mieściły się setki starannie otulonych bibułką okazów. Skrzynie były już

gotowe do transportu przez morze. Niestety, nie przyszło mi na myśl, ażeby je wówczas wysłać!

Odprowadzając znajomych na stację Bugre, byłem znowu nad rzeką Rio Negro. Rzeka ta o wiele mniejsza niż Iguassu w Vera Guarany i znacznie mniej rybna. Wprawdzie i w Iguassu ryb było niewiele, jednakże widziałem nieraz połów dość obfity, który przeważnie urządzano przy pomocy sznurków, opatrzonych haczykami. Sznury takie przeciągano przez całą szerokość koryta, tworząc rodzaj zasieki.

Ryby w rzece Iguassu należały przeważnie do gatunków opancerzonych. Szczególniej pospolitym był cascudo (*Plecostomus lexi*), o spłaszczonem ciele barwy brunatno-oliwkowej, biało nakrapianej, długości około 10 ctm. Ryba ta posiada ogromną zdolność przysysania się do różnych przedmiotów podwodnych i opierając się przy wyciąganiu ujawnia ogromną siłę. Poza tem dosyć pospolitemi były znacznie mniejsze ryby, zwane cascudinho[1]) (*Otocinclus*). Dopiero jednak w rzece Ivahy widziałem prawdziwą obfitość ryb. Tam wyjątkowo często pojawiał się rodzaj słynnej dziś w zoologji dwudysznej ryby, podobnej nieco do węgorza *Lepidosiren paradoxus*, o wydłużonem ciele długości około metra, od-

[1]) Wym. kaskudinjo.

dychającej płucami i wynurzającej się z wody dla wydychania i wdychania powietrza. Mieszkańcy nadrzeczni łowią tę rybę przy pomocy dzirytów, które rzucają bardzo wprawnie z łódek. Mięso jej jest wyborne. Nadto trafiały się tam często t. zw. peixe-espada[1]) *(Sternarchus brasiliensis)* o barwie jednostajnie brunatnej, ciemniejszej na grzbiecie, długości około 40 ctm. Nazwę brazylijską zawdzięcza owa ryba formie ciała, gdyż korpus ma rzeczywiście wydłużony na podobieństwo szpady.

Wracając ze stacji obserwowałem ciekawą scenę: na wierzchołku rosnącego na wielkim trawniku wysokiego krzewu zakwitł nagle pyszny kwiat amarantowy; po chwili kwiat ów znikał, natomiast jakiś ptaszek wylatywał w powietrze, coś chwytał i wracał do krzaku. Za chwilę czerwony kwiat ukazywał się znowu. Ogromnie byłem zaintrygowany, to też, obserwując pilnie, zrozumiałem wreszcie, co się dzieje. Okazało się, że to czerwona z szarym grzbietem i skrzydełkami muchołówka *(Pyrocephalus rubinus)* w ten sposób poluje. Siedząc na czubku krzewu i trzepocząc skrzydełkami, naśladuje do złudzenia wspaniały kwiat czerwony i w ten dowcipny sposób zwabia pożądane gatunki owa-

[1]) Wym. pejsze-espada — ryba szpada.

dów, gdy zaś owad zbliży się dostatecznie, chwyta go wlot i powraca, by po chwili znowu manewr powtórzyć. Ptaki, należące do rodziny amerykańskich muchołówek *(Tyrannidae)*, ujawniają ogromną pomysłowość w łowieniu owadów. Większe gatunki, obdarzone silnym lotem, jak *Tyrannus melancholicus*, *Muscivora tyrannus*, *Hirundinea bellicosa*, trzymają się zwykle przydrożnych drzew, potrzebują bowiem do łowów wolnej przestrzeni, której byłyby pozbawione wśród gęstwiny leśnej. Z drobnych gatunków jedne imitują do złudzenia otaczające przedmioty, nie różniąc się prawie szaro-zielonem zabarwieniem od liści i gałęzi, inne jaskrawością barw zwabiają ku sobie pewne gatunki owadów, stanowiących dla nich smaczny kąsek. Do takich należy właśnie tylko co opisany *Pyrocephalus rubinus*, a także *Ouychorhynhus swainsoni*, brunatno-płowy ptaszek z jaskrawym na kilka kolorów zabarwionym czubkiem, który służy mu jako przynęta, imitując ulubiony kwiat niektórych owadów.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy przechodziłem przez bagniste błonia, rozciągające się na wielkiej przestrzeni ku rzece Rio Negro. Chór bagnisk rozbrzmiewał w całej pełni, tym razem jednak głosy ptasie były tu bardzo nieliczne: tło chóralne tworzyły piewiki-cykady, zaś rolę solistek odgrywały ża-

by. Nigdzie na świecie nie słyszy się tak rozmaitych i tak potężnie brzmiących głosów żabich. Podczas wędrówki w kierunku rzeki Ivahy, leżąc wieczorami w namiocie, spędzałem pomimo zmęczenia godziny całe na wsłuchiwaniu się w te szczególne głosy. Niezwykle potężnie brzmiały dźwięki, podobne do odgłosu silnego kucia, wydawane przez brazylijską żabę błotną *Paludicola gracilis*.

Inny znowu gatunek, *Paludicila fuscomaculata*, wydaje głos zupełnie podobny do kwilenia niemowlęcia. Podczas mej bytności na Vera Guarany wypadło raz przybyłym niedawno z Polski osadnikom obozować w nocy w pobliżu rozległych moczarów. Nagle w ciemnościach rozległ się płacz niemowlęcia. Wśród kolonistów wielkie poruszenie: czynią rozmaite przypuszczenia, gubią się w domysłach — wreszcie, uzbroiwszy się w płonące suche gałęzie, ruszają gromadą w kierunku odzywającego się coraz silniej i żałośniej płaczu. Poszukiwania trwały dość długo, atoli dziecka nie znaleziono. Zdecydowali tedy, że to jakaś dusza pokutuje, i powrócili do ogniska.

Zbliżając się do swej siedziby, zauważyłem gromadę kozodojów. O zmierzchu ptaki te opuszczają swoje kryjówki w gęstwinach leśnych i wyłatują na połów ćmy. Jeden z tych licznych w Paranie gatunków *Uropsalis forcipata* odznacza się olbrzymio wydłużonemi sterówkami, przy których pomocy wykonywa w locie przeróżne ewolucje, to rozszerzając je gwałtownie, to ściągając w ten sposób, że koniuszczki stykają się ze sobą i tworzą olbrzymie koła, co w półmroku wieczornym nadaje im jakąś fantastyczną postać. Na człowieka nalatują tak blisko, iż obawiasz się nieomal, aby cię nie potrącily.

Inny gatunek — *Nyctidromus albicollis* — ma znowu zwyczaj w wieczornych godzinach sadowić się na kilkanaście kroków przed przechodniem i przy zbliżaniu się jego odlatywać nieco. Manewr ów, powtarzany nieustannie, świadczy, że ptakom chodzi o chwytanie owadów, które płoszy idący drogą przechodzień. Niezawsze więc człowiek jest szkodliwy dla ptaków, czasami, acz nieświadomie, staje się im użyteczny.

Pewnej niedzieli w miasteczku rozległ się znowu huk strzałów, tym razem jednak zakończenie nie było humorystyczne. We wszystkich osadach i miasteczkach parańskich istnieją tak zwane wendy, to jest sklepiki, w których dostać można prawie wszystkich niezbędnych mieszkańcom artykułów. Największym zbytem cieszy się „kaszasa", nieco cuchnąca wódka, wyrabiana z trzciny cukrowej. Na wendach tych odbywają się często libacje, szczególniej w niedziele i dni

świąteczne, i prawie zawsze zastać tam można jednego lub kilku podchmielonych osobników, którzy częstują każdego przechodzącego, odmowę zaś uważają za obrazę osobistą; ponieważ zaś wszyscy, prawie bez wyjątku, noszą przy sobie broń palną i sieczną, więc awantury takie kończą się niekiedy krwawo.

Tym razem sprawcą zajścia był kolonista polski, który mocno podchmielony zrobił awanturę przybyłemu do wendy Brazylijaninowi za odmowę poczęstunku. Gdy przyszło do wymiany słów obelżywych i na scenę wystąpiły pistolety, kaboklo strzelił, trafiając zamiast w sprawcę zajścia — w stojącego opodal najspokojniejszego w świecie człowieka, który ledwie że zdążył odprawić swe wesele. Dopiero drugim strzałem położył kaboklo na ziemię podchmielonego awanturnika.

Zrobił się ruch, rwetes, rozległy się lamenty kobiet i pogróżki pod adresem kabokla, który pomimo to odjechał spokojnie, niezatrzymywany przez nikogo. Gdy później organy brazylijskiej sprawiedliwości rozpoczęły swą działalność, kaboklo przeniósł się na drugą stronę rzeki, nad którą zamieszkiwał, stanowiła ona bowiem granicę jurysdykcji municypalnej — i w ten sposób stał się nietykalnym.

Nieszczęśliwa ofiara zajścia spoczęła na cmentarzyku wiejskim, i długo po nocach rozlegało się rozpaczliwe szlochanie nieszczęśliwej wdowy.

Takim pogrzebowym akordem zakończył się mój pobyt nad rzeką Rio Negro; odtąd bowiem wpadałem jeno na chwilę do Antonio Olyntho, ażeby dołączyć do zgromadzonych zbiorów nowe, świeżo zdobyte okazy.

VII.

Vera Guarany.

Zbierałem się oddawna odwiedzić stare popielisko. Planowaliśmy ze znajomym p. B., który podczas mej bytności nad Iguassu również przebywał na Vera Guarany, urządzić wspólną wycieczkę w tamte strony. Na przeszkodzie jednak stały krwawe zamieszki, wynikłe niedaleko od mej byłej siedziby nad Iguassu. Już za pobytu mego w r. 1911 obrał tam sobie rezydencję głośny w Paranie coronel[1]) Fabricio, postać nader oryginalna. Ów były pułkownik wojsk brazylijskich był człowiekiem tak wpływowym, iż od woli jego zależało wybranie na przedstawicieli do ciał prawodawczych, lokalnych lub związkowych, tego lub innego kandydata. Wpływy swoje zawdzięczał głównie zorganizowanej przez siebie bandzie kapangów[2]) Było to zbiorowisko najgorszych, najniespokojniejszych ży-

[1]) pułkownik.

[2]) kapangowie — najemni zbirowie

wiołów, z których normalnie rekrutują się bandyci; trzymane jednak żelazną ręką coronela, który za najmniejsze wykroczenie kazał przywiązywać do drzewa i bić bez miłosierdzia, prawie na śmierć, zmieniło się w rodzaj regularnego wojskowego oddziału. Nie nosili wprawdzie uniformu, mieli przecie pewne oznaki, po których wtajemniczeni nieomylnie poznawali Fabriciowych ludzi.

Ponieważ lokalne władze brazylijskie odznaczają się słabością, graniczącą z niedołęstwem, mieszkańcy zwracali się częstokroć do popularnego pułkownika, by jakąś sprawę rozsądził i wyrok egzekwował. Zdarzyło się podczas mego pobytu, że liczni współwłaściciele terenów, położonych po drugiej stronie rzeki Santa Anna, w tak zwanym Chapeo do Sol, nie mogąc osiągnąć zgody co do podziału gruntów, zwrócili się do coronela. Ów propozycję przyjął i wydzielił każdemu stosownie do jego praw odpowiednią przestrzeń ziemi, atoli lwią część gruntów przywłaszczył sobie tytułem wynagrodzenia za poniesione trudy. Charakterystycznym jest fakt, że żaden z byłych właścicieli nie próbował nawet protestować. Jeśli pułkownikowi podobała się jaka dziewczyna, to tem samem zdana już była na jego łaskę i niełaskę, nikt bowiem z młodzieży nie śmiał się do niej zbliżyć w obawie przed strasznym rywalem.

— Tenho medo!") — mówił bez ogródki.

Miałem sposobność poznać osobiście tę oryginalną, charakterystyczną dla stosunków miejscowych postać. Był to człowiek inteligentny i nader zdolny, niestety fantasta i gwałtownik, a, co gorsza, rozzuchwalony władzą, świadom tego, że jest panem położenia.

Nie było wprawdzie wówczas stałych rabunków lub zabójstw, gdyż kapangowie w jego obecności pozwalali sobie jedynie na drobne wykroczenia, jak wymuszanie zmiany fałszywych pieniędzy w niewielkich sumkach i inne tego rodzaju malwersacje; atoli niekiedy podczas nieobecności przewódcy popuszczali sobie wodzy i wtedy następował okres rabunków, napadów i morderstw. Taki właśnie okres hulania kapangów przypadł podczas mego pobytu na Antonio Olyntho: cały oddział emigrantów włoskich został wymordowany. Nic więc przeto dziwnego, że mój znajomy, który miał kiedyś zatarg z jednym z kapangów o fałszywą asygnatę, nie miał najmniejszej ochoty leźć wilkowi w paszczę i kłaść zdrową głowę pod ewangelję.

Wypadło mi tedy jechać samemu. W południowej godzinie pociąg zatrzymał się na stacji Paulo Frontin. Na maleńkiej, pozbawio-

") Wym. tenjo medu — boję się.

nej wszelkiego ruchu stacyjce trudno było zdobyć konie. Przygotowywałem się więc do pieszej wędrówki po prostej jak strzała „karosowej" drodze, gdy ujrzałem wóz jednego z wendzistów z miasteczka Vera Guarany, czyli tak zwaną „karosę" (rodzaj dwukołowego wózka z specjalnemi urządzeniami hamulcowemi do zjeżdżania w dół po nader spadzistych i stromych wzgórzach parańskich). Dzięki temu spotkaniu udało mi się bez trudu i fatygi dostać się jeszcze za dnia do miasteczka. Miasteczko zmieniło się niewiele: zniknęły „budki", czyli maleńkie naprędce sklecone domki, w których po przyjeździe przebywali emigranci, każda rodzina osobno, unikając w ten sposób tłoczenia się w wysoce niehigjenicznych, gdyż dość niechlujnie utrzymywanych barakach, zwanych szumnie „gospodami dla emigrantów". Wykończono wreszcie budowę kościółka i usunięto sterczące tak długo rusztowanie, jednakowoż miasteczko nietylko nie rozszerzyło się; lecz raczej przeciwnie — podupadło i uległo wyludnieniu. Rzecz naturalna: wraz ze zwinięciem czynności kolonizacyjnych wynieśli się urzędnicy, tworzący tu dawniej elitę towarzystwa i wnoszący ożywienie w ospałe środowisko mieszkańców zapadłego kąta Brazylji.

Ja w szczególności odczułem brak dwóch ludzi, dobrych mych znajomych, a wielce po-

pularnych w Paranie postaci — Edmunda Saporskiego i dr. Stanisława Kłobukowskiego.

Pan Edmund Saporski, dyrektor kolonji, zapisał się chlubnie w dziejach osadnictwa polskiego w Paranie, zyskując sobie przydomek „ojca kolonizacji polskiej". Rodem ze Śląska Górnego od niepamiętnych czasów przebywał w Paranie, pozostając wciąż na rządowej służbie brazylijskiej. Ojcowskiem obejściem się z kolonistami, niezwykłą wyrozumiałością i życzliwem traktowaniem ich życzeń, skarg i utyskiwań zjednał sobie miłość osadników; nieposzlakowaną zaś uczciwością i prawością charakteru — niezwykły szacunek i poważanie wśród Brazyljan. Nie lubił tylko pełnych pretensji imigrantów-inteligentów, zjeżdżających z wielką pompą do Parany i dobijających się o naczelne w polonji stanowiska.

— Z wyjątkiem chłopa — mawiał do mnie — nikt tu nie przysporzył sławy imieniu polskiemu, a najgorsi są komiwojażerowie polskości, przybywający tu nie wiedzieć poco i dlaczego i wnoszący tylko swary i zawiści.

Ożeniony z Brazyljanką p. Edmund Saporski dzieci swe na Brazyljanów wychował, nie zapomniał jednak porzuconej dawno, we wczesnej młodości, ziemi rodzinnej. Odym wyjeżdżał w roku 1911 do Europy ze stacji

Marechal Mallet, rozmawialiśmy z nim długo o kraju, którego ujrzeć nie było mu już sądzono.

— Ucałuj pan tę ziemię, tę naszą kochaną polską ziemię! — prosił na pożegnanie staruszek.

Drugą wybitną i wielce oryginalną postacią był dr. Stanisław Kłobukowski. Wychowany we Francji, władający nieomal wszystkiemi europejskiemi językami, p. Kłobukowski za mojej bytności zajmował skromne stanowisko tłumacza w urzędzie kolonizacyjnym. Był entuzjastycznym miłośnikiem „herva mathe" i ciągle nosił się z próbkami tego ziela, przyrządzonego według rozmaitych, jemu tylko znanych sposobów, które wysyłał „na próbę" do Europy. Marzeniem jego było zastąpienie kawy i herbaty chińskiej przez ziele parańskie. Dla charakterystyki przytoczę urywek jego artykułu, drukowanego w wychodzącem niegdyś w stanie Rio Grande do Sul piśmie „Kolonista":

„Nauka stwierdziła, iż „mathe" sprawia lekkie podniecenie umysłu i systemu nerwowego, wzmaga ruchy serca i narządów oddechowych i powiększa siłę muskułów, przytem gasi pragnienie, jak nic na świecie, jest diuretyczna w najwyższym stopniu (i wogóle oczyszcza krew); zaraz po użyciu zezwala na sen, nie wywołuje reakcji osłabienia, jak trunki gorące, kawa i herbata, równocześnie ułatwia

trawienie i wzmacnia apetyt. Poco się bowiem pije trunki gorące? Nietylko zaprawdę dla ich smaku i zapachu, bo bywają bezwonne i niesmaczne. Widocznie więc dla innego powodu robotnik łyka alkohol, a mianowicie — aby nabrał sił i rozmachu do pracy, poeta i literat, artysta i uczony — do rozmachu w tworzeniu i pisaniu, żołnierz, podróżnik i sportowiec — do rozmachu w pochodzie i t. d."

„Otóż „mathe" daje rozpęd daleko większy od alkoholu bez żadnych złych skutków, usuwa niezwłocznie fizyczne i moralne osłabienie t. j. niechęć do pracy i rozpacz, a wlewa światłość do mózgu i optymizm do serca. Powinna bezwarunkowo zastąpić wódkę".

I temu również nie było sądzonem ujrzeć wolnej ojczyzny: zmarł wkrótce po wybuchu wojny...

Nocleg, wprawdzie niezbyt ciepły i wygodny, znalazłem zwyczajem miejscowym na wendzie gościnnego p. P., który, aczkolwiek niedawno przybył z Polski, dorobił się już w handlu porządnego grosza. Stąd rano, pokrzepiwszy grzeszne ciało „chimaronem" i miejscowemi zakąskami, powędrowałem ku rzece Iguassu.

Droga, prowadząca z miasteczka ku rzece, była mi doskonale znana. Ileż to razy w r. 1910-11 przebywałem ją w celu załatwie-

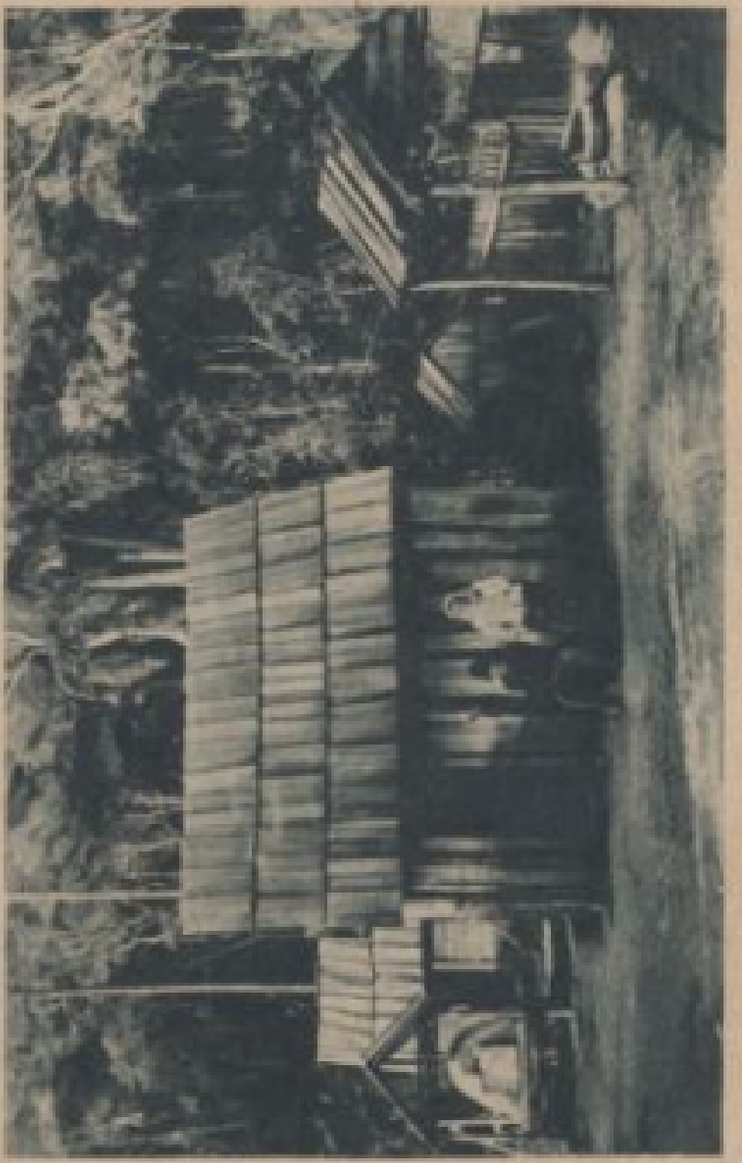

Zagroda kolonisty.

Parana

BIBLIOTEKA NARODOWA

nią przeróżnych, ważniejszych i mniej ważnych interesów, po odbiór listów z poczty itp. Wyznaję jednak, że, odgrodzony od całego świata w swym domku nad Iguassu, bardzo byłem nieszczęśliwy, gdy konieczność zmuszała mnie do tej wędrówki, była to zawsze dla mnie nader przykra chwila, którą starałem się możliwie najdalej usunąć. Natomiast powrót, zbliżanie się do własnego kąta tak było mile, że wynagradzało całe utrapienie, spowodowane wędrówką do miasta. Okazuje się, że w puszczy człowiek dziczeje bardzo szybko i z każdą chwilą coraz wyraźniej zatraca zdolność interesowania się tem wszystkiem, co istnieje poza jej obrębem. Natomiast z nią zżywa się coraz silniej, odczuwa coraz mocniej jej nastroje, przekształca się, rzekłbyś, w cząstkę składową puszczy.

Na znajomych drogach spotykam znajome twarze, pytam, jak się powodzi — i w odpowiedzi słyszę skargi i narzekania. Istotnie, położenie osadnika w pierwszych latach pobytu na kolonji nie należy do łatwych, ani przyjemnych. Spotyka się ze zjawiskami, których nie widział poprzednio i nie wie, jak ma sobie radzić, ani dokąd zwrócić się o pomoc. Dawniej w ojczyźnie kierował się doświadczeniem życiowem, własnem lub tradycyjnie przekazywanem, a po przyjeździe tutaj przekonał się, że ono mu na nic, czuje się więc

bezradnym. Klęski życiowe, jak np. szarańcza, masowe najścia szczurów i t. p. trapią go często. Kaboklo na takie rzeczy spogląda dość obojętnie: gospodarkę swą opiera na hodowli bydła i koni, które puszczone samopas na wielkiej przestrzeni zawsze znajdują sobie pożywienie; zniszczenie zasiewów przyprawia go oczywiście o znaczne straty, nie wyprowadza jednak z gospodarczej równowagi. Inaczej jest z osadnikiem europejskim, który wszystkie swe nadzieje pokłada na pomyślnym sprzęcie plonów: ten w razie klęski zostaje zupełnie zrujnowany. To też dopóki nie przystosuje się do warunków miejscowych, czuje się chwiejnie i nieswojo na własnych gruntach.

Atoli niezawsze tak bywa. Pamiętam jednego osadnika nad samą rzeką Ivahy: z jakąż lubością pokazywał mi swoje bogactwa — cedry, wysmukłe palmy, ryż na polanie, uprawionej z nadludzkim mozołem, posadzone przy domku banany i ananasy! Ten człowiek nie rozumował, nie dopytywał się — ani jaką wartość przedstawia jego ziemia, ani też jakie mu będzie dawać korzyści — dopiął swego: stał się posiadaczem kawałka ziemi, do czego w kraju rodzinnym całe życie dążył nadaremnie.

Pomyślałem wówczas, że ta wielka żądza, ten głód ziemi, jaki cechuje naszego chłopa, jest najpotężniejszym czynnikiem, wabiącym wychodźców polskich na obczyznę, i emigracja chłopska trwać będzie dopóty, dopóki ojczyzna nie będzie mogła nakarmić chłopa własną swą ziemią.

Spotkałem kilkakrotnie osiadłych na ziemi inteligentów polskich. Ulegli oni widocznie przyrodzonemu pociągowi do pracy na roli, jako najbardziej zbliżonej do ideału pracy twórczej. Niestety rezultaty nie były pomyślne. Wspominałem już o Wierzbickim, który trzymał się ziemi właściwie przez wrodzony Łotyszom upór, zarobek jednak czerpał skądinąd; na Ivahy zaś widziałem całą rodzinę inteligentów polskich, pracującą na ziemi, jak zwykli koloniści, którzy atoli roczne zasiewy mieli coraz mniejsze, a z inwentarza coraz coś im ubywało.

W stanie Minasgeraes osiedliła się również inteligentna rodzina polska, której głowę poznałem w Rio de Janeiro: człowiek wybitnie inteligentny, nader energiczny i zaradny.

— Udaję w Brazylji chłopa polskiego — mówił mi o sobie — niema tak ciężkiej pracy, którejbym się uląkł.

Niestety! tylko „udaję". Później doszły mnie głuche wieści o tragicznem zakończeniu tej sielanki.

I ja osobiście w r. 1910, 1911 zdobyłem doświadczenie w tym kierunku i sądzę obecnie, że przedsięwzięcie tego rodzaju skazane jest nieodwołalnie na niepowodzenie. Nie ma-

jąc odpowiedniej wprawy i sił, inteligent zużywa podwójną ilość czasu, a nawet i więcej, na wykonanie każdej pracy i rezultaty osiąga bez porównania gorsze. Z drugiej zaś strony, będąc krytycznie usposobionym do samej istoty pracy na ziemi, w pewnej chwili dochodzi do przekonania, że brak jej istotnego celu, że za cel nie może być uważane samo podtrzymywanie egzystencji. Następuje wówczas zniechęcenie ze wszystkiemi konsekwencjami.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy począłem zbliżać się do Iguassu. Zbyt wiele czasu zajęły mi pogawędki ze spotkanymi starymi znajomymi, zmęczenie również dawało się we znaki, lecz nieodzowne „mathe" wywarło skutek pożądany: po wypiciu trzech „kuj" u znajomego kolonisty poczułem się raźniej.

W dali, gdzieś, w głębi ciemnych borów rozlegał się dobrze mi znany głos: płaczliwe zawodzenie mrówkojada. W okolicach tamtejszych zwierzątko to (*Tamandua tetradactyla*) jest dość pospolite, żywi się bowiem mrówkami, których na Vera Cuarany jest nieprzebrana obfitość; najłatwiej go spotkać o zmroku na skrajach wielkich lasów. Drugiego gatunku mrówkojada, zwanego przez Brazylijan tamandua bandeira (*Myrmecophaga tridactyla*) nie zdarzyło mi się spotkać żywego, widziałem tylko zabitego przez kabokli. Gatunek ów

żywi się przeważnie termitami, których brak w okolicy jest powodem nieobecności ich prześladowcy. Ów drugi gatunek jest to wielki mrówkojad o ogonie podobnym do końskiego, prowadzi w przeciwieństwie do poprzedniego życie dzienne, przebywając zazwyczaj w miejscach otwartych, usianych kępami niewielkich lasów, w pobliżu budowli termitów. Budowle takie widziałem, wędrując ku rzece Ivahy; jest ich tam takie mnóstwo, iż cała miejscowość nosi nazwę Cupim[1]) jaką Brazylijanie nadają termitom. Nie są one bynajmniej mniejsze od afrykańskich, od których różnią się tylko brakiem wyniosłych wieżyczkowatych szczytów, budowane są bardzo trwale, przeważnie z gliny.

Naogół Brazylijanie znają doskonale mrówkojada tamandua bandeira i opowiadają przeróżne historje o niezwykłej potędze jego łap i olbrzymich pazurów. Według słów kaboklów mrówkojad ów ma zwyczaj o zmierzchu wystawać pod drzewami, wspięty na tylne łapy, oparty grzbietem o pień — i biada niebacznym przechodniom, których zagarnie w straszliwy uścisk!

W dalszej drodze trafiłem na miejsce, gdzie w r. 1911 miałem przygodę z jaguarem. Drapieżnik, przywędrowawszy gdzieś z głębi kraju, obrał sobie legowisko w pobliżu mej

[1]) Wym. kupim.

chatki. Kilkakrotnie widywałem jego potężną sylwetkę, przemykającą o zmroku wśród gęstych zarośli. Ponieważ atoli nie miałem koni, ni bydła, nie było powodu do sprzeczki między nami, i trwało jakby milczące porozumienie. W innem jednak położeniu byli odlegli moi sąsiedzi kabokle. Widząc ustawiczne szkody wśród swego dobytku, postanowili zgładzić rabusia, zwrócili się tedy do mnie o pozwolenie na urządzenie polowania z psami na moich gruntach, na co wszakże zgodzić się nie mogłem, nie mając zbyt wielkiego zaufania zarówno do celności ich strzałów, jak i do odwagi psów i ludzi. Obawiałem się, jak sądzę — słusznie, że podrażnione zwierzę wywrze na mnie swą zemstę.

Pewnego wieczoru wracałem z wycieczki bardzo późno. Noc była ciemna bezksiężycowa. W gęstwinie leśnej panował mrok nieprzeniknony, posuwałem się ścieżyną poomacku. W pewnej chwili towarzyszący mi pies zawarczał głucho i skulony począł cisnąć mi się do nóg, jakby szukając opieki. Zrozumiałem, że w pobliżu znajduje się jakiś wielki drapieżnik: jaguar lub puma. Nie było sposobu uniknąć spotkania, ciemność bowiem dezorjentowała mię zupełnie. Wziąłem psa na ręce i, posuwając się powoli, niosłem drżące stworzenie przez niebezpieczne miejsce. Coś jakby poruszyło się tuż obok: gałęzie wiel-

kiego krzewu uderzyły mię po głowie. Może to puhacza lub sowę wystraszyło moje nadejście?... Nazajutrz raniutko, zaintrygowany przygodą, pobiegłem na to samo miejsce. Świeżutkie odciski olbrzymich łap jaguara i resztki spożytego capivary tuż obok moich śladów świadczyły niezbicie, że ucztował tu mój sąsiad. Widocznie, zajęty wieczerzą, nie zwrócił na mnie uwagi. Mogłem go jednak w ciemności potrącić, a wtedy zapewne nie byłby tak wyrozumiały.

Jaguar (*Felis onca*) jest najsilniejszym drapieżnikiem Brazylji i wzbudza postrach ogólny. Spotyka się go prawie na całej przestrzeni Ameryki Południowej: brak go jedynie w Kordylljerach i w Chili. Co do wielkości i siły nie ustępuje prawie tygrysowi bengalskiemu, dosięga wysokości 80—85 cm. i dwóch metrów długości. Najpospolitsza jest odmiana ruda, właściwie żółto-podpalana, usiana na całem ciele czarnemi kółkami, posiadającemi wewnątrz mniejsze kółeczka i plamki; koniec ogona i obwódka dokoła paszczy czarne. Nierzadką jest jednak i odmianą ciemna o barwie czarniawej, na której kółka i plamy są już niewidoczne. Brazyljanie zwą tę odmianę tigre-preto i utrzymują, że przy spotkaniu rzuca się bez namysłu na człowieka. Jaguary przebywają zazwyczaj w wielkich lasach, lubią jednakże urządzać dalsze wędrówki nawet

w miejsca otwarte, lub słabo zalesione i wyrządzają wtedy wielkie szkody mieszkańcom, napadając zwłaszcza na konie i bydło, nie mówiąc już oczywiście o mniejszych zwierzętach domowych. Dzień cały jaguar przesypia gdzieś w głębi lasów, w ustronnem miejscu wśród kolczastych krzewów, o zmierzchu zaś wychodzi na łowy; jeśli zdobycz nocna nie była obfita, próbuje szczęścia jeszcze o świcie. Ody upoluje duże zwierzę, nasyca się krwią i najsmaczniejszemi kąskami, a pozostałość chowa w zarośla i spożywa ją nazajutrz.

W świecie zwierzęcym Parany jaguar nie ma rywali, aczkolwiek kabokle utrzymują, że wielki mrówkojad tamandua bandeira nie cofa się przed walką z tym królem puszcz brazylijskich. Zdarza mu się atoli ulegać przewadze liczebnej i faktem jest, że przed potężnem stadem dzików brazylijskich jaguar zmiata pośpiesznie na drzewo. Znane są wypadki, iż stado dzików (porco do matto — *Dicotyles labiatus*), z którego niebacznie porwał jedną sztukę, rzuca się na złoczyńcę — i po zaciętej walce, podczas której jaguar miażdży swemi potężnemi łapami czaszki dzików, jak bańki mydlane, i zdąży położyć niekiedy kilkanaście głów, ulega jednak przemocy i ginie poszarpany na strzępy przez rozjuszone stado. Niezrównany pływak — lubi przebywać w pobliżu wielkich rzek, gdyż ułatwia mu to możność ujścia pogoni. Z tej przyczyny miewa ustawiczne zatargi ze stałym mieszkańcem wybrzeży rzecznych — kapiwary (*Hydrochoerus capybara*), którego doskonałem mięsem nie gardzi i człowiek.

Widziałem kilkakrotnie polowanie na kapiwary. Ów największy z żyjących obecnie gryzoniów jest niezmiernie ostrożny i nawet śmiertelnie ranny uchodzi pod wodę, wystawiając tylko w bardzo odległych odstępach czasu koniuszczek swego nosa ponad powierzchnię. Myśliwy puszcza wtedy łódkę z biegiem rzeki i śledzi ukazujące się na wodzie bańki powietrza. Po pewnym czasie siły opuszczają zwierzątko, wynurza się wtedy z wody, a wówczas nastaje moment odpowiedni aby je dobić i wydostać.

Dotarłem wreszcie do Iguassu. W braku lepszego noclegu i chcąc odświeżyć dawne wspomnienia, spędziłem noc ze znajomymi kabokami u ogniska. Stosy z płonącem wiecznie niby znicz święty ogniskiem grają ogromną rolę w życiu mieszkańców puszczy.

Ognisko w Paranie służy nietylko do gotowania strawy. W porze zimowej, przypadającej podczas polskiego lata, noce są naogół zimne, zdarzają się nawet tęgie przymrozki. Dla mieszkańca puszczy, którego chata jest tak sklecona, iż do wnętrza dostać się można ręką przez wszystkie ściany, posiadającego

nadto jako pościel i ciepłe odzienie jedynie palę (rodzaj poncho) — dobrze podsycane ognisko jest jedynym środkiem, zapewniającym przepędzenie nocy względnie ciepło i wygodnie. Podczas takiej nocy kabokle układają się wiankiem dokoła ogniska: gdy część ciała, wystawiona na działanie zimna, zaczyna coraz silniej protestować, śpiący, nie budząc się, zwraca ją w kierunku ognia; od czasu do czasu któryś ze śpiących, ocknąwszy się na chwilę dorzuca do ogniska przygotowanę zawczasu paliwo, poczem z lubością wyciąga się na poprzedniem miejscu. W puszczy podtrzymywanie ognia w nocy jest konieczne ze względu na bezpieczeństwo. Nietylko jaguar i puma, lecz również jadowite żmije oraz inne złośliwe stworzenia, jak skolopendry i t. d. — unikają płonącego ogniska. Wreszcie ogień bywa środkiem leczniczym dla duszy: gdy dokuczy ci w puszczy samotność, ciężko ci i tęskno — rozpalasz ognisko. Wesoły, trzaskający ogień posiada wielki urok: masz wrażenie, że jest obok ciebie coś żywego, coś przemawiającego żywym acz niezrozumiałym językiem. Duszące przed chwilą zmora rozwiewa się i rozpływa wraz z dymem ogniska.

Dla przybysza z Europy rozpalanie i podtrzymywanie ogniska nie jest rzeczą łatwą. Pewnego razu, wychodząc do pracy, pozostawiłem gościa świeżo przybyłego z Europy

z poleceniem, by rozpalił ognisko i zgotował fiżon; drewek, gałązek suchych było poddostatkiem. Gdym wrócił, ujrzałem, jak gość mój, klęcząc przy ognisku, z zaparciem i poświęceniem dmucha w zarzewie, które za nic rozpalić się nie chce ku wielkiemu zgorszeniu obserwującego bezowocne te zabiegi kota. Nawiasowo mówiąc, podtrzymywanie ognia, względnie zgotowanie fiżonu, wymagające długiego czasu, było największem utrapieniem mego pustelniczego żywota. Wychodząc do pracy, wiewałem bardzo dużo wody do garnka z fiżonem, na ognisko kładłem wielkie kłody, by ogień nie ustał, i wychodziłem, pozostawiając gospodarstwo na opiece kota. Nieraz powróciwszy, znajdowałem garnek, nie wiedzieć z jakiego powodu, wywrócony, a kota spoglądającego z rezygnacją na katastrofę.

Przy takiem oto ognisku spędziłem i teraz noc nad Iguassu. Gdy deszcz nie zagrażał i z dalekiej skostniałej Patagonji nie ciągnął mrożący wicher, takie spędzenie nocy bywało dla mnie najmilsze. Wpatrujesz się w gwiazdy, słuchasz głosów puszczy, a myśl szybuje lekko i zgoła beztrosklwie. — Jak daleko jednak — myślałem sobie — odbiegłem od mieszczańskiego ideału życia: wesoła żonka, smaczny obiadek, po nim drzemka, wizytka i teatr lub partyjka w klubie z nieodzowną kolejką trunków. Tak żyje spokojny, poczciwy prze-

ciętny obywatel. A życie płynie mu tak równo i wygodnie. Co wieczór i co rano obywatel taki powinien składać dziękczynne modły, iż nie pokarano go tym duchem niepokoju, tą siłą fatalną, która pędzi człowieka w odległe puszcze i robi zeń półdzikiego kabokla!

— Apage satanas! — zakrzyknąłby z pewnością obywatel, gdyby mu taki los proponowano.

Ciemne głębiny leśne rozbrzmiewały złowieszczemi głosami: pełnemi jęków potępieńczych okrzykami puhacza, krótkiem, urywanem porykiwaniem pumy i grzmiącem, przeciągłem wyciem wilka guara. Od czasu do czasu rozlegało się na tem tle tęskne i melancholijne — „oo hau, hauu, — oo hau hauuu — głos drapieżnika leśnego *Herpetotheres cachinnans*.

Ten ostatni jest ptakiem nocnym, aczkolwiek pojawia się niekiedy i we dnie; ujrzawszy człowieka, kiwa swą dużą głową i wydaje powitalne okrzyki: „ha-ha". Jest to stworzenie użyteczne — jak bowiem stwierdzono na zasadzie badań zawartości żołądka, — tępi żmije i skolopendry, co również świadczy o nocnym trybie jego życia, gdyż skolopendry ukazują się tylko nocą, we dnie zaś siedzą ukryte pod korą drzew. O ptaku tym istnieje legenda, że głos jego zwiastuje śmierć. Atoli w puszczy, gdy w ciszy nocnej odbywają się

łowy drapieżników, śmierć jest zjawiskiem zbyt częstem i powszechnem, by można było przepowiadać poszczególne jej wypadki — grasuje tam zawsze.

Drugi zwykły głos w nocnym chórze — to głos znanego dobrze w Paranie drapieżnika, zwanego guara, lub lobo do matto (*Canis jubatus*). Podobny do wilka europejskiego, jeno na wyższych nogach, ma na karku obfity, czarny u końców włos, tworzący rodzaj grzywy. Żywi się nietylko upolowaną zdobyczą, składającą się przeważnie z drobnych ssaków, lecz również bananami, trzciną cukrową i owocami dzikiego ziemniaka, zwanego wskutek tego „herva do lobo". Z powodu nocnego trybu życia zwyczaje tego zwierza mało są znane, szkód żadnych w dobytku osadników nie czyni.

Głosy zwierząt wraz z szumem borów tworzą pieśń wieczorną, którą matka puszcza kołysze do snu strudzonego wędrowca. Przy pieśni tej zatraca się szybko świadomość, co jest jawą, a co sennem marzeniem....

Nagle porwaliśmy się ze snu: szedł ku nam jakiś hałas dziwny, niepodobny do zwykłych głosów puszczy. Potwór jakiś sapie, huczy, turkocze. Spojrzeliśmy ku rzece: z zakrętu jęły wysuwać się liczne ognie. To statek parowy — w drodze do Porto União do Victoria. Nagłe zjawienie się statku w dzikiej puszczy sprawia szczególne i przykre wraże-

nie. Oto wdzierająca się wszędzie cywilizacja prze naprzód, przenikając coraz głębiej w niedostępne dotychczas knieje, by odgłosem swej wrzawy, wieczystej pogoni człowieka za groszem, zamącić pokój mieszkańców puszczy. Przejdzie szmat czasu, i na miejscu naszego obozowiska rozlegać się będzie świst maszyny parowej, ponad wierzchołki pinjorów wystrzelą kominy fabryczne i cały ów dziki zakątek obejmie w posiadanie cywilizacja, sprowadzająca człowieka do roli drobnego kółeczka w machinie, produkującej pieniądze.

Tymczasem atoli dało się nam tylko odczuć przenikliwe zimno, zwiastujące nadejście poranku, i rozpoczął się ruch przy ognisku: woda bulgotała już w „banjaku" i wkrótce krążyć poczęła „kuja". „Mathe" jak twierdzi Kłobukowski, wlewa krzepkość w mięśnie, a światłość do mózgu i optymizm do serca. Pokrzepiwszy się tedy, ruszyliśmy wraz z przygodnym towarzyszem w kierunku Rio Claro, nim jeszcze zabłysło światło słoneczne.

Teraz również rozbrzmiewały nad Iguassu chóry głosów, lecz inne i inaczej brzmiące. Prym trzymał donośny, melodyjny i dźwięczny głos kuropatwy-kusaka *(Rhynchotus rufescens)*, których mnóstwo przebywa na rozległych błoniach po drugiej stronie rzeki. Stadko czarnych ibisów *(Harpiprion cayennensis)* przeleciało z jednego drzewa na drugie i obsiadło zwie-

szające się nad wodą konary. Wspaniale rozlegał się nad wodami przeciągły ich głos, zda się pełen tłumionego łkania. Z głębi lasów wtórował im przepiękny głos gołąbka pomba legitima *(Columba plumbea)*. Stado kormoranów *(Carbo vigua)* rozpoczęło już ranny połów ryb.

Przy blasku słonecznym rzeka Iguassu czarowny przedstawiała widok. Rozległy horyzont, olbrzymie trawiaste błonia z rozsianemi tu i owdzie w doskonałej harmonji z otoczeniem bukietami majestatycznych palm. — dalej ciemne dziewicze bory, ciągnące się aż hen w siniejącą dal. Przezroczysta jak kryształ górski woda odbija tak dokładnie zwieszającą się ku niej bujną roślinność nadbrzeżną, iż nie widać granicy między wodą i ziemią. Iskrząc się w promieniach słonecznych, mkną fala za falą w głąb lądu do tajemniczego ujścia, o którego bajecznej piękności opowiadają dziwy nieliczni bywalcy, a które krążąca wśród mieszkańców legenda obrała za miejsce rajskiego pobytu prarodziców naszych — Adama i Ewy.

Gdy słońce wzniosło się nieco, zdążyliśmy odsadzić się daleko od Vera Guarany, podążając po drodze ku Rio Claro na śniadanie (almoço) do znajomego kabokla. Po wyjściu z lasów weszliśmy na rozległą przestrzeń stepową, usianą niewielkiemi grupami drzew

i krzewów. Gdy wynurzyliśmy się z jednej takiej grupy, ujrzeliśmy w niewielkiej odległości przed sobą ogólnie znane w Paranie zwierzątko tatu, które wyszło właśnie z ziemnego legowiska na codzienne łowy na mrówki. Tatu daje doskonałą pieczeń, to też puściliśmy się całym pędem, by zwierzątko dogonić i nie dać mu schronić się do nory, atoli i pancernik, który widocznie nie po raz pierwszy miał taki wypadek, wiedział, co się święci, w pewnym przeto momencie zniknął nam literalnie z oczu, jakby zapadł się w ziemię. Zrzedły nam miny, pospuszczały się nosy, gdy ujrzeliśmy, że sprytne zwierzątko nie jedną, lecz kilka posiada norek, widocznie przygotowanych na wszelki wypadek.

Tatu *(Dasypus sexcinctus)*, dość pospolity w miejscowościach stepowych, posiada gruby pancerz rogowy, żywi się przeważnie mrówkami i termitami i zazwyczaj w pobliżu budowli tych ostatnich wykopuje swe nory.

W Paranie istnieje jeszcze drugi rodzaj pancernika, zwanego tatu verdadeiro *(Tatus novemcinctus)*, znacznie większy, gdyż dochodzi wraz z długim ogonem do półtora metra długości. Gatunek ów posiada półmiękki pancerz ze skostniałej skóry, spód zaś ma zupełnie nieopancerzony. Przebywa w lasach, żywiąc się przeważnie larwami chrząszczy; mieszka, jak i poprzedni, w wykopanych w zie-

Miasteczko w Paranie.

Parana

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

mi norach. Mięso jego jest jeszcze smaczniejsze, to też kabokle polują nań zawzięcie; jednakże tylko pomoc psów umożliwia zdobycie zwierzyny, ucieka bowiem nader szybko i przy wyciąganiu z nory opiera się z niezwykłą siłą.

Obecności trzeciego rodzaju, pancernika-olbrzyma (*Priodontes giganteus*), nie udało mi się stwierdzić. Słyszałem tylko o ostrożnościach, jakie należy zachować przy grzebaniu zmarłych, aby to zwierzę nie mogło wykopać świeżo pochowanego ciała.

Wśród „kampów" (suche przestrzenie stepowe), któreśmy przechodzili, napotkaliśmy w znacznej ilości ciekawy gatunek dzięcioła stepowego (*Soroplex campestris*), zabarwionego żółto z czarnemi paskami i plamkami. Karmiąc się larwami chrząszczy, przebywających na otwartych miejscach, ptaki te prowadzą żywot zupełnie niepodobny do innych dzięciołów. Gdy gromada żeruje, dłubiąc swemi silnemi dziobami ziemię, pozostawiony na straży osobnik baczy pilnie z wierzchołka pobliskiego drzewa, czy nic nie grozi towarzyszom. Gdy ujrzy, że zbliża się coś podejrzanego, niezwłocznie daje sygnał nietyle przyjemnym, ile donośnym głosem. Całe stado zrywa się wówczas i siada na drzewie, by rzecz należycie osądzić. Jeśli zdarzy się, że przez niebaczność strażnika myśliwy podejdzie zbyt blisko i strzał jego ugodzi w jednego z członków towarzy-

stwa, pozostali przenoszą się na dalsze drzewo i urządzają strzelcowi kocią muzykę, wymyślając, co się zmieści wrzaskliwemi głosami.

Ponieważ w zbiorach swych nie posiadałem tego gatunku, zastrzeliłem przeto jednego dzięcioła. Jakby w odpowiedzi na huk strzału coś zakotłowało się w dali, ziemia zadudniła pod nogami biegnących zwierząt, które w szalonym pędzie zbliżały się do nas. Towarzysz mój, wiedząc co się święci, pośpiesznie wyszukiwał gałęzi, by móc w krytycznym momencie wdrapać się na drzewo. Tętent coraz bliższy, słychać sapanie i stłumiony ryk — wreszcie ukazują się rogi i wytrzeszczone jakby w osłupieniu oczy. To stado zdziczałego bydła stepowego. Właściciele kabokle, nie korzystający z mleka, całą opiekę nad swym inwentarzem ograniczają do chwytania pojedyńczych sztuk na lasso w celu uprowadzenia na rzeź. Odbywa się wtedy formalne polowanie. Cała gromada konnych kaboklów ugania się po stepie, starając się odłączyć i otoczyć upatrzoną sztukę, poczem następuje krótka już lecz prowadzona z przedziwną zręcznością walka: rzucone z konia lasso chwyta zwierzę i w mgnieniu oka obala na ziemię. Nic zatem dziwnego, że bydło, taką otaczane opieką, nie lubi widoku człowieka i pieszy wędrowiec przy spotkaniu ze stadem może być narażony na grubą nieprzyjemność. W okolicach Guarapu-

awy, gdzie rozległe stepy wcale drzew nie posiadają, przygoda taka jest bardziej niebezpieczna, niż spotkanie z jaguarem lub pumą. Setka rozjuszonych zwierząt rozdepcze wędrowca w mgnieniu oka, ani bowiem ukryć się, ani uciec nie można, a i broń w takich razach nie na wiele się przyda. My znaleźliśmy się w lepszych warunkach, gdyż drzewa stanowią doskonałą obronę, zresztą i bydło na tym stepie nie było jeszcze tak dzikie. Postawszy czas pewien i podreptawszy nogami, jakby dla pokazania, co nawykły czynić przy sprzyjających okolicznościach, stado rozeszło się powoli.

Posuwając się dalej, ujrzeliśmy duży staw, a na nim wielkie czarne kaczki — pato do matto (*Cairina moschata*). Ów gatunek kaczek, posiadający u samców duże mięsiste narośle w okolicach dzioba, jest prototypem hodowanych w Europie kaczek „amerykańskich", które przez hodowlę tak dalece odbiegły od pierwzoru, że nie przypominają już wcale brazylijskich swych przodków.

Na wzgórzu nad stawem widniała fazenda — domek kabokla, właściciela tej ziemi. Usłyszawszy w odpowiedzi na głośne klaskanie, jak każe miejscowy zwyczaj, sakramentalny okrzyk „entra",[1]) weszliśmy do wnętrza.

[1]) — wejdź —

Pierwszą od wejścia izbą u kaboklów jest pokój gościnny. Próżnobyś tu jednak szukał mebli lub upiększeń: nic, jeno stołki lub zydle u ściany, na których po zwykłych frazesach powitalnych — „bom dia como vae“[1]) — sadowią się goście i wyczekują „chimaronu“. Przyjęcie jest nadzwyczaj ceremonjalne, niczem etykieta dworska.

Tym razem jednak właściciel nie zdołał zachować równowagi, niezbędnej do wykonania wszelkich ceremonij. W domu stało się właśnie nieszczęście: syn właściciela, młodziutki chłopaczek, skonał ukąszony przez żmiję „jararaca“. Miałem ze sobą aparat fotograficzny i na usilne prośby strapionych rodziców — zrobiłem im na pamiątkę pośmiertne zdjęcie.

— E ultima consolação e ultima esperança[2]) — twierdzili stroskani.

Przyjmując gości u siebie w domu, kabokle są do tego stopnia ceremonjalni, iż ani gospodarz, ani żaden z gości nie pozwoli sobie na żaden zbędny ruch lub słowo. Inaczej zachowują się w puszczy: pamiętam, jak podczas wędrówki na Ivahy dawały mi się we znaki

[1]) Wym. bą dia, komo waj — dzień dobry, jak się masz.

[2]) Wym. E ültima konsolasą i ültima esperansa — ostatnia pociecha i ostatnia nadzieja.

spotkania z nimi. Każdy z napotkanych, bez względu na płeć lub wiek, zatrzymywał na drodze i nie puszczał dopóty, dopóki nie wypytał starannie i nie zebrał wszystkich potrzebnych mu informacyj. Była to pantoflowa poczta brazylijska, działająca tak sprawnie, że na dziesiątki mil wokoło wiedziano dokładnie, dokąd i w jakim celu wędruje „Sr. Thadeo“. Po skończonem przesłuchaniu rozstawaliśmy się, klepiąc się wzajemnie po plecach, jak każe zwyczaj brazylijski.

Spożywszy w domu gościnnego kabokla suto zaprawiony słoniną fiżon, wygotowany na suszonem mięsie, zwanem „charca“,[1]) a do tego mandjoki i ryżu obficie, i wypaliwszy kilka skręconych przy pomocy cienkiego listka kukurydzy „cygaretek“ — ruszyliśmy dalej.

Teraz wstąpiliśmy w lasy tak ciemne i gęste, że droga tu nigdy w zupełności nie wysycha i ślady większych zwierząt rysują się dziwnie wyraziście. Wprawne oko dostrzega odrazu charakterystyczny trójpalczasty ślad tapira, zwanego tu anta *(Tapirus terrestris)*, który w swych wieczornych wędrówkach wydeptuje prawdziwe ścieżki, ogromnie podobne do ścieżek indyjskich. Tapir posiada czwarty zewnętrzny palec szczątkowy, który zazwyczaj nie dotyka wcale ziemi. Unikając blis-

[1]) Wym. szarka.

kości siedzib człowieka, zwierz ten trzyma się dziewiczych lasów i jedynie o zmierzchu opuszcza swą kryjówkę. Próbowałem kilkakrotnie polować nań, ukrywając się zwyczajem miejscowym w pobliżu jego ścieżki. Udało mi się raz nawet doczekać w ten sposób tapira, ciemność jednak panowała taka, że, nawet słysząc sapanie przechodzącego zwierzęcia, nie mogłem dostrzec jego kształtów. Nie uważałem za właściwe strzelać w takich warunkach, gdyż przygoda ze zranionym lekko, a więc rozjątrzonym tapirem nie należy do przyjemnych, zwłaszcza w ciemności.

Gdy docieraliśmy do środka lasu, towarzysz mój pochwycił mię nagle za ramię.

— Pára, pára[1]) — zawołał przytłumionym głosem i jął pośpiesznie dobywać olbrzymi swój kordelas. Zamarliśmy w milczeniu: naraz z rozmaitych stron ozwały się chrząkania. Byliśmy w samym środku żerującego stada dzików. Położenie było nader groźne, zwłaszcza że w pobliżu nie było drzew, mogących stanowić schronienie, jeno olbrzymy gładkopienne oraz gęste, lecz niskie i wątłe zarośla. W takich warunkach rozpoczynać walkę byłoby szaleństwem, to też żadnemu z nas nie przyszło nawet na myśl użyć broni palnej. Przycupnęliśmy w milczeniu, by przeczekać burzę, ufając w tępy wzrok zwierząt i korzystny dla nas kierunek wiatru. Jakoż burza minęła szczęśliwie: żerujące stado posuwało się w odwrotnym kierunku, wcale nie przechodząc przez drogę. Chrząkania stopniowo cichły i mogliśmy wkrótce pośpieszyć naprzód.

[1]) Wym. pára — stój.

Za mojej poprzedniej bytności nad Iguassu niejedną przygodę miałem z dzikami, niejednokrotnie też posilałem się ich smaczną, tłustą i obfitą pieczenią. Sąsiedzi-kabokle stale urządzali polowania na dziki: zawiązawszy głowę chustką, boso, z pistoletem jedynie i kordelasem, otoczeni zgrają psów — puszczali się świeżemi śladami. Ja towarzyszyć im nie mogłem, gdyż zręczność i wprawa kabokłów w przebywaniu gąszczów leśnych jest tak wielka, że biegną narówni z psami, prawie nie dając się im wyprzedzić. Pogoń za stadem trwa dopóty, dopóki nie uda się odbić od stada jednej lub kilku sztuk. Wówczas sfora psów osacza zwierza, a myśliwy puszcza w ruch kordelas, lub daje ognia z pistoletu.

Na takich polowaniach jedynie niebezpiecznem jest dostać się przypadkiem w środek stada, szczególniej mając przy sobie psa, do którego dziki czują szczególną niechęć. Opowiadano mi zdarzenie, że uciekający przed stadem dzików pies naprowadził rozjuszone zwierzęta na myśliwego i w jego oczach został rozszarpany na strzępy; myśliwcowi ura-

towała życie nieruchoma jego postawa i słaby wzrok zwierząt.

Pewnego razu, polując z towarzyszem, usłyszeliśmy w puszczy straszny łoskot. Ziemia drżała, bór jęczał, rozlegał się trzask łamanych krzewów: pędziło ku nam olbrzymie stado dzików. Nie mając zbytniego zaufania do swych zdolności akrobatycznych, wcisnąłem się między kanciaste odnogi olbrzymiego pnia imbui i, przygotowawszy broń, obserwowałem zachowanie się towarzysza. Jemu widocznie taka kryjówka nie wydała się bezpieczną, gdyż wyprawiał nadzwyczajne skoki, aby dostać się na drzewo, aż wreszcie, w najkrytyczniejszym momencie, objąwszy rękami i nogami pień jakiegoś cieniutkiego drzewka, począł się drapać na nie, a drzewko pod jego ciężarem gięło się i groziło upadkiem. Nadzwyczajny komizm tej scenki wziął górę nawet nad strachem.

A tymczasem burza zbliżała się szybko; tuż przed nami zarośla ugięły się aż do ziemi i w odległości kilkunastu kroków całe morze czarnych grzbietów przemknęło w szalonym pędzie.

Znam oba żyjące w Paranie gatunki: mniejszy, srebrzysty, zwany tatetu (*Dicotyles torquatus*), który nie łączy się w wielkie stada i trafia się dosyć rzadko, i drugi zwany porco do matto (*Dicotyles labiatus.*) Ten ostatni żeruje w dzień, łącząc się w stada, złożone nieraz z setek głów, żywi się głównie korzonkami. Gatunek ów, znacznie większy od poprzedniego, dochodzi do 45 ctm. wysokości, posiada słuch i węch znakomity, natomiast wzrok dosyć tępy. Doskonałe jego mięso stanowi przynętę dla myśliwych.

Przechodziliśmy teraz przez wyniosłe szczyty bezimiennej góry, zdyszani, zasapani drapaniem się po spadzistych stokach. Uważaliśmy tedy za właściwe spocząć nieco na wierzchołku, gdzie bujna, soczysta trawa usłała nam kobierzec. Skierowawszy stąd wzrok ku górze, ujrzeliśmy ogromne stado brazylijskich drapieżników (*Nauclerus furcatus*), biało i czarno zabarwionych, z długim, widełkowatym jak u jaskółek ogonkiem, zataczające w przestworach olbrzymie kręgi. Na ogromnej wysokości wydawały się one malutkiemi ptaszkami. Czy znajdowały tam zdobycz, czy też wypatrywały jej na ziemi, jak to czynią sępy?

Wkrótce po przebyciu gór towarzysz pożegnał mię i pozostałem sam nad brzegiem, by czekać na przewóz do położonego po drugiej stronie rzeki Rio Claro miasteczka tejże nazwy.

Miasteczko Rio Claro, malutkie i schludnie zbudowane, posiada pocztę, szkółkę i kościółek, z wyglądu zewnętrznego przypomina-

jący nieco świątynię częstochowską. W miasteczku panuje stale martwota i cisza, tylko w niedzielę widać pewne ożywienie, słychać śmiech i głośną mowę polską: to osadnicy polscy przybyli na nabożeństwo. Po skończonej sumie i obfitych libacjach po wendach — ucisza się znowu wszystko i zapada w zwykły stan senny.

Budową własnych kościółków osadnicy polscy stworzyli w Paranie trwałą po sobie pamiątkę, gdyż styl świątyń brazylijskich jest zupełnie inny. Dosyć spojrzeć na fotografję kościółka polskiego w Rio Claro i porównać ją z kościołem brazylijskim w Iraty, aby zrozumieć, jak dalece odmienną jest architektura tych świątyń. Nie rozumiem tylko, dlaczego parańskie cerkiewki ruskie budowane są niedbale i nie posiadają żadnego wyrazu.

Dążyłem do położonej opodal miasteczka szkółki polskiej, kierowanej przez znajomego mi p. K. Znać tu już było kulturę, znać pracę osadników polskich: na obiedzie figurowały również nieznane w puszczy parańskiej dania, jak mleko zsiadłe, kartofle, chleb i masło.

Stan szkolnictwa polskiego, jego podstawy i widoki na przyszłość interesowały mię bardzo. Powstało ono samorzutnie, czerpiąc środki ze składek, zbieranych wśród osadników przez miejscowe towarzystwa oświatowe, nadto pewnej zapomogi udzielał konsu-

lat austrjacki. Stosunek rodziców i dzieci do szkoły nie różni się bodaj od stosunków, panujących na wsi w Polsce; rodzice atoli zdają sobie sprawę z potrzeby oświaty dla dzieci. W miasteczku Marechal Mallet powstała nawet średnia szkółka polska (tymczasem tylko niższe klasy) dzięki poparciu wpływowej w Paranie jednostki. Szkoła ta mogłaby oddać wielką przysługę polskim mieszkańcom Parany, gdyby za główny swój cel uważała wykształcenie personelu nauczycielskiego, dotychczas bowiem personel ów składa się z przybyłych z Polski inteligentów, którzy wzięli się do nauczania jedynie poto, by uniknąć głodowej śmierci. Uczą zatem ci przygodni „profesorowie" zazwyczaj bez planu, bez odpowiednich podręczników, no — i bez wielkiego pożytku dla dzieci. Pierwszym warunkiem należytego rozwoju szkolnictwa polskiego w Paranie jest istnienie wyszkolonego i przystosowanego do warunków miejscowych nauczycielstwa polskiego, a takowe jedynie z żywiołów miejscowych rekrutowane być może.

Stosunek władz brazylijskich do szkolnictwa polskiego pozostawia wiele do życzenia: niema tu wprawdzie jaskrawych, krzyczących bezprawi, jakich dopuszczały się władze pruskie i rosyjskie, a jednak stan rzeczy daleki jest od prawdziwej tolerancji.

Niezrozumiałą postawę zajmuje pewna część duchowieństwa polskiego lub udającego polskość: idąc ręka w rękę z nieprzychylnym prądem, panującym wśród władz brazylijskich, zwalcza z zawziętością godną lepszej sprawy mizerne, ledwo wegetujące szkolnictwo ojczyste. Dla tych zbyt gorliwych osób żaden nauczyciel szkółki polskiej nie jest dość lojalny, dość religijny. Natomiast świetnie opłacane nauczycielstwo brazylijskie, odznaczające się gorzej niż obojętnością w sprawach religji, z konieczności pozostawiane jest w spokoju.

Obserwowałem pilnie uczącą się młodzież i dzieci polskie: w mowie i obejściu, w ubraniu i zewnętrznym wyglądzie dzieci parańskie różnią się już znacznie od dzieci w Polsce. Nieubłagane prawo asymilacji robi swoje, i wynarodowienie, zlewanie się z żywiołem miejscowym postępuje naprzód powoli wprawdzie, lecz niepowstrzymanie.

Żegnany przez nauczyciela i dziatwę szkolną podążyłem z Rio Claro dobrze ubitą i wygodną „karosową" drogą na stację Marechal Mallet. W końcu 1910 r. obozowałem dosyć długo w sąsiadujących ze stacją i miasteczkiem lasach miejscowości zwanej Santa Cruz. Znajduje się tam fazenda pewnego Brazylijanina, otoczona dokoła stawami, nad któremi niezliczona ilość wodnego i błotnego ptactwa obrała sobie siedzibę. Szczególną uwagę zwracał na siebie rodzaj kurki wodnej — *Jacana jacana*. Ptaki te posiadają ogromnie wydłużone palce, zaopatrzone w olbrzymiej długości pazury, i z tego powodu nietylko utrzymują się z łatwością na powierzchni najbardziej grząskiego błota, lecz z równą łatwością przebiegają po szerokich liściach roślin wodnych. Na widok człowieka, zamiast umykać, podsuwają się jeszcze, jakby zdradzając ochotę do bójki, to też Brazylijanie miejscowi nadali im nazwę passarinho bravo[1])

W locie ptaki te mają szczególne kształty: w powietrzu ptak wyciąga nogi z pazurami poziomo, czyniąc wrażenie, jakby wlókł ze sobą w ogonie jakąś długą słomkę.

Nocując w Santa Cruz w namiocie, miałem kilka niezbyt miłych przygód ze skolopendrą, której ukąszenie bywa bardzo niebezpieczne. Uwzięła się też na mnie jakaś olbrzymia ropucha i z niezwykłym uporem wlaziła mi na głowę, skąd odrzucona dosyć szorstko — wracała po chwili, aby ponowić wędrówkę.

Posiliwszy się dostatecznie fižonem, szarką i ryżem w hoteliku miejscowym, zdążyłem w porę do odchodzącego pociągu.

[1]) Wym. passarinjo bravo — odważny ptak.

VIII.

Terra Vermelha[1])

W widłach rzecznych przy zbiegu Rio Negro i Iguassu znajduje się zupełnie niezamieszkana miejscowość, zwana z powodu czerwonawej gleby — Terra Vermelha. Obfitość stawów, porosłych trzciną i osoką, bezpośrednie sąsiedztwo dziewiczego lasu i rzeki — zapewniały mej pracy warunki tak korzystne, że postanowiłem osiąść tam na czas jakiś. Po powrocie tedy z Vera Guarany, odpocząwszy dni parę i uporządkowawszy przywiezione zbiory, rozpocząłem przygotowania do nowej wyprawy.

Zamierzałem osiedlić się w namiocie i, jak niegdyś na Iguassu, wystarczać sam sobie. Zebrałem przeto wszystkie niezbędne rzeczy: przedmioty kuchenne i dzbanek do wody, siekierę i łopatkę, przyrządy do preparowania, broń, amunicję i puszkę blaszaną z pe-

[1]) Wym. Terra Wermelja — czerwona ziemia.

wną ilością naftaliny do zabezpieczania gotowych już preparatów od pasorzytów, wreszcie — dostateczną ilość produktów spożywczych na cały czas pobytu: fiżonu, słoniny, cukru, soli i mąki kukurydzowej. W puszczy nie ma się wielkich potrzeb, wszystkie zapasy bez trudu dały się zapakować do dwóch koszyków tak zwanego kangaju, obciążającego jednego muła. Umówiłem się z mulnikiem, iż nietylko ma mnie zawieźć na miejsce, lecz po upływie dwóch tygodni stawić się znowu w umówionym punkcie, by zabrać pewien bagaż. Planowałem sobie, że jeśli materjał ptasi będzie na Terra Vermelha bogatszy, niż przypuszczałem, to zażądam od kabokla, by przyjechał po mnie raz jeszcze.

Ruszyliśmy wczesnym rankiem, ażeby tegoż dnia stanąć na miejscu, roztasować się i urządzić, zanim noc zapadnie. Po dosyć męczącej podróży, popasając kilkakrotnie, dotarliśmy do miejsca. Słońce było jeszcze wysoko i chciałem zagłębić się nieco dalej, atoli kaboklo oświadczył, że muły posuwać się już nie mogą, należy więc je wyładować, a rzeczy częściami poprzenosić na plecach. Tak też i zrobiliśmy. Przedtem jednak rozpaliliśmy małe ognisko, by zagotować wodę na pożegnalny „chimarão", poczem dopiero, wypaliwszy „cygaretkę", kaboklo odjechał, życząc mi powodzenia.

Nastąpiła dla mnie chwila nader męczącej pracy: trzeba było wyszukać odpowiednie miejsce do rozbicia namiotu i na miejsce to poprzenosić rzeczy. Zacieniony pagórek na skraju lasu z widokiem na Iguassu, która jest tu dosyć wąska i różni się niewiele od Rio Negro, nadawał się na ten cel znakomicie. Wyciąłem tedy kordelasem (faca)[1]) ścieżynę od wzgórka do pozostawionych rzeczy i rozpocząłem przenoszenie pakunków. Dzień był niezmiernie upalny, na niebie ani jednej chmurki, słońce prażyło niemiłosiernie, gdyż trzcina i osoka, w których wyciąłem moją drożynę, nie dawały najmniejszego cienia, to też dźwiganie rzeczy zmęczyło mnie niewypowiedzianie. Pot występował tak obficie, iż ściekał strumieniem po twarzy, zalewając oczy. Nigdy jeszcze w życiu nie byłem tak strudzony: gdy wlokłem ostatni pakunek, czułem, że robię to resztkami sił i że za chwilę padnę. Dowlokłem się jednak i zdyszany, zziajany leżałem długo, chwytając piersiami powietrze, jak wyciągnięta z wody ryba. Wspomniałem wówczas pustynie afrykańskie i długi, nieprzeliczony szereg czarnych tragarzy, którzy również zziajani i spoceni, jak ja obecnie, dźwigają nietylko żywność, odzież i sprzęty „wielkiego pana", lecz i własną jego osobę.

[1]) Wym. faka.

Kościółek polski w Rio Claro.

Parana

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Podróżować i podróżować — są to jednak rzeczy tak dalece różne, że częstokroć nie mają ze sobą nic wspólnego!

Odetchnąwszy nieco, przystąpiłem do dalszej, a niemniej uciążliwej pracy — rozbicia namiotu. Należało na równem lecz wzniesionem miejscu wkopać w ziemię dwa mocne, wysokie, zaostrzone u góry paliki, na nich przymocować żerdź, na której spoczywa całe sklepienie namiotu, poczem, przeciągnąwszy płótno, przymocować kołkami ścianki; wreszcie, gdy już namiot stanie, okopać go wkoło dosyć głębokim rowkiem i zrobić ściek dla wody. To ostatnie robi się na wypadek deszczu, by uchronić rzeczy i sprzęty od zalania. Gdy namiot był wreszcie gotów, przystąpiłem do sporządzenia sobie łóżka, gdyż po przygodach z ropuchą i skolopendrami w Santa Cruz postanowiłem nie sypiać na gołej ziemi. Budowa łóżka nie trwa zbyt długo: w głębi namiotu wbija się w ziemię cztery niewysokie kołki, do nich przytwierdza się dwie długie żerdzie, na tych kładzie się wpoprzek drobne gałązki, z wierzchu nieco mchu i liści — i już gotowe wspaniałe, iście królewskie łoże.

Zaspokoiwszy te dwie najpilniejsze potrzeby, zdążyłem jeszcze przed nadejściem nocy pomyśleć o ognisku: tuż przy wejściu do namiotu ułożyłem kilka potężnych pni i kłód, zgromadziłem duży zapas suchych łatwopal-

nych gałązek, i gdy ciemność zapadła — u mego namiotu buchał wesoły ogień i rozchodził się wonny dym z płonących kawałków kanelli, a wraz z nim ulatywał niepokój, jaki zazwyczaj zakrada się do duszy na pierwszym samotnym noclegu w nieznanem pastkowiu.

Nazajutrz krzątałem się przy wykończaniu czynności instalacyjnych — mianowicie z pniaków i korzeni drzew sporządzałem sobie niezbędne do pracy stołki i stolik — gdy nagle od strony rzeki doszło mię odległe, powtarzane kilkakrotnie klaskanie.

— Chega! entra![1]) — wołałem do zbliżających się ceremonjalnych gości i pośpiesznie przysunąłem do ognia „banjak" z wodą na „chimarão".

— Bom dia! como vae?[2]) — wszystkie sakramentalne frazesy wypowiedziane; goście usadowieni sztywno, jak na przyjęciu dworskiem, na improwizowanych zydlach; druga już kolejka „chimarony" na zakończeniu — i rozpoczęło się zwykłe wybadywanie. Ukazanie się moje w tem odludnem miejscu było dla kabokli tak zagadkowem zdarzeniem, że, otrzymawszy pocztą pantoflową raport, goście moi nie żałowali czasu ni fatygi, by przebyć łódką dosyć daleką przestrzeń i wła-

[1]) Wym. szega, entra — chodź, wejdź.

[2]) Wym. bą dia, komo waj — dzień dobry, jak się masz.

snemi oczami ujrzeć to dziwowisko. Objaśniłem, jak umiałem, cel mego tu przybycia, mówiąc naturalnie, że skórki ptasie zbieram na lekarstwo; jedyny to bowiem sposób, aby trafić im do przekonania i uzasadnić celowość pracy. Inaczej sądziliby, że się im prawdy nie mówi, jeno pozorami zbierania okazów chce się pokryć jakieś czynności tajemnicze, a wielce podejrzane.

Nie wiem, czy na zachętę, czy jako przestrogę przed grożącem niebezpieczeństwem, jeden z mych gości rzucił od niechcenia.

— Tem aqui tigre preto[1]).

— Na tygrysa — odrzekłem spokojnie — mam dobrą broń. Niech obawia się go ten, co broni nie posiada.

Odpowiedź moja widocznie zrobiła dobre wrażenie i uspokoiła kaboklów. Wypaliwszy cygaretki i życząc mi „dobrego zdrowia", powrócili do łodzi.

Zaznaczę nawiasowo, że przez cały czas pobytu mego na Terra Vermelha nie spotkałem wcale jaguara, widziałem natomiast pumę, lecz drapieżnik ów zbyt jest tchórzliwy, by mógł wzbudzać niepokój. Na mój widok pierzchnął w popłochu, sadząc w olbrzymich skokach w głąb lasu.

[1]) Wym. teń aki tigre preto — jest tu czarny tygrys.

Puma (*Felis concolor*) jest dosyć pospolita w lasach parańskich. Żyje i poluje nocą; zaś w ciągu dnia śpi w gęstwinie leśnej; w miejscach bezleśnych spotyka się dość rzadko, smuklejsza od jaguara — przewyższa go zręcznością i zwinnością i bez wysiłku wdrapuje się na drzewa. W przeciwieństwie do jaguara unika wody, aczkolwiek posiada umiejętność pływania. Żywi się ssakami leśnemi, jak paki, sarny i małpy. Zwłaszcza do tych ostatnich żywi szczególną predylekcję i, gdzie tylko znajduje się obfitość małp, tam na pewno przebywają i pumy; chwyta je zazwyczaj po długiej gonitwie śród konarów drzew. Puma nie wyrządza żadnych szkód w stadach koni lub bydła, natomiast w miejscowościach, gdzie hodują owce, staje się groźnym szkodnikiem, dostawszy się bowiem do stada, zabija pokolei sztukę za sztuką i wysysa krew, mięso pozostawiając nietknięte. W ten sposób drapieżnik może w ciągu jednej nocy zabić do 50 głów. Mieszkańcy opowiadają wiele historyj o sympatjach, jakie podobno puma żywi dla człowieka. Nie miałem sposobności przekonać się o tem, atoli nie słyszałem o żadnym akcie wrogim. Puma żyje samotnie z wyjątkiem pory godowej, która przypada w lutym lub marcu. W październiku są już małe — i wówczas zaczepiona, a zwłaszcza zraniona samica może stać się niebezpieczną.

Po odejściu kabokli postawiłem na ognisku fiżon i ruszyłem na oględziny nowych swych posiadłości. Niedaleko od rzeki znajdowały się dwa jeziorka. Jedno z nich było w połowie pokryte kwitnącemi roślinami wodnemi i z pewnej odległości robiło wrażenie ślicznej, usypanej kwieciem darninowej łączki. Widniały na niej smukłe postacie białych czapli królewskich (*Ardea egretta*) oraz można było dostrzec podobne z wyglądu, lecz o połowę mniejsze małe czaple białe (*Leucophoyx candidissima*): pośrodku kroczyły poważnie, zatrzymując się co chwila i bacznie obserwując horyzont, bociany brazylijskie (*Jabiru mycteria*), wreszcie z pośpiechem i zapałem pracowało stadko kaczek (*Mareca sibilatrix*), zanurzając co chwila głowy, by przeszperać dziobami korzonki roślin wodnych i pochwycić znajdujące się tam żyjątka.

Całą przestrzeń między jeziorkami i rzeką wypełniały trzcina i osoka: przeważały tu dwa gatunki taquary — zwykła mocno rozgałęziona *Bambusa fortunata* i kolczasta *Bambusa spinosa*. Posiadały one własnych mieszkańców pierzastych: zawzięcie opukiwał tu łodygi malutki dzięciołek *Picumnus temminckii*, wydzwaniając co chwila swą zwrotkę nader pięknym głosem niezwykłym wśród dzięciołów, posiadających naogół głosy krzykliwe i ostre. Jak dalece dzięciołek ów bywa pochłonięty

pracą, mogłem przekonać się po strzale, którym zraniłem skrzydełko: po upadku na ziemię ptaszek zerwał się natychmiast, i, wlokąc za sobą opuszczone skrzydełko, niezwłocznie wdrapał się na łodygę, by podjąć znowu przerwane jej opukiwanie. Z głębi zarośli dolatywała mię dźwięczna nutka błotnego gatunku garncarza (*Phacellodomus*), zobaczyć jednak ptaszka było niełatwo, gdyż trzyma się uporczywie zarośli, niekiedy tylko ukazuje się na moment, poczem znika natychmiast, wyrzucając z gardziołka w błyskawicznem tempie całą kaskadę dźwięków. Jeszcze ostrożniejszą była malutka muchołówka, szaro zielona z podpalanemi bokami głowy (*Euscarthmus gularis*): ta, chwytając wlot muszki i komary, przelatujące między łodygami trzciny, pilnie baczyła, by nawet koniuszczka dziobka nie wychylić poza chroniącą ją osłonę roślinną. Natomiast gatunek mrówkołowa — *Formicivora ferruginea* — zachowywał się zupełnie inaczej; na mój widok nie krył się lękliwie w głębi trzcin, lecz przeciwnie — wyśpiewując swe milutkie trele, zbliżał się coraz bardziej i wreszcie, dosięgłszy najbliższej od mej głowy gałązki, jął bacznie obserwować niewidzianego nigdy gościa.

I nietylko pierzastych obywateli posiadały zarośla trzcinowe: nieprzeliczona moc komarów i moskitów obrała tu sobie również

schronisko i za nadejściem zrywała się chmurą, tnąc intruza niemiłosiernie w oczy i twarz. Z błyskawiczną szybkością i niesłychaną zręcznością przeskakiwały z łodygi na łodygę malutkie dydelfy, a w dole śród zwojów korzeni krzątały się drobne gatunki błotnych myszek.

Na przejrzystych falach Iguassu inne gatunki ptaków wiodły pracowity swój żywot. Stado kormoranów (*Carbo vigua*) ujawniało istotną maestrję przy połowie ryb: co chwila jeden z ptaków znikał pod wodą i po upływie dłuższego nieraz czasu wynurzał się z toni, trzymając prawie zawsze w dziobie pokaźną rybkę, z której połknięciem miewał nieraz wiele kłopotu. Na mój widok stado nie zerwało się, jeno ptaki zanurzyły się głębiej, tak iż z wody sterczały tylko prostopadle dzioby, i, w ten sposób płynąc, oddalało się coraz bardziej, aż wreszcie na zakręcie znikło mi z oczu. Na brzegu, w zacisznym, omywanym falą rzeczną zakątku, leniwie powyciągały się wydry, igrając zupełnie jak kociaki; to przewracały się na grzbiet i chwytały łapkami sąsiada, to znów błyskawicznie zwijały się w kłębek, parskając i mrucząc groźnie, jak nasze koty, tylko głosem daleko silniejszym. Wydra parańska (*Lutra paranensis*) spotyka się w Paranie jeszcze dosyć licznie. Żywi się wyłącznie rybami. Parokrotnie widziałem wy-

nurzającą znienacka z wody okrągłą, ozdobioną białemi wąsami głowę wydry z dużą rybą w pysku. Jednakże nie gardzi i ptakami, i niejedna kaczka, drzemiąca nieopatrznie na rzece, została tak raptownie podchwycona za nogi i wciągnięta w głębinę, że ledwo zdołała krzyknąć. Życie całe spędza wydra w wodzie, na brzeg zaś wychodzi jedynie poto, by się przespać lub zabawić. Co do wyglądu i wielkości wydra parańska jest zupełnie podobna do europejskiej.

Zkolei wypadło zapoznać się z lasem. Las na Terra Vermelha, aczkolwiek nie ustępował co do bujności i gęstości puszczy na Chpigão, posiadał jednak nieco inny charakter ze względu na dosyć niskie położenie i bliskie sąsiedztwo wód. Najliczniej występowały tu nieduże drzewka pao de leite[1]) (*Hevea brasiliensis*), tak miękkie, że do zrąbania ich nie trzeba siekiery, przy nacięciu zaś występuje biały jak mleko lepki sok, który gęstnieje szybko na powietrzu, tworząc kauczukową masę. Dalej olbrzymie drzewo, podobne nieco do klonu — *Cenipipo americana*, zaś z pośród lian najbardziej rzucały się w oczy mięsiste liście filodendronu (*Philodendron squamiferum*) i podobnej, lecz z omszałą korą *Caesalpinia coriaria*.

[1]) Wym. pau de lejte — drzewo mleczne.

Nad polankami leśnemi sunęły co chwila lotem ciężkim, poruszając leniwie skrzydłami, wielkie niebieskie motyle (*Morpho*), które na mój widok skręcały na bok, lub wzbijały się w górę. Nad brzegiem strumyka roiło się od przeróżnych drobnych motylków, między któremi wyróżniały się czarno żyłkowane motyle z rodzaju *Papilio*. Na najwidoczniejszem miejscu zwieszało się z gałęzi, niby czarna podłużna sakiewka z otworem pośrodku — gniazdo kacyka (*Cacicus chrysopterus*), a nieco dalej, wśród gałęzi nadwodnych — ogromne, okrągłe z występami, zlepione z masy roślinnej gniazdo os brazylijskich (*Polybia*.) Doświadczony podróżnik, ujrzawszy takie gniazdo, obchodzi je zdaleka, unikając wszelkiego hałasu, tym razem jednak zapomniałem o ostrożności i wystrzeliłem opodal. Na odgłos strzału natychmiast zaszumiało mi nad głową, i rój os rzucił się na zakłócającego ich spokój nieprzyjaciela. Zrozumiawszy co się święci, przykucnąłem za krzewem i pozostałem tak długą chwilę bez ruchu. Gromada rozgniewanych os może zaciąć człowieka na śmierć. Znane są wypadki śmierci pociętych przez osy koni, które w takich razach ratują się jedynie natychmiastowem zanurzeniem się w wodę. Obleciawszy kilkakrotnie sąsiednie drzewa i nie znalazłszy nigdzie sprawcy hałasu, osy

wróciły do gniazda, a ja pośpieszyłem wydostać się z niebezpiecznego sąsiedztwa.

Z drzewa na drzewo z powagą i flegmą przenosiła się rodzina wyjców: stary brodaty patrjarcha zawieszał się na ogonie i, rozbujawszy się, chwytał gałąź sąsiedniego drzewa. Jak nakręcone automaty pozostali członkowie rodziny małpiej w tem samem miejscu i na tej samej gałęzi wykonywali pokolei te same ruchy. Obecność wyjców ucieszyła mię bardzo: będę mógł nasłuchać się dowoli ich oryginalnych koncertów. Jeszcze dalej, w głębinie ciemnego boru, ujrzałem gromadę czepiaków, małp, zwanych przez Brazylijan macaco[1]) (*Ateles*); wpatrzywszy się baczniej w gęstwinę, dostrzegłem bystre, śledzące mię oczy, skręcające się wężowym ruchem ogony, poruszające się w zwinnych przegubach smukłe kształty tych niewielkich, ciemno zabarwionych małp. Ciekawość, jaka na mój widok ogarnęła te zwierzęta, była tak wielka, iż jęły spuszczać się coraz niżej po gałęziach, jakby w zamiarze przystąpienia na dany sygnał do generalnego ataku. Walka z seciną, chociażby niezbyt silnych, lecz niepomiernie zwinnych przeciwników nie uśmiechała mi się zbytnio, to też uważałem za właściwe rejterować pośpiesznie; czas jakiś małpy goniły za mną, nie dopuszczając się jednak żadnych nieprzyjacielskich wybryków, zwołując się tylko ustawicznie gwizdaniem.

[1]) Wym. makako.

Syt wrażeń skierowałem się wreszcie ku „domowi". Na skraju lasu zauważyłem ciekawą ptaszynę — koliberka *Chlorostilbon aureiventris*. Cały zielony o metalicznym połysku i z czerwonym dzióbkiem maleńki ów ptaszek dostrzegł mię również i nietylko nie uląkł się mego widoku, lecz zadowolony najwidoczniej, że mu się tak przyglądają, jął wykonywać przeróżne kokieteryjne ruchy: to przeciągał się na gałązce, to figlarnie poruszał główką, to znów prężył skrzydełka, zerkając wciąż na mnie bystrem oczkiem.

Dobrnąłem wreszcie do namiotu, zmęczony borykaniem się z bujną roślinnością. Umieściwszy ostrożnie pod muślinową siatką kilek z przywiązanemi za języki zdobytemi ptaszkami, pobiegłem czem prędzej do ogniska. Fiżon, choć niedoglądany, był już prawie gotów, po krótkiej tedy krzątaninie przystąpiłem w skupieniu ducha do spożywania darów bożych. Wtrącę nawiasem, że nigdy i nigdzie na świecie jadło tak mi nie smakowało, jak w puszczy przyrządzone własnoręcznie. Zapewne ożywcze, pełne ozonu powietrze leśne wpływało na zaostrzenie apetytu, nie był również bez wpływu i ciągły ruch na świeżem powietrzu i wysiłek fizyczny, największą atoli rolę przypisuję czynnikom psychicznym, prze-

kształcającym skromny nad wyraz, pośpiesznie przyrządzony posiłek we wspaniałą ucztę, zdolną zadowolić najbardziej wybredne podniebienie wykwintnego smakosza. Posiliwszy się, zabrałem się znowu do pracy, teraz jednak już w domu — nad zdobyczami przedobiedniej wyprawy.

Preparowanie ptaków w zwykłych, codziennych warunkach pracowni nie należy do zajęć przyjemnych; wszakże gdy pracownią staje się zaciszny zakątek olbrzymiej puszczy, gdy zajęcie urozmaicają dochodzące zewsząd głosy ptasie, gdy wreszcie zdajesz sobie sprawę, że każdy preparat — to maleńka lecz nieraz bardzo ważna cegiełka w budowie przyszłej twej pracy naukowej, — wówczas nabiera ono uroku: suche i mechaniczne napozór zajęcie przybiera wszystkie cechy doniosłej pracy twórczej, która nietylko daje zadowolenie, lecz jest powodem żywej, wielkiej nieraz radości.

Pod wieczór odwiedzili mię niezbyt mili goście — moskity. Owe drobniutkie, ledwo dostrzegalne owady chmarami obsiadają twarz, znajdując szczególną przyjemność w zakłócaniu spokoju podczas pracy. Wytrzymały jestem na tego rodzaju dolegliwości i traktuję je poniekąd jako nieodzowne ciernie, by życie na puszczy nie było zbyt rozkoszne, lub jako kroplę niezbędnej goryczy, by nie było nadmiaru słodyczy. Jednakowoż musiałem uciec do namiotu, zwłaszcza, że do moskitów przyłączyła się jeszcze chmara komarów i poczęła wyśpiewywać swe żałosne pieśni tuż nad mem uchem. Po chwili garść wonnego ziela, kilka głowni z ogniska i gęste kłęby dymu wyparły nieproszonych gości i mogłem już bez przeszkody kończyć pracę.

Zapadła noc i srebrzyste światło księżyca przyodziało wspaniałą roślinność, otaczającą mój namiot, w czarodziejską, widmową szatę. Ciemne głębie leśne zamieniły się w jakieś otchłanie tajemnicze; dochodzące z nich głosy nabrały akcentów rozpaczy i zgrzytów potępionych. Ten potężny, wstrząsający nokturn puszczy brazylijskiej wywoływał w duszy nastrój, graniczący z uczuciem lęku i zgrozy. Ostatnim zasłyszanym jego akordem, zanim sen skleił mi znużone powieki, był potężny okrzyk puhacza, okrzyk zdumienia na widok samotnego człowieka u samotnego ogniska.

Gdy poczęły rozbrzmiewać poranne pieśni ptaków, byłem już na stanowisku u jeziorka. Za punkt obserwacyjny obrałem sobie rozłożyste konary pochylonej nad wodą wierzby. W niewielkiej odległości rysowała się na wodzie smukła, nieruchoma postać siwej czapelki (*Butorides striata*), która, pilnie śledząc ruchy ryb, najmniejszem poruszeniem nie zdradzała swej obecności. Widocznie atoli niebar-

dzo udawały jej się łowy, gdyż po upływie pewnego czasu, uznawszy widocznie trud swój za bezowocny, zerwała się z głośnym okrzykiem: uu — haa! i usiadła w pobliżu mnie na gałęzi. Jeden rzut bystrego spojrzenia — i cała jej postać przybrała wyraz najwyższego zdumienia, połączonego z lękiem i ciekawością. Nasyciwszy ciekawość i uznawszy widocznie za wskazane odsunąć się ode mnie na przyzwoitą odległość, z ponownym okrzykiem uu — haa! przeniosła się na odleglejsze drzewo i stąd poddawała mię dalszej obserwacji.

Więcej zręczności w łowieniu ryb ujawnił duży zimorodek (*Chloroceryle amazona*): usadowiwszy się na gałązce w najbliższem mojem sąsiedztwie, pilnie wypatrywał, co się dzieje w wodzie — by nagle w pewnym momencie rzucić się do wody z głośnym pluskiem, niby kamień ciśnięty silną ręką. Chwila — i z wody wynurza się połyskująca ciemnozielona postać ptaka z pokaźną rybą w silnym dziobie i pośpiesznie wędruje na drugą stronę jeziorka, by tam w spokoju spożyć zdobycz. Wkrótce rozlega się wesoły, energiczny okrzyk i szczęśliwy łowiec zjawia się znowu na swem poprzedniem stanowisku.

Szum i świst skrzydeł oraz głośny plusk wody oznajmił nowych przybyszów: to żądne również smacznej strawy rybnej kaczki drzewne (*Erismatura*). Czas pewien, nie poruszając się wcale, z ostrożnością właściwą kaczkom, pilnie badały wzrokiem otoczenie, gotowe za najmniejszą oznaką niebezpieczeństwa porwać się z wody. Atoli przegląd snać wypadł pomyślnie, gdyż wkrótce pośpiesznie i pracowicie poczęły przezorne ptaki zanurzać się w wodę.

Obserwując życie ptaków wśród nieskrępowanej niczem swobody, starając się przeniknąć w najskrytsze tajniki ich bytu, przekonywałem się, jak dalece każda odmienna forma posiada właściwą sobie fizjonomję duchową, wyrażającą się w głosie, ruchach, sposobie reagowania na czynniki zewnętrzne i t. d. Zdumiewałem się wtedy jałowości spostrzeżeń podróżników angielskich, jak Kerr, Hamilton, Forster i inni, którzy najczęściej o zdobytych przez siebie okazach nie byli w stanie powiedzieć nic poza określeniem „pospolity", lub „rzadki", dodając niekiedy, iż w sposobie życia dana forma nie różni się niczem od poprzedniej. Widocznie wystarczało im w zupełności samo zdobycie okazu, natomiast życie ptaków interesowało ich niewiele. Co do siebie, przyznać muszę, iż większość czasu na wycieczkach poświęcałem właśnie obserwacji z możliwie najbardziej ukrytego zakątka, ażeby poznać życie ptaków w warunkach zupełnej swobody. To też o każdej formie, którą

miałem sposobność napotkać, miałbym wiele do powiedzenia i pisząc mam się wciąż na baczności, aby nie przeładować opowiadania nadmiarem szczegółów.

Gdy opuściłem jeziorko i przeniosłem się do lasu, ujrzałem na wstępie pochód wielkich, drapieżnych mrówek *(Ecilon)*. Pochód taki rozciąga się na setki metrów: jak bystry strumyk płynie czarna armja mrówek, niszcząc po drodze wszystko, co żyje. Nietylko owady i drobne kręgowce padają ofiarą najeźdźców; znane są przykłady śmierci dużych zwierząt, pozbawionych możności ucieczki: naprzykład z pewnego psa, pozostawionego na uwięzi, znaleziono jedynie oczyszczony dokładnie przez mrówki szkielet.

Mnie atoli pochód mrówek dostarczył okazyj niezmiernie cennych. Maszerująca armja płoszyła mnóstwo ukrytych w trawie owadów, to też całe gromady owadożernych ptaków korzystały z doskonałej sposobności uraczenia się nimi bez trudu i dosyta. Nader lękliwe, zazwyczaj kryjące się bojaźliwie w trawie ptaki z rodziny *Pteroptochidae*, np. rzadki i trudny do zdobycia *Scytalopus*, lub niezmiernie ostrożne mrówkołowy *(Formicariidae)*, jak *Grallaria*, których głos jedynie znałem, rozlegający się w rannych godzinach w puszczy niby srebrny dzwonek — ukazywały się teraz gromadnie i, zapominając o zwykłej ostrożno-

Droga kołowa.

Parana

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

ści, z zapamiętaniem oddawały się łowom i zkolei z łatwością stawały się moim łupem.

Z mrówkami miałem na Terra Vermelha inną jeszcze, tym razem dosyć przykrą przygodę. Na gałęziach wysokiego cedru spostrzegłem ciekawy okaz tangara (*Orchesticus abeillei*). Po strzale ptak spadając uwiązł w widełkach gałązek i zawisł w powietrzu. Wdrapawszy się na drzewo, by dostać zabitego ptaka, uczułem nagle silny, palący ból w ręku, za którym nastąpił drugi, trzeci już po całem ciele — i, jak ogniem prażony, jąłem zsuwać się błyskawicznie na dół. Stanąwszy na ziemi, pozdejmowałem odzież, by uwolnić się od zjadliwych napastnic, i wówczas dopiero spostrzegłem, że na gałęziach drzewa bujają się słynne wiszące ogródki, utworzone ze znoszonych przez mrówki (*Camponotus femoratus*) drobnych cząsteczek ziemi, spowitych następnie w usypane barwnem kwieciem rośliny ananasowate (*Bromeliaceae*). Dostępu do swych ogródków mrówki bronią z zaciekłością i tylko szybkości ruchów zawdzięczać mogłem, że nie zostałem dotkliwiej poszwankowany.

Powracając obładowany zdobyczą, zabitą na ciągu mrówek, spotkałem znowu rodzinę wyjców (*Alouatta coraya*), składającą się z 5-u członków. Teraz rodzina spożywała w skupieniu jakieś roślinne dary boże; przewodził jak zwykle długobrody patrjarcha.

a samice i zabarwione rudawo młode naśladowały jego ruchy. Dłuższą chwilę obserwowałem ciekawe te zwierzęta, których potężne koncerty pamiętałem z czasów pierwszego pobytu w Brazylji. Tu, widocznie niepłoszone, spoglądały na mnie obojętnym wzrokiem, nie wykazując nawet wrodzonej małpom ciekawości. Inaczej zupełnie zachowywały się w Vera Guarany, gdzie jadalne ich mięso było poszukiwane. Ja sam kilkakrotnie raczyłem się ich pieczenią, posiadającą, co prawda, pewien niemiły odór. Dość smaczne mięso byłoby niezłą potrawą, gdyby nie kości, żywo przypominające kości ludzkie.

Obserwując poważne i stateczne ruchy wyjców, usłyszałem tuż obok siebie dźwięki jakby skocznej muzyki. Szczególny ów głos słyszałem już nieraz w wielkich lasach i wiedziałem, że wydaje go gatunek niebieskich, o wydłużonych środkowych sterówkach gorzyków (*Chirozyphia caudata*), jednakże ptaszki te zachowują taką ostrożność podczas swych uroczystości, że nigdy nie udało mi się zajść ich niespodziewanie: za najmniejszym szmerem lub trzaśnięciem ukrytej w trawie gałązki — rozlegał się natychmiast chrapliwy sygnał prowodyra, i gromadka pierzchała w rozmaite strony, dając znak o sobie tylko często powtarzaną płaczliwą nutką. Tym razem atoli stało się inaczej: wśród gęstwiny krzewów ujrzałem na szerokim powalonym pniu dużą gromadę tych ptaszków. Muzykanci skuleni nieco trzymali się na zboczach pnia, zaś na środku tańczyło kilka par ptaszków, poruszając się miarowo w takt dźwięków. Taniec polegał na rytmicznem wznoszeniu się i opadaniu obracających się dokoła siebie tancerzy. Co pewien czas następowała pauza, którą oznajmiał głos dyrygenta, poczem na jego sygnał znowu rozpoczynano tany. Ruchy ptaków były tak powabne, miękkie i elastyczne, — całość tak harmonijna, że dłuższy czas pozostawałem bez ruchu, by nic nie stracić z tego, tak niezwykłego nawet w Brazylji widoku. Przypomniałem sobie wtedy słowa pewnego kabokla, że chciałby mieć tylko gromadkę grających i tańczących gorzyków, by obwozić je po świecie i dawać z niemi przedstawienie, wówczas bowiem stałby się na pewno bardzo bogaty.

Przechodząc w powrotnej drodze przez lasek, okalający Iguassu, ujrzałem bardzo ciekawego ptaszka z rodziny brodaczy — *Nonnula*. Ptaki te tak są rzadkie, że najbogatsze muzea na świecie posiadają je zaledwie w pojedyńczych egzemplarzach, zaś w Paranie nikomu przede mną nie udało się zdobyć żadnego okazu. Ptaszek siedząc na niskiej gałązce niewysokiego drzewka, zachowywał się apatycznie i milcząco. Spostrzegłszy mię, począł wpatrywać się z obojętną ciekawością, nie

zdradzając najmniejszego lęku i nie zmieniając wcale nieruchomej postawy. Rzecz szczególna, że gatunek ten spotkałem jedynie nad Iguassu, a nie widywałem nigdy nad Rio Negro, aczkolwiek charakter roślinny brzegów obu tych rzek w zwiedzanych przeze mnie punktach nie różnił się prawie wcale.

Dnia tego zdobycz moja była tak obfitą, że nie zdołałem spreparować doraźnie wszystkich okazów, musiałem przeto część zabezpieczyć od zepsucia, zaś nazajutrz pracowałem nad ich preparowaniem prawie do południa.

W ten sposób zbiory moje rosły i powiększały się szybko. Z prawdziwem zadowoleniem stwierdziłem, iż obrany sposób prowadzenia badań był w zupełności wykonalny i posiadał tę olbrzymią zaletę, iż nie wymagał zbyt wielkich nakładów pieniężnych... A jednak obecność pomocnika, naprzykład wychowanego w brazylijskich lasach chłopca, mogłaby powiększyć ogromnie wydajność mej pracy, lecz przyjęcie jego trzeba było uzależnić od zapewnienia sobie z Europy niezbędnych na ten cel funduszów. Oczekiwałem pieniędzy, obiecanych mi w chwili wyjazdu do Brazylji. Wyjeżdżając z Antonio Olyntho, prosiłem nauczyciela, który już przybył na miejsce i zakwaterował się w domku, by w razie nadejścia listów z Europy przesyłał mi je niezwłocznie przez posłańca.

Atoli nie nadchodziły żadne wieści i samotność moją przerywały jedynie wizyty ptaków. Szczególną ciekawość w stosunku do mej osoby ujawniał gatunek niebieskiej sroki brazylijskiej (*Cyanocorax chrysops*). Ptaki te nie poprzestawały na obserwowaniu mych czynności z gałęzi bliskich drzew. Częstokroć, siedząc w namiocie, słyszałem przyciszone ich głosy i nieraz w przecięciu płótna ukazywała się ostrożnie niebieska głowa z błękitnemi brwiami, opatrzona potężnym dziobem. Niekiedy przez uchylone płótno namiotu wpadał do wnętrza koliber (*Leucochloris albicollis*) i, zawisnąwszy na chwilę w powietrzu, lustrował bacznie, co się u mnie dzieje, — poczem, wydając w locie dźwięk, zupełnie podobny do brzęku dużego chrząszcza, powracał na pobliską gałązkę i długi czas wyśpiewywał donośnym, jak na tak drobną ptaszynę, głosem: „Oj tsi-tsi-tsii, oj tsi-tsi-tsii!

Pewnego dnia nerwy moje, reagujące bardzo czule na wszelkie nastroje puszczy, wyczuły wielki niepokój w przyrodzie. Praca dnia tego nie kleiła mi się wcale: w lesie, na jeziorkach i na rzece było jakoś dziwnie pusto, napotykane ptaszki były szczególnie strwożone i niespokojne... W popołudniowych godzinach ozwały się liczne głosy sarakury (*Aramides saracura*): gdzieś z krzewów, rosnących na brzegach Iguassu, polały się prze-

ciągłe, rozgłośne dźwięki i płynęły w dal wśród wilgotnej atmosfery ponad falami wód. Po trzykroć powtarzał się ów śpiew, oznajmiający, według spostrzeżeń mieszkańców, nadejście deszczu lub burzy. Zaledwie przebrzmiały ostatnie echa śpiewu sarakury, z głębin leśnych polały się nowe kaskady dźwięków, tym razem potężnych i groźnych.

Las zahuczał... Zdawało się, że gromada potworów z zamierzchłych epok geologicznych stacza tu w lesie rozpaczliwą, śmiertelną walkę. Grzmiący ryk, chichot złowrogi, przeciągłe, przejmujące wycie, straszliwy wrzask konających, — wszystko to zlało się w jedną potężną i dreszczem zgrozy przejmującą melodję. Głosy rosły i potężniały, dosięgały kulminacyjnego punktu — i zwolna cichły, zamierały, zlewając się z szumem puszczy.

— To wyjce! — rzekłem do siebie.

Koncert wyjców — to nie chaos dźwięków, to nie zbiorowisko poszczególnych wrzasków; posiada on swoją melodję, surową wprawdzie i dziką, lecz tak przedziwnie zharmonizowaną z nastrojem puszczy, iż słuchając przestajesz zdawać sobie sprawę, że to głosy zwierząt, i sądzisz, że to puszcza sama wypowiada swoje uczucia potężną falą dźwięków.

Koncert wyjców trwał długo, zapowiadając nieomylnie nadejście burzy. Nienapróżno twierdzą kabokle, że sarakura może omylić się w swych przepowiedniach, lecz wyjce nigdy: (Saracura não é Deus, bugiu — si!')

Zacząłem pośpiesznie czynić niezbędne przygotowania, by móc stawić czoło nadciągającej nawałnicy, której gwałtowność i siłę poznałem już w Vera Guarany. Były wszak wówczas momenty, że obawiałem się, by gwałtowna wichura nie zmiotła mego domku z wyniosłego wzgórza i nie rzuciła go wraz ze mną w spienione nurty Iguassu. Obecnie najwięcej troski przyczyniał mi namiot. Przedewszystkiem sprawdziłem wytrzymałość jego rusztowań — palików i żerdzi, umocniłem rozluzowane kołki, naciągnąłem do sztywności płótno ścianek i wziąłem się do oczyszczania i poszerzania ścieku dla wody. Następnie wypadało zabezpieczyć ognisko od zalania, gdyż rozpalanie po deszczu jest uciążliwe i trudne. Ułożyłem tedy co najtęższe kłody w taki sposób, by woda ściekała, nie dostając się do paleniska. Wreszcie zająłem się zabezpieczenia rzeczy od zmoczenia na wypadek, gdyby ścianki namiotu rozmiękły i przepuszczały deszcz, lub gdyby, co gorsza, woda przepełniła rowek i dostała się do namiotu. Poukładałem przeto cały swój inwentarz na grubych kawałkach drzewa i starannie otuli-

---

') Wym. sarakura nã e Deus, bużiu — si.

lem blaszankę z preparatami, tudzież broń i amunicję.

Wraz z nadejściem nocy nadciągnęła burza. Ogromne krople deszczu zabębniły ponuro w ścianki namiotu, silny powiew wiatru wstrząsnął wierzchołkami drzew przy odgłosie odległego grzmotu — i chwila ciszy złowrogiej, głuchej, przygnębiającej... Wtem wśród świstu, chichotu i głuchego trzasku rozdarła ciemności oślepiająca błyskawica. Potężny huk grzmotu wstrząsnął powietrzem, zawrzasły przerażone małpy.

— Piorun uderzył w pobliskie drzewo — pomyślałem wśród ogłuszającego łoskotu.

Na ten jakby sygnał rozdarły się upusty niebieskie. Deszczem tego nazwać nie można — istne potoki wody spływały z chmur na ziemię. Wicher dął już z siłą huraganu i z taką wściekłością wstrząsał borem, że waliły się nietylko gałęzie pinjorów: w coraz rzadszych przerwach między grzmotami wyraźnie słychać było jęk i głuchy łoskot padających olbrzymów leśnych, wyrywanych z korzeniami. Błyskawice zlały się w jedno złowrogo migocące i oślepiające światło.

— To burza tropikalna w całej swej majestatycznej grozie.

Krople deszczu z taką siłą uderzały w ścianki namiotu, że wewnątrz począł mżyć drobniutki deszczyk, żerdzie i paliki gięły się,

trzeszczały i groziły upadkiem. Jak ptak na gałęzi, smagany nawałnicą, trzyma się jej kurczowo i czuje, że w każdej chwili może być wraz z nią strącony w ciemną przepaść, tak i ja w swym namiocie, który lada chwila mógł być porwany przez huragan i rzucony wraz ze mną gdzieś w nurty rzeki, — zadawałem sobie wciąż trwożliwe pytanie:

— Czy namiot oprze się, czy zdołam przetrzymać tę szaloną burzę?

Niebezpieczeństwo wzmogło się jeszcze: tuż obok usłyszałem szum pędzącej wody. Wprawdzie starannie okopałem namiot, lecz praca nie była obliczona na takie potoki wody, które rwały i znosiły wszelkie zapory.

— Czy potok nie zmyje namiotu i nie poniesie go wraz ze mną?

Długo chwiałem się między zwątpieniem i nadzieją — aż wreszcie burza powoli zaczęła ucichać i wkrótce dobroczynny sen ukoił lęki i zgrozę.

Gdy po niespokojnej nocy wyjrzałem z namiotu, jaśniał przecudny poranek. Owionęło mnie powietrze, pełne odżywczych woni. Słońce wstawało właśnie ze snu i zewsząd rozlegały się tak radosne głosy ptaków, jakie słyszeć można tylko po burzy. Puszcza weseliła się i radowała i nastrój słoneczny opanował wszystkie stworzenia.

Ja wszakże niemało miałem zmartwień: pomimo starannych zabezpieczeń stos przemókł zupełnie i ognisko wygasło — pod kłodami znalazłem tylko nieco błota, żar w popielisku wymyła woda. Niełatwo było zaradzić złemu, gdyż wszystko dokoła było mokre, zaś zaledwie kilka zapałek miałem w zapasie. Atoli doświadczony podróżnik potrafi sobie poradzić: wyszukałem cienkie smolne i łatwo palne gałązki, ułożyłem je w stos poprzecznemi warstwami, aby dym obejmował je wszystkie i stopniowo suszył, wreszcie odszukałem kilka skrawków suchego papieru i — potarłem zapałkę... Niestety zwilgotniałe zapałki nie zapalały się: odrzucałem jedną po drugiej... Dopiero ostatnia ku wielkiej mej radości nie zawiodła, płomień pochwycił papier, gałązki poczęły dymić, trzeszczeć i wreszcie zajęły się płomieniem.

— Niech żyje ogień — zawołałem z radością.

Jeszcze chwila i raczyłem się gorącym chimaronem.

Gdy przesuszyłem przemokłe i zwilgotniałe rzeczy i przywróciłem ład w swem „obejściu", wybrałem się jak zwykle do lasu. Nie mogłem poznać tak dobrze mi znanych ścieżek i polanek: wszędzie piętrzyły się olbrzymie zwały — straszliwy obraz zniszczenia. Padające olbrzymy zgniotły i zdruzgotały młode drzewka, gdzie niegdzie olbrzymie drzewo zawisło w powietrzu na lianach, które pod niezmiernym ciężarem usuwały się i rwały zwolna, poczem następował upadek ze straszliwym łoskotem. Nie było dziś bezpiecznie chodzić po lesie! Nadto wszystkie przejścia były zatarasowane, a gdym przedzierał się przez gęstwinę, obfita rosa zlewała mię od stóp do głowy. To też nie zabawiwszy tu długo, wracałem pośpiesznie przemoknięty do nitki, by osuszyć się u ogniska.

Słońce wskazywało już południe, gdy doleciał mię dawno niesłyszany odgłos klaskania — to posłaniec z Antonio Olyntho oznajmiał swoje przybycie. Wybiegłem na spotkanie, przyprowadziłem go do namiotu i posadziłem u ogniska, by pokrzepił się „chimaronem", poczem ze zrozumiałą niecierpliwością rozerwałem kopertę przyniesionego listu.

Dziwne wieści! wprost nie do wiary! Oto, co pisał znajomy:

„Staruszka Europa zabawia się w wojnę. Francja i Niemcy wzięły się już za łby. Rosja i Austrja gotują się do walki. Zupełnie możliwe, że pożar wojenny ogarnie też Anglję i Włochy. Niech pan przyjeżdża natychmiast: ważne sprawy muszą być niezwłocznie omówione."

Sam ten dźwięk „wojna" posiada jakiś dziwny, magiczny urok. Działa, jak odległy

głos trąbki bojowej na starego wojennego rumaka. To burza wśród ludzkości, po której nastąpić musi wzmożone życie. Zguba jednych daje możność rozwoju i szczęścia innym.

Należało wracać. Wprawdzie materjał ornitologiczny na Terra Vermelha nie został jeszcze w zupełności wyzyskany, czułem jednak, że w dotychczasowej mej pracy nastąpił przełom i zapewne zajdzie dłuższa, na nieokreślony przeciąg czasu, przerwa. Ta myśl nabawiała mię niepokoju.

Poleciłem posłańcowi, by w powrotnej drodze nakazał memu mulnikowi zjawić się raniutko po mnie, sam zaś rozpocząłem pakowanie zbiorów, broni i rzeczy. Cały nawał myśli cisnął się do głowy, lecz tak chaotycznie, że nie wiedziałem — smucić się, czy radować. Nie mogłem jeszcze zdać sobie jasno sprawy z następstw, jakie otrzymane wieści pociągnąć muszą za sobą w stosunku do mojej pracy.

Szarawo było jeszcze, gdy na miejscu zwiniętego już namiotu powstał przygnębiający obraz, jakim jest zawsze zniszczona i opuszczona siedziba ludzka. Ranek był pochmurny — i znowu, jak niegdyś na Affonso Penna, łzawy nastrój przyrody odpowiadał memu pożegnalnemu nastrojowi. Przykrości, niepowodzenia, niebezpieczeństwa zatarły się już w pamięci, pozostało jeno wspomnienie ja-

snych chwil, radości i powodzenia, które tak mocno związały mię z tym kącikiem na skraju lasu, w widłach Iguassu i Rio Negro.

Znowu klaskanie, tym razem bliskie: mulnikowi nojemu udało się bliżej przyprowadzić muły, nie będzie przeto pracy z przenoszeniem i ładowaniem pakunków. Gdy zasiedliśmy u ogniska, by pokrzepić się na drogę „chimaronem", kaboklo zapytał z ogromną ciekawością:

— É tigre aqui?[1])

— Si! mosquitos e pernelongas![2])

Odpowiedź, jak widziałem, przypadła mu ogromnie do gustu. Gdy wędrowaliśmy w kierunku Antonio Olyntho i zwyczajem tutejszym towarzysz mój zdawał relację wszystkim spotykanym po drodze kaboklom, słyszałem, jak cytował dosłownie moją odpowiedź.

Urośnie znów legenda o dziwnym „estrangeiro"[3]) — który nie czuł lęku przed tygrysami, lecz za takowe uważał niewinne owady, moskity i komary.

Zbliżamy się już do Antonio Olyntho. Słyszę głosy, niesłyszane oddawna. Gromadka czarnych kacyków (*Aoplus chopi*) obsiadła sucheche drzewo, których wznosi się mnóstwo na

[1]) e tigre aki — czy jest tu tygrys.

[2]) Wym. Si! moskitos i pernelongas — tak! moskity i komary.

[3]) Wym. estranżejro — cudzoziemiec.

uprawnych polach, jako pozostałość z dawniej rosnących tu borów. Każdy z ptaków nuci swą piosenkę innym głosem, co w całości sprawia wrażenie niedobranego chóru. Ody w Paranie zbliżamy się do miejsc zamieszkałych, prawie zawsze wita nas ten dziwny koncert. Ptaki te, całe czarne, wielkości szpaka, trzymają się wyłącznie w sąsiedztwie siedzib ludzkich, gdzie nie są prześladowane, ani nawet niepokojone, natomiast w puszczy i wogóle w miejscach odludnych nie widziałem ich nigdy.

Wkrótce stanęliśmy u wrót mej dawnej siedziby w Antonio Olyntho.

IX.

Powrót.

Ody, wyładowawszy rzeczy i podziękowawszy serdecznie kaboklowi za uczynność i słowność, zasiedliśmy z gospodarzem do wieczerzy, oczy moje uderzył widok dawno nieoglądanych przysmaków: chleba, mleka, masła i jajek. Ile razy wracam z puszczy, widok taki sprawia na mnie szczególne wrażenie: produkty te wprost mię onieśmielają i wzbudzają poszanowanie dla osób, które raczą się niemi stale, aczkolwiek braku ich w puszczy nie odczuwałem bynajmniej. Atoli nieśmiałość owa nie przeszkodziła mi zabrać się do przysmaków z wielkim apetytem. Posiliwszy się godnie, rozpoczęliśmy pogawędkę na temat wojny. Jutro miało być zebranie w szkole kolonistów, by sprawę omówić i wyznaczyć zasiłki dla wyjeżdżających do Polski ochotników.

Jakoż po sumie szkoła zapełniła się osadnikami. Wielu z pośród nich znałem oddawna, rozmowa tedy potoczyła się gładko i otwarcie.

W zachowaniu się i rozmowach obywateli Antonio Olyntho zauważyłem ogromną różnicę od czasu mego stąd wyjazdu: wzrosła i spotężniała świadomość narodowa. Na skutek odgłosów szalejącej burzy dziejowej, której dalekie echa dolatywały nawet tu, do zapadłego kąta Ameryki Południowej, myśl tych ludzi, zasklepiona w drobiazgach życia codziennego, jęła wyrywać się z borów brazylijskich i wędrować hen, za ocean — do krainy przodków...

Przestali nazywać Polskę „starym krajem", jeno mówili: „tam, u nas". Legjony Piłsudskiego były przedmiotem najżarliwszych rozpraw i gorących sporów. Obawiano się, że Prusacy nie dopuszczą do dalszego rozwoju samoistnej polskiej siły zbrojnej. Wzmogła się niesłychanie ofiarność na cele narodowe polskie. Niestety! zawiodła inteligencja. Zamiast zawiesić w obliczu groźnej chwili wszelkie porachunki partyjne i wspólnemi siłami robić, co można, dla Ojczyzny, podzieliła się na dwa wrogie obozy: germanofilów i germanofobów — które poczęły zwalczać się nieubłaganie, nie przebierając jak zwykle w środkach, nie cofając się przed insynuacją, a nawet oszczerstwem. Doszło do wzajemnych pomówień o niewłaściwy użytek funduszów, zbieranych na cele narodowe. Istniała przeto wielka obawa, że walka ta, prowadzona na łamach dwóch

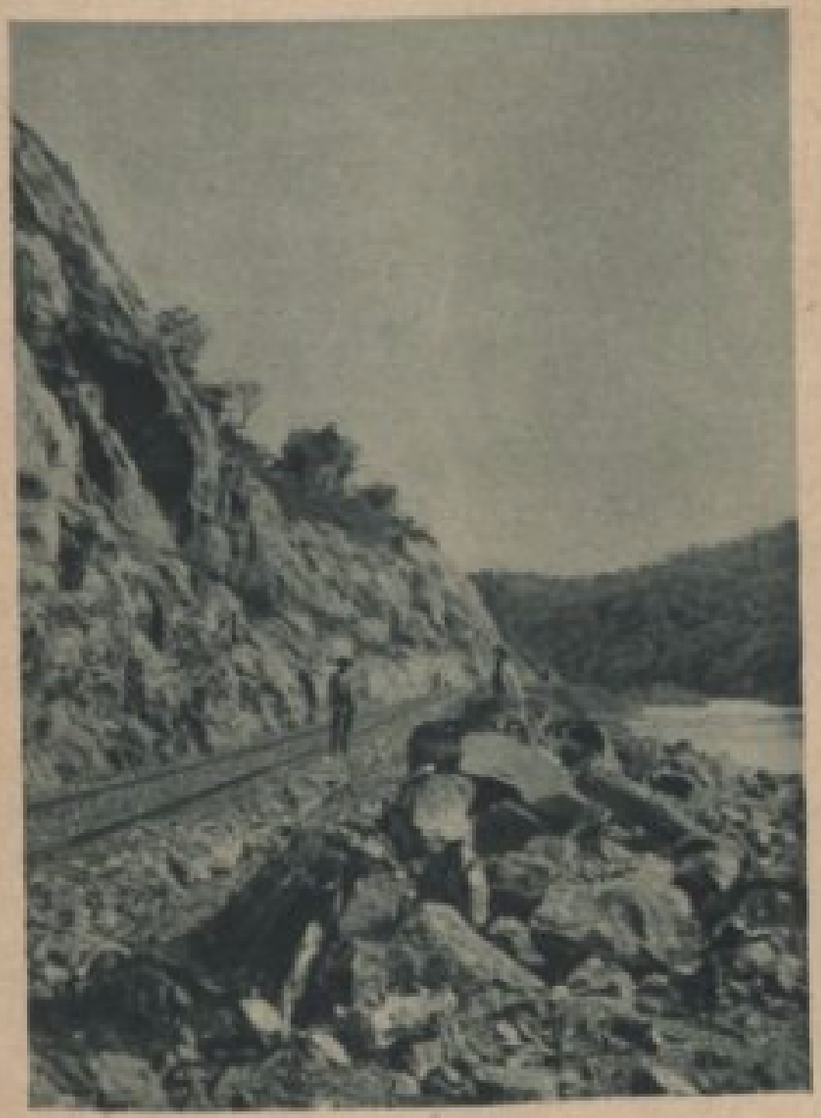

Droga żelazna.

Parana

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

jedynych pism polskich w Paranie, czytanych obecnie, jak nigdy przedtem, przez kolonistów, obudzi podejrzliwość czytelników i ostudzi ofiarność.

Rzecz dziwna! wśród osadników nie zauważyłem tego podziału: ich zdrowy instynkt narodowy był daleko bardziej jasnowidzący, niż rzekome wyrobienie polityczne inteligencji. Do Moskala i do Prusaka odnosili się równie niechętnie; nikt absolutnie nie wierzył w przychylność dla sprawy polskiej tych dwóch zaciekłych wrogów polskości. Natomiast żaden z kolonistów nie wątpił, że Polska powstanie.

— Nie będzie już mówił kabukier:[1]) „Polacco sem bandeira não vale nada“[2]) — radował się jeden z osadników, wypowiadając w ten sposób niezłomną wiarę w odzyskanie niepodległości dalekiej, w dzieciństwie opuszczonej ojczyzny i zaznaczając zarazem, jak wielką wagę miałoby istnienie państwowości polskiej dla rozrzuconych po całej kuli ziemskiej Polaków.

Projektowano wysyłać ochotników do kraju niewielkiemi partjami, co wszakże napotkało ogromne trudności, większość bowiem

[1]) tak nazywają polscy koloniści kaboklów.

[2]) Wym. Polako sen bandejra ną wale nada — Polak bez flagi państwowej (— państwowości) nie ma żadnego znaczenia.

ochotników pochodziła z zaboru austrjackiego, konsulowie zaś angielski i francuski pilnowali neutralności Brazylji i nie dopuszczali do wyjazdu do Europy ludzi, należących do państwowości niemieckiej i austrjackiej. Próbowano wyjeżdżać z fikcyjnemi paszportami, wydanemi na imię Bułgarów, Włochów, Holendrów, atoli sprawa wykryła się i pociągnęła za sobą wielkie nieprzyjemności. Postanowiono zatem, aby każdy z ochotników starał się wyjechać pojedyńczo na własną rękę.

Dla mnie sprawa wyjazdu była bardzo skomplikowaną, gdyż nie rozumiałem jasno roli legjonów. Powrót do kraju z paszportem rosyjskim nie przedstawiał wprawdzie wielkich trudności, lecz perspektywa być zmuszonym do walki pod sztandarami rosyjskiemi nie mogła być pociągającą. Sądziliśmy też wszyscy, że wojna skończy się szybko i niespodzianie, jak się rozpoczęła. Zachodziło przeto pytanie, czy nie lepiej przeczekać ją, prowadząc dalej swą pracę naukową. Wprawdzie moje środki materjalne były już wówczas na wyczerpaniu, lecz miałem nadzieję, że parański minister rolnictwa, znany mi jeszcze z czasu pobytu w Vera Guarany, zrealizuje swą dawną obietnicę nabycia części mych zbiorów dla muzeum w Kurytybie. W razie, gdyby nadzieja zawiodła, postanowiłem wrócić do Europy. A zatem trzeba było jechać do Kurytyby i, licząc się z ewentualnością powrotu do Europy, zlikwidować swe sprawy w Antonio Olyntho. Zapakowałem zbiory, zabrałem rzeczy i odprowadzony przez znajomych na stację Bugre, ruszyłem do Kurytyby.

Tu rozpocząłem rokowania z najwyższymi dostojnikami Parany. Po wielu obietnicach, zwłokach, odsyłaniach wyjaśniło się, że wojna wywołała w kraju wielki kryzys ekonomiczny, ustały wszelkie wpływy z komory celnej, transportu i t. d. przedsiębiorcy północno-amerykańscy pośpiesznie likwidowali swoje przedsiębiorstwa, drożyzna środków spożywczych poczęła wzrastać, waluta opadać. Nic tedy dziwnego, że władze parańskie nie chciały przysparzać sobie kłopotów finansowych i sprawę moją załatwiły odmownie.

Przykre, niezmiernie przykre chwile przechodziłem w Kurytybie. Z jednej strony widziałem coraz jaśniej konieczność wyjazdu do Europy, z drugiej zaś przewidywałem, co wypadnie mi znieść po przyjeździe do „Starego kraju". Wreszcie, zdając sobie sprawę, że zwlekanie może tylko pogorszyć sytuację, powziąłem decyzję niezwłocznego wyjazdu. Sprzedałem cenniejsze a zbyteczne mi narazie rzeczy, jak broń, amunicję, aparat fotograficzny, w celu zdobycia pieniędzy potrzebnych na wydatki podróży, resztę zaś, której nie miałem zamiaru brać z sobą, pozostawiłem

znajomym w podarunku. Długo wahałem się, co zrobić ze zbiorami. Brać ze sobą było bardzo ryzykownie, gdyż nie wiedziałem ani którędy jechać wypadnie, ani też w jakich warunkach nastąpi mój przyjazd do kraju. Skończyło się na tem, że pozostawiłem je u znajomego p. N. z Warszawy z poleceniem, ażeby przywiózł je do Warszawy, gdy wracać będzie do kraju po ustaniu wojny. Miałem też i myśl uboczną, mianowicie chciałem wprzód wybadać, jakie stosunki panują w muzeum w São Paulo, ażeby wyjaśnić sobie, czy nie możnaby zbiorów tam przewieźć i pozostawić.

Znowu więc uroczyste i tym razem ostateczne pożegnanie — i wyjazd do São Paulo. Zatrzymałem się z przyzwyczajenia w hotelu pod „białym gołębiem" i odwiedziłem kilka biur okrętowych, aby zasięgnąć informacyj, kiedy i jaki okręt w drodze do Europy zatrzyma się w Santos. Nieprędko miało to nastąpić miałem przeto dość czasu, by poznać wybitną w świecie naukowym postać — prof. Iheringa, i zaznajomić się z interesującemi mię zbiorami Muzeum Paulista. Komunikacja Muzeum ze śródmieściem jest doskonała: w niespełna 20 minut elektryczny tramwaj dowozi do przedmieścia Ipiranga, zatrzymując się przed samym gmachem Muzeum. Główny gmach — to olbrzymi i wspaniały pałac „Monumento do Ipiranga", zbudowany według planów architekta Tommaso Bezzi i ukończony w r. 1890. Jest to bodaj najbogatsze muzeum w całej Ameryce Południowej, zawierające oprócz zbiorów zoologicznych również geologiczne, mineralogiczne, etnograficzne, tudzież zabytki historyczne. Przed gmachem znajdują się doskonale utrzymane klomby i trawniki, zaś w cieniu olbrzymich drzew umieszczono małe domki — mieszkania dla pracowników muzeum. Na werandzie jednego z takich domków spostrzegłem prof. H. v. Iheringa. Niezmiernie sympatyczny i ujmujący w obejściu staruszek jest właściwym twórcą Muzeum Paulista.

Losy prof. Iheringa są dosyć ciekawe. Przed 40-u blisko laty przybył jako emigrant polityczny do Brazylji i osiedlił się w północnej części stanu Rio Grande do Sul na kolonji niemieckiej Taquara do Mundo Novo, gdzie nabył niewielką posiadłość. Praktykując jako lekarz, prof. Ihering gromadził zbiory ornitologiczne w okolicach kolonji, które opracował przyjaciel jego i kolega szkolny hr. Hans von Berlepsch w Muenden, poczem wspólnie wydali wspaniałą pracę o ptakach, zdobytych przez prof. H. v. Iheringa, pod tytułem: „Die Vögel von Umgegend von Taquara do Mundo Novo."

Prof. Iheringowi udało się wówczas zdobyć niektóre rzadkie gatunki, jak słynnego kolibra — *Cephalolepis loddigesi*, garncarzy (*Fur-*

mariidae) — Siphonis obsoleta, Synallaxis cinerascens i t. d., najważniejszą atoli zdobyczą był maleńki dzięciołek, opisany w r. 1884 przez hr. Berlepscha i nazwany na cześć odkrywcy: *Picumnus iheringi*. W r. 1894 prof. Ihering został mianowany dyrektorem nowoutworzonego muzeum państwowego w São Paulo.

Dorobek naukowy prof. Iheringa jest zadziwiająco bogatym: paręset prac poważniejszych z rozmaitych dziedzin zoologji, etnografji i archeologji. Prof. Ihering był zbyt różnostronnym, ażeby się miał uważać za specjalistę w którejś z gałęzi wiedzy, natomiast posiadał nader rozległy horyzont naukowy i, korzystając z wyników badań specjalistów poszczególnych gałęzi wiedzy, wywody swe opierał na szerszych i pewniejszych danych, niż to czyniono dotychczas. Jako zoogeograf prof. Ihering nie ma sobie równego odnośnie do Ameryki Południowej. Niezmiernie interesujące są poglądy tego słynnego uczonego na dzieje brazylijskiego lądu. Według niego Brazylja jest jednym z najstarszych lądów na kuli ziemskiej, który tylko w okresie dewońskim uległ częściowemu zalaniu przez morze, co już nie powtórzyło się później, z wyjątkiem zmian lokalnych w pasie nadmorskim. Ku końcowi okresu węglowego Brazylja posiadała bogatą florę, dosyć dobrze znaną z wykopalisk. Jeszcze w okresie eoceńskim Brazylja tworzyła

część wielkiego pralądu, zwanego przez prof. Iheringa „Archhelenis", łączącego ją z Afryką południową. Niszczenie tego lądu rozpoczęło się w okresie węglowym od północy i skończyło się w okresie oligoceńskim: olbrzymie morze Thetis połączyło się z morzem południa Nereis, tworząc ocean Atlantycki.

Aż do końca całego okresu mioceńskiego Ameryka Północna była oddzielona od Południowej morzem i dopiero w okresie plioceńskim oba lądy połączyły się wąskim przesmykiem. Wywody swoje prof. Ihering opiera zarówno na danych czerpanych z biologji, jak i wynikach badań geologicznych, zaznaczając podobieństwo fauny malakozoologicznej brazylijskiej i południowo-afrykańskiej; podobieństwo to przypisuje on tej okoliczności, iż, jak sądzi, oba te lądy były częściami składowemi olbrzymiego pralądu — *Archhelenis*.

Poruszał też często w rozmowie drugi nader zajmujący go problemat, mianowicie odrębność fauny mięczaków i ryb rzek Paraná i Paraguay'u, tworzących jedno wspólne ujście — Rio de La Plata. Na podstawie zebranych dotychczas materjałów stwierdza prof. Ihering, że rzeka Paraguay w przeciwieństwie do rzeki Paraná, posiada bardzo wiele wspólnego z rzeką Amazonką, musiał tedy istnieć jakiś łącznik między temi rzekami. Z tych właśnie względów prof. Ihering uważa, że dokładne

zbadanie olbrzymiej wyspy na rzece Paraná, Ilha de Sete Quedas, leżącej na przypuszczalnej granicy powyższych dziedzin faunistycznych, może rzucić ogromnie dużo światła na ten tak zajmujący go problemat.

— Przez cały czas mego zarządu Muzeum Paulista — mówił prof. Ihering — marzeniem mojem było zorganizowanie ekspedycji do Ilha de Sete Quedas. Niestety, dotychczas mi się to nie udało. Ekspedycja taka jest ogromnie trudna w wykonaniu, no — i niebezpieczna ze względu na bliskie sąsiedztwo Indjan.

Próbowałem dowiedzieć się, czy prof. Iheringowi nie jest znane rozsiedlenie plemion indyjskich nad rzeką Ivahy, którą projektowałem zbadać aż do ujścia, niestety, wiadome mu dane były zbyt mgliste i niepewne, by można było wyciągnąć z nich jakieś pozytywne wnioski.

Zauważyłem, że wojna obudziła w prof. Iheringu patrjotyzm niemiecki. Poszczególne wypadki toczącej się walki przejmowały go tak bardzo, że w rozmowie ciągle do nich powracał, wypowiadając swe poglądy w duchu wojującego pangermanizmu, co nadzwyczajnie raziło przepojonych frankofilstwem Brazylijan. Widziałem więc ze smutkiem, że konflikt był nieunikniony i mógł pociągnąć za sobą bardzo przykre dla prof. Iheringa następstwa i z tego

chociażby powodu przenoszenie mych kolekcyj z Kurytyby nie było bynajmniej celowe.

Poświęciłem dużo czasu na przejrzenie kolekcyj z interesujących mię stanów Brazylji, w szczególności wynotowałem sobie wszystkie okazy, pochodzące z ekspedycji członków Muzeum Paulista do Parany, mianowicie pp. Garbe'go do Castro w r. 1907, oraz p. Erhardta i Limy do Ourinho[1]) w r. 1901, poczem pożegnałem prof. Iheringa i uprzejmy personel Muzeum.

Wielkie trudności, jakie robiono wyjeżdżającym do Europy pasażerom, skłoniły mię do wyjazdu koleją do Rio de Janeiro, gdyż tam tylko mogły być załatwione wymagane formalności.

Podróż z São Paulo do stolicy Brazylji trwa zaledwie kilkanaście godzin. Wagony, urządzone z szykiem amerykańskim, nie posiadają wcale siatek na rzeczy, co zmusza pasażerów do oddawania swych węzełków na bagaż. W drodze byłem świadkiem rozmaitych scen, mniej lub więcej komicznych, gdyż jechał z nami cały oddział wojska. Zachowanie się żołnierzy było tak hałaśliwe i napastliwe, że na każdej prawie stacji ktoś z pasażerów wędrował do dowódcy oddziału z prośbą, by

[1]) Wym. Urinjo.

poskromił swych ludzi, co jednak pomagało niewiele.

Na jednej z małych stacyjek, na peronie ukazała się postać tłustego księdza z otwartą nieco buzią, — i wnet pośród grupy żołnierzy rozległy się liczne głosy:

— O que padre gordo![1]

Inni zaś żołnierze wrzeszczą:

— Cala bocca, diabo.[2])

Ksiądz, sądząc, że to do niego stosują się te zaczepki, odszedł pośpiesznie, zaciskając usta. Na innej znowu stacyjce żołnierze rozpoczynają awanturę o kawę, sprzedawaną tu powszechnie w budkach na peronie.

— Nao é cafe, é agua do bananos[3]) — twierdzi jeden z nich i rozpoczyna się głośna sprzeczka, z której wywiązuje się cała awantura. Wreszcie ruszamy przy gromkich okrzykach żołnierzy.

— Abaixo civilismo![4])

Rozhulaną soldateskę poskromił w nieoczekiwany sposób jeden z cywilnych pasażerów, jadący w jednym wagonie z żołnierzami. Gdy żołnierzom sprzykrzyły się różne „niewinne" zabawy, jak wykonywanie capstrzyka

[1]) Wym. O kie padre gordo — co za tłusty ksiądz.

[2]) Wym. kala boka diabo — zamknij buzię, aniołku.

[3]) Wym. na e kafe, e agua do bananos — to nie kawa, to pomyje z bananów.

[4]) Wym. abáixo siwilizmo — precz z cywilnymi.

na bagnetach, a nawet walka na brzytwy, zachowanie ich stało się wprost niemożliwe i jedna z naobnych „senhor" uważała za właściwe zemdleć. Wówczas wspomniany pasażer, przyglądający się dotychczas obojętnie zabawom żołnierzy, wstał i, zwracając się do najgorszego swawolnika, oświadczył, iż wyzywa go na pojedynek na jaką chce broń. Tamten przyjął wprawdzie wezwanie, lecz humor mu wnet skwaśniał, co w sposób tak uśmierzający podziałało na jego kolegów, że pozostałą część drogi odbyli już spokojnie.

Na najbliższej przed Rio de Janeiro stacji wsiadło kilku ajentów hotelowych, aby werbować sobie lokatorów. Wybrałem hotelik, położony najbliżej przystani, by łatwiej dopilnować nadejścia z Buenos Aires angielskiego statku. W tej porze roku (koniec stycznia, początek lutego) panują w Rio nieznośne upały. Cały elegancki świat stolicy chroni się przed niemi, uciekając w pobliskie góry Serra dos Orgãos.[5]) Chodząc po mieście doznawałem wrażenia, że znajduję się w rozpalonym piecu; lekki powiew wiatru nietylko nie chłodził, ale raczej parzył, to też w tych warunkach wędrówka po mieście nie należała do przyjemności. A jednak zmuszony byłem do ciągłej bieganiny. Zarówno zarząd portu i do-

[5]) Wym. Serra dos Orgãs.

wódcy okrętów, jak przedstawiciele dyplomatyczni państw wojujących robili niezmierne trudności wyjeżdżającym do Europy pasażerom: każdy podejrzewany był o chęć szpiegostwa na rzecz Niemiec, a że każdy ze statków, jadących do Europy, wiózł przeważnie kontrabandę wojenną, przeto obecność podejrzanej osoby nie była nikomu na rękę. Musiałem tedy odbywać odległe wędrówki i prowadzić rokowania z rozmaitymi miejscowymi i zagranicznymi dygnitarzami. Okazało się, że nikt nie zdaje sobie sprawy, w jaki sposób można dostać się do Polski: jedni twierdzili, że przez Włochy, inni mówili coś o Bułgarji i t. d.

Do samego momentu odejścia statku sprawa pozwolenia na mój wyjazd pozostawała nierozstrzygnięta i byłem w ciągłej niepewności, czy nie otrzymam w ostatniej chwili rozkazu opuszczenia statku — to też sygnał podniesienia mostku sprawił mi ogromną ulgę. I nietylko dla mnie odjazd był chwilą radosną: gromada Anglików na górnym pokładzie w uniesieniu radości poczęła obrzucać bananami stojącego na przystani policjanta morskiego, starając się ugodzić go w twarz, na co krewki syn południa, nie namyślając się zbytnio, dobył rewolweru i dał strzał w kierunku napastników. Nie wiem, czy celował w kogo,

lecz powstał wielki popłoch i zabawy z bananami zaniechano.

Statek oddalał się coraz bardziej. Stojąc na górnym pokładzie, popadłem w głęboką zadumę. Poszczególne wypadki mego pobytu w Brazylji przesuwały się zwolna nieprzerwanym łańcuchem w mej pamięci: a więc moja pierwsza noc samotna przy ognisku w Affonso Penna, moja tam praca, zdobycie *Leptodactylus selaria*, wypadek ze żmiją jararaca, napad anakondy, wycieczka do Paranagua, przejazd do Imbuial i rozczarowanie z powodu ubóstwa fauny, wycieczka do São Lourenço i zdobycie dzięcioła *Picumnus iheringi*; dalej wędrówka w ciemnościach do Antonio Olyntho, opuszczony domek nauczyciela, las dziewiczy na Chpigão, wizyta znajomych i zabójstwo na wendzie, wycieczka na Vera Guarany, nocleg u ogniska nad Iguassu, przygody w podróży na Rio Claro. Wreszcie samotne życie na Terra Vermelha, koncert wyjców i wstrząsająca burza.

Gdy ziemia zniknęła mi z oczu, ogarnął mię ogromny, bezbrzeżny żal za minionym już okresem życia i w myślach poczęły tłoczyć się natrętnie pytania: czy powrócę jeszcze kiedy i w jakich warunkach do przerwanej tak nagle, umiłowanej pracy.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Wstęp	3
I. Na Atlantyku	17
II. Na brazylijskiej ziemi	34
III. W głąb kraju	53
IV. U źródeł Iguasse	69
V. Terreno Contestado	109
VI. Nad Rio Negro	119
VII. Vera Guarany	154
VIII. Terra Vermelha	190
IX. Powrót	223

BIBLIOTEKA NARODOWA

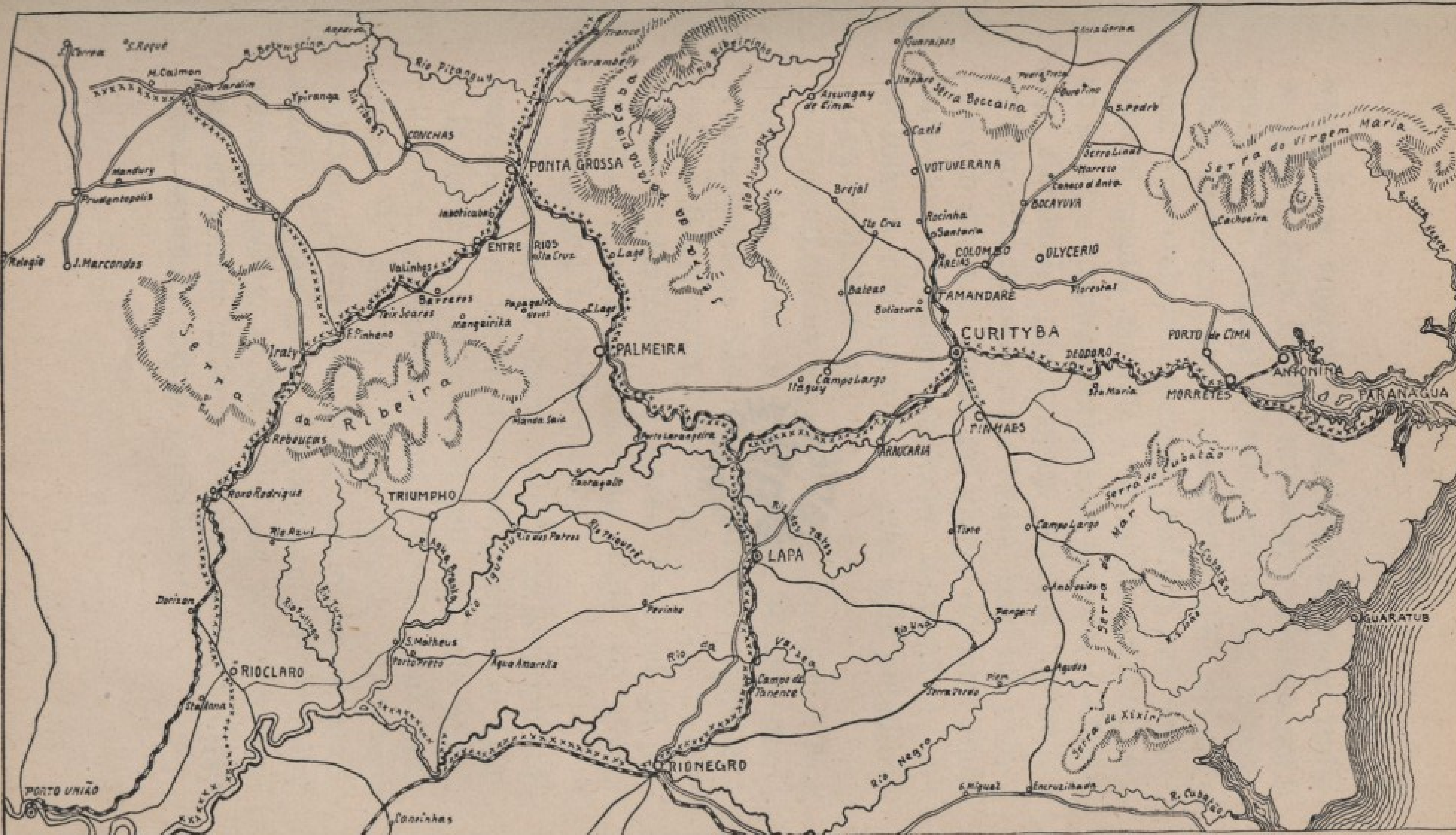

PONTA GROSSA
CURITYBA
PALMEIRA
LAPA
RIONEGRO
RIOCLARO
PORTO UNIÃO
TRIUMPHO
CONCHAS
ENTRE RIOS
TAMANDARÉ
COLOMBO
BOCAYUVA
VOTUVERANA
OLYCERIO
PORTO de CIMA
ANTONINA
PARANAGUA
MORRETES
DEODORO
PINHAES
ARAUCARIA
GUARATUB
Serra do Virgem Maria
Serra da Ribeira
Serra do Mar
Serra do Cubatão
Serra Boccaina
Serra de Xixini
Ypiranga
M. Calmon
Prudentopolis
J. Marcondes
Mandury
Iraty
Rebouças
Campo Largo
Brejal
Valinhos
Barreiros
Tiete
Doirizon
S. Matheus
Porto Preto
Agua Amarella
Campo do Tenente
Encruzilhada
Rio Negro
Rio da Varzea
Rio Pitanguy
Rio Ribeirinho
Rio Azul
Rio Iguassú

Mapa Parany